BIAŁY MURZYN

Michał Bałucki

EBOOK.PL

CLASSIC

Table of Contents

- I
- II
- III
- IV
- V
- VI
- VII
- VIII
- IX
- X
- XI
- XII
- XIII
- XIV
- XV
- XVI
- XVII
- XVIII
- XIX

Michał Bałucki

I

W miasteczku powiatowym, Okolu, między godziną piątą a szóstą zabębniono na rynku.

Rynkiem nazywano tu plac kwadratowy, nierówny, wysypany w kilku miejscach kupami kamieni, między którymi leżały błotniste kałuże i śmietniki z ostatniego jarmarku. Naokoło tego placu stały szeregi domków drewnianych, na kamiennych podmurowaniach, z podsieniami i staroświeckimi facjatkami, spośród których wyskakiwały, na kilka łokci długie, drewniane rynny, wyrzucające w czasie deszczu obfite strumienie wody w kałuże i doły. Pośrodku rynku, obok figury świętego Jana Nepomucena, stał na wzniesieniu budynek, podobny do lamusa, który miał przedstawiać ratusz.

Z tego to budynku wyszedł policjant, w starym wypełzniętym mundurze, który był kiedyś niebieskim, i stanąwszy w jednym rogu rynku, uderzył w bęben. Odgłos rozległ się wśród pustych ścian rynku, mieszczanie bowiem zajęci byli w polu zbieraniem siana, i mało kto pozostał w miasteczku. Kilku tylko małych chłopców w spodenkach, zawieszonych na kawałkach krajek, kilka piastunek z nie umytymi, rozczochranymi bachorami żydowskimi i jakiś stary rzemieślnik z zieloną umbrelką otoczyli policjanta, który z uroczystą powagą, po dwukrotnym uderzeniu w bęben, odezwał się podniesionym głosem:

--- Wszem wobec i każdemu z osobna, wam, szlachetni rycerze, wysoka szlachto, postronni obywatele, mieszczanie, chłopi i inni ludzie, jako też i wam Żydzi, magistrat miasta czyni wiadomo, jako iż wczoraj na drodze między majętnością jaśnie wielmożnego pułkownika Jana Lipskiego, dziedzica Zarzecza z przyległościami, a miastem zgubiono pugilares z czerwonej skóry, ozdobiony bogatym haftem, w którym to pugilaresie oprócz różnych papierów, dokumentów i fotografii --- znajdowało się sześćset guldenów w banknotach austriackich. Łaskawy znalazca zechce się zgłosić bądź do tutejszego magistratu, bądź do wyżej wyrażonego jaśnie wielmożnego Jana Lipskiego, gdzie otrzyma nagrodę w kwocie pięćdziesięciu guldenów.

Odrecytowawszy jednostajnym głosem to ogłoszenie, policjant przeszedł na drugi róg rynku i znowu uderzył w bęben. Ta sama publika, którą on według starej formuły tytułował szlachetnymi rycerzami i wysoką szlachtą, pociągnęła tam za nim, z tą tylko różnicą, że zamiast starego rzemieślnika, który już poszedł do domu, stanęła jakaś kucharka z zakasanymi i omączonymi rękami i chłop, który z jajami zajechał był właśnie przed żydowski sklepik. Zresztą nikt więcej nie pojawił się na rynku. Nawet Icek Fajgełes, właściciel owego sklepiku, zatytułowanego na szyldzie handlem win i korzeni, nie raczył pofatygować się dla wysłuchania tego ogłoszenia, a to nie przez brak ciekawości, jeno że Icek Fajgełes o wszystkich sprawach magistrackich miał wiadomości z pierwszej ręki, bo od samego burmistrza, który w chwilach wolnych od urzędowania, a takich miał bardzo wiele, rezydował stale w handlu win i korzeni.

I teraz właśnie tam się znajdował z panem poczmistrzem i księdzem wikarym, i gawędził z nimi przy lampeczce wina. Treść ogłoszenia była przedmiotem ich rozmowy. Dziwiono się, że taki dumny pan zdecydował się ogłaszać zgubę kilkuset guldenów. Burmistrz utrzymywał, że o ile zna pułkownika, to wie, że tego by nie zrobił, gdyby mu chodziło tylko o pieniądze; że w pugilaresie miał się podobno znajdować jakiś ważny dokument familijny, a i pugilares sam miał dla pułkownika wartość pamiątkową, bo haft na nim był roboty nieboszczki żony.

Ksiądz wikary także był tego zdania; tylko poczmistrz, który nie lubił pułkownika za jego lekceważące traktowanie ludzi, przypuszczał, że bieda zmusiła go do zrobienia tego ogłoszenia.

--- Dawniej --- mówił --- byłby tego pewnie nie zrobił, ale teraz krucho z nim. Toż wszyscy wiemy, w jakich on interesach; długów po uszy!

--- Mówią, że stara teściowa ma majątek ---" odezwał się wikary.

--- Ma, ale go nikt nie zobaczy, chyba po śmierci. Stara się boi grosza ruszyć, bo wie, że i to poszłoby na różne fantazje pańskie, jak cała fortuna, a fortuna była nie lada.

--- No, jeszcze tak źle z nim nie jest --- odezwał się znowu burmistrz, biorąc w obronę pułkownika. --- Przez zamęście córki interesa jego znowu się poprawią. Narzeczony ma znaczne dobra na Podolu.

--- Któż to taki? --- spytał znowu wikary.

--- Sikorski --- znany ród, stara szlachta.

--- Bo też i Lipscy niczego.

--- Tylko goli --- wtrącił znowu poczmistrz.

--- Toteż pono rodzina pana młodego nie bardzo życzyła sobie tego związku. Ale młody zakochał się po uszy w pannie i nie było rady.

--- Czy taka piękna? --- spytał wikary, który jako świeżo przybyły w te strony nie znał ani stosunków miejscowych, ani osób. --- Można by śmiało o niej powiedzieć: piękny, bo to więcej chłopiec niż dziewczyna, jeździ konno jak najlepszy kawalerzysta, strzela, poluje, podobno nawet na pałasze się rąbie. Będzie miał mąż niemałą pracę okulbaczyć taką żonę.

--- Jeśli ona go nie okulbaczy.

--- To pewniejsze.

--- I kiedyż wesele?

--- Na szwenti Michał --- odezwał się Icek Fajgełes, który stojąc tuż przy stoliku pana burmistrza, przysłuchiwał się przez cały czas rozmowie.

A odezwał się z pewną dumą, że mógł pochwalić się tą wiadomością o terminie wesela, była zaś to wiadomość pewna, bo miał ją od samego pana pułkownika, który mu polecił sprowadzić na ten czas wina z

Węgier.

Podczas kiedy tak rozprawiano w handelku, policjant przeszedł na trzeci róg miasta, dokąd mu już tylko paru chłopców, niestrudzonych amatorów bębnienia, towarzyszyło. Ale i ci wnet porzucili go, wracając pod mur ratusza, do przerwanej zabawy w guziki.

Policjant pozostał sam jeden. To go jednak nie wstrzymało od dopełnienia formalności, która wymagała, aby każde postanowienie magistratu wybębnione i wygłoszone było na wszystkich czterech rogach rynku. I z pełną ważności miną przeszedł na róg czwarty.

Po dwukrotnym uderzeniu w bęben, gdy się zbierał właśnie do wygłoszenia obwieszczenia i już odchrząknął, splunął i zaczerpnął powietrza, jakiś podróżny, w lichym ubraniu, mocno zakurzony i z zawiniątkiem w ręku, wyszedł z bocznej ulicy na rynek. Policjant rozpoczął rozporządzenie. Podróżny zatrzymał się i wsparty na kiju, słuchał.

Był to mężczyzna mogący mieć lat dwadzieścia kilka, rosły, barczysty i wcale pięknej, sympatycznej twarzy, na której jednak mało było życia i wyrazu. Była w niej jakaś leniwa ospałość; znamionująca przytępiony umysł; ruchy jego były ciężkie, niezgrabne, a krój ubioru robił go podobnym do jakiegoś organisty lub kościelnego z małego miasteczka. Ubiór ten był do tego mocno zakurzony z drogi, którą widocznie odbywał piechotą, twarz opalona, zroszona potem, świeciła, jakby była z brązu odlana. W dużych oczach, poruszających się leniwo i obojętnie, malowało się znużenie i ospałość.

Policjant zdawał się nie widzieć podróżnego, stojącego tuż przed nim. Recytując bowiem ogłoszenie, błądził oczami w przestrzeni, jakby miał przed sobą niezmierne tłumy ludu, i wzrok jego nie zatrzymywał się szczegółowo na nikim.

Dopiero kiedy skończył czynność swoją i złożył urzędowe pałki do rzemiennego futerału na piersiach, zeszedł z kupy kamieni, z których wysokości przemawiał był do narodu, i zbliżywszy się do podróżnego, powitał go skinieniem głowy.

--- Jak się masz, Antku? --- spytał go głosem już zwyczajnym, rozebranym z urzędowej powagi --- a ty skąd?

--- A z miasta, ze szkół --- odrzekł podróżny.

--- A to cię diabelnie długo w tych szkołach trzymają. Toż to już będzie sześć czy siedm lat, odkąd tam siedzisz.

--- Ośm lat się skończyło.

--- A no; musiałeś już pojeść wszystkie rozumy. Podróżny uśmiechnął się jałowo i odrzekł:

--- Już teraz skończyłem.

--- No, czymże myślisz zostać?

--- Albo ja wiem? Zobaczę, co ojciec powie.

--- I dziedzic, boć to on przecie łożył na ciebie.

--- A tak, pomagał mi. Czy to jemu zginął ten pugilares, coście go obwoływali?

--- A jemu. Jak będziesz szedł do domu, patrz pilnie po drodze; może ci się uda znaleźć; dostałaby ci się nagroda.

--- Pięćdziesiąt guldenów piękny grosz; ale to pewnie już kto znalazł i schował, kiedy się do tego czasu nie odszukał. Pugilares nie szpilka, zobaczyć nie trudno.

--- Tak się zdaje, że go ktoś wziął sobie. Chwilkę milczeli, nie wiedząc, o czym dalej mówić. Wreszcie podróżny zapytał:

--- I cóż nowego u was?

--- A cóż? Wszystko po dawnemu; klepie się biedę i basta.

--- A mój stary zdrów? Dawnoście go widzieli?

--- A był tu na Boże Ciało. Asystowaliśmy w mundurach księdzu celebransowi na procesji. Stary krzepko się trzyma, wygląda lepiej ode mnie, choć znacznie starszy.

--- Chwała Bogu.

Umilkli znowu. Podróżny grzebał laską w ziemi i kreślił jakieś zygzaki, policjant zażywał tabakę.

--- No, trzeba będzie iść, żeby przed nocą dociągnąć do domu. Mam jeszcze sporo drogi przed sobą. Bywajcie zdrowi!

--- Szczęśliwa droga! A pozdrów tam starego ode mnie.

--- Bóg wam zapłać.

Skinął głową policjantowi i poszedł dalej za miasto.

Droga prowadziła z początku wzdłuż wysokiego brzegu, skąd rozległy i wspaniały był widok na szerokie równiny, pełne lasów i wiosek, leżących z drugiej strony rzeki. Że jednak gliniasty brzeg odrywał się często, przeto, dla bezpieczeństwa, odsunięto drogę w głąb płaskowzgórza, przez co trzeba było robić wielkie koło. Piesi jednak, szczególnie wieśniacy, chodzący na targi do miasteczka, używali starej drogi, jako bliższej. Z czasem drożyna zamieniła się w ścieżkę, która szła tuż brzegiem rzeki, prosto na przełaj przez parowy, strumienie i jary.

Tą ścieżką poszedł także nasz podróżny. Czas jakiś szedł grzbietem wzgórza, kolosalna jego postać rysowała się jak ciemna sylwetka ostro na tle złocistym zachodu. Potem zeszedł w parów i zniknął wśród krzaków leszczyny. Przechodząc środkiem tych zarośli, usłyszał za sobą szelest, jakby ktoś szybko przedzierał się przez krzaki. Rozciekawiony zatrzymał się. Szelest prędko zbliżał się ku niemu, już tylko parę

kroków przedzielało go. Podróżny spojrzał w tę stronę i zobaczył ze zdziwieniem sarnę, która na jego widok zatrzymała się w biegu, wpatrzyła na niego lękliwe, wilgotne oczy a potem, spłoszona, rzuciła się nagłym skokiem, uciekając na powrót w gęstwinę.

Podróżny mimowiednie poskoczył za nią i chciał ją ścigać, wnet jednak spostrzegł się, że byłoby to dziecińśtwem gonić sarnę po zaroślach z gołymi rękami, zatrzymał się więc. Czas jakiś przysłuchiwał się cichnącemu coraz bardziej tętentowi kopytek, potrącających o gałęzie krzaków i korzenie drzew, a gdy szelest całkiem ucichł, wrócił znowu ku ścieżce, z której był zboczył. Torując sobie laską i ręką drogę przez zarośla, potrącił o jakiś ruchomy przedmiot, schylił się i zobaczył pugilares, w czerwoną skórę oprawny, z pięknym haftem po jednej stronie. Serce uderzyło w nim gwałtownie ze wzruszenia; otworzył skwapliwie pugilares, z którego posypały się na ziemię jakieś papiery i fotografia. Przedstawiała ona głowę młodej kobiety, brunetki, w dość dużym formacie. Głowa była wzniesiona nieco w górę, z wyrazem dumy i pewnej brawury. Włosy gęste, krótko obcięte, kręcące się lekko nad szerokim czołem, angielski stojący kołnierzyk i krawat nadawały jej pozór ślicznego chłopca, przebranego za kobietę. Szczególnie zwracały uwagę duże, czarne, błyszczące oczy, które śmiało i imponująco patrzały wprost na patrzącego. Była w nich taka jakaś przeszywająca siła i urok magiczny, że sprawiały wrażenie spojrzenia żywej osoby.

Podróżny czuł się wobec tego spojrzenia zakłopotany i nieśmiały. Owładnął go jakiś dziwny niepokój, połączony z rozkosznym odurzeniem. Doznawał podobnego uczucia, jakie ma człowiek, gdy mu się śni, że lata w powietrzu, ten lot łaskocze mu nerwy, a zarazem przejmuje grozą i obawą upadku. Spojrzenie to więziło jego oczy i długo nie mógł ich oderwać od fotografii. Stał nad nią z oczami zapatrzonymi i otwartymi ustami. Pierwszy to może raz w życiu tak śmiało wpatrywał się W twarz kobiecą, bo pomimo że kilka lat przepędził w mieście, żył jak zakonnik w klasztorze Karmelitów, gdzie obsługiwał księży w domu i w kościele, za co dostawał darmo pożywienie i mieszkanie. Resztę czasu zajmowała mu nauka. Nie znał prawie innej drogi prócz tej, która od klasztoru prowadziła do szkoły, a choć na tej drodze spotykał nieraz kobiety, nawet może piękniejsze od tej, której fotografię teraz w ręku trzymał, to albo nie uważał na nie, albo nie miał śmiałości przypatrywać się im. Jak koń w kieracie, tak on obracał się w kole swych codziennych zajęć i pracy, nie patrząc dalej, nie znając prawie życia ani uciech młodości. Teraz, po ośmiu latach, odprzęgnięto go od tego jarzma i puszczono. Szedł, sam nie wiedząc, co dalej będzie, gdzie się obróci. Przyzwyczajony do ślepego posłuszeństwa ojcu, który go trzymał ostro i surowo, szedł bezmyślnie poddać się jego woli, nie mając żadnych własnych pragnień ni zamiarów. Na tej drodze spotkał kobietę, a choć to była tylko martwa podobizna rysów kobiecych, to jednak dziwne na nim zrobiła wrażenie, jakiego przedtem nigdy nie doznawał, i którego nie umiałby nazwać. Było to pierwsze poruszenie zamarłych i uśpionych jeszcze pragnień młodości. Prawa natury poczęły działać, jak słoneczne promienie na wiosnę. Owo sam na sam z fotografią, wśród zarośli, silniej działało na dziewiczą, niepokalaną młodość niż najpoważniejsza rzeczywistość na zużytych rozpustników; wobec kawałka zamalowanego papieru doznawał wrażenia większego, niż niejeden wobec pięknej, żywej kobiety doznawać może. Długiej chwili trzeba było, żeby się opamiętał i ośmielił dotknąć fotografii i podnieść ją z ziemi wraz z papierami.

Nim je włożył na powrót do pugilaresu, zajrzał do środka i zmieszał się. W pugilaresie nie było pieniędzy. Był całkiem próżny. Przejrzał papiery, wytrząsał jeden po drugim, ale i tam pieniędzy nie było. Teraz dopiero przypomniał sobie, że gdy podnosił pugilares z ziemi, był on już otwarty. Prawdopodobnie więc ktoś inny miał go już przedtem w rękach i wyjął pieniądze, a potem rzucił go w krzaki. Radość, jaką mu sprawiło znalezienie zguby, przemieniła się wnet w trwogę i niepokój.

Trzymał pugilares w ręku i nie wiedział, co począć. Bał się oddać go właścicielowi, by go nie posądzono o skradzenie pieniędzy; z natury nieśmiały i lękliwy, a przy tym chowany surowo, nie posiadał owej odwagi, z jaką prawda zwykła się tłumaczyć przed ludźmi ze swych czynności; bał się podejrzeń, badań, z których nie umiałby się wyplątać. Ta obawa skłoniła go, że położył znaleziony pugilares na ziemię, tam, gdzie przedtem leżał, i oddalił się. Uszedłszy jednak kilkanaście kroków zatrzymał się i namyślał. W ruchach jego było wahanie się, niepewność; to chciał wracać, to znowu i stawał. Nareszcie wrócił w zarośla, drżącymi rę kami wziął pugilares do ręki, wyjął z niego fotografię i schowawszy ją do zanadrza oddalił się spiesznie, oglądając się trwożnie wokoło, czy go kto nie widział.

Zaledwie przebył zarośla i zadyszany wydobył się z parowu na równe pole, ujrzał cwałującą pędem miedzą wśród łanów zboża amazonkę w czarnej sukni i popielatym kapeluszu, z niebieską, przezroczystą woalką, która, rozwiana wiatrem, płynęła jak gazowy obłoczek za głową amazonki ponad złocistymi falami zboża. Amazonka minęła żeńców, co sznurem szli ku wsi, i w szybkim galopie zbliżała się do drogi. Szeroki dosyć rów przedzielał pola od drogi; amazonka bez namysłu przesadziła rów. Przy tym gwałtownym wstrząśnieniu kapelusz spadł jej z głowy, czym spłoszony koń poniósł ją szalonym pędem. W tejże chwili wypadła spomiędzy zboża sarna, przesadziła także rów i pognała jak chart za koniem na wyścigi. Podróżny zaraz domyślił się, że to musiała być ta sama sarna, którą niedawno przedtem widział w zaroślach. Myśląc o tym, tak się zagapił, że zapomniał o kapeluszu, który tuż obok niego leżał na ziemi. Nawet gdy amazonka zatrzymała konia i odwróciła się, nie domyślał się jeszcze, dlaczego stanęła i czeka.

Amazonka energicznym ruchem ręki wskazała na ziemię i odezwała się:

--- Hej, człowieku, podaj mi kapelusz; no, prędzej!

Podróżny, ruszony z miejsca tym rozkazem, podskoczył skwapliwie, pochwycił kapelusz, pobiegł do amazonki. Ale gdy się przybliżył, żeby podać kapelusz, i podniósłszy oczy do góry zobaczył twarz amazonki,

osłupiał; fotografia żywa stała przed nim. To go tak zmieszało, że nieprzytomny zaplątał się nogami w woalce i rozdarł ją.

--- Ach, to niezgrabny! --- rzekła amazonka z gniewem, wyrwała zniecierpliwiona kapelusz z rąk nieprzytomnego podróżnego i zaciąwszy konia szpicrutą, popędziła naprzód.

Podróżny stał jak przykuty do ziemi i patrzał na cwałującą, patrzał, choć już zniknęła wśród chat wioski; nawet tumany kurzu, wzbite kopytami końskimi, opadły na zielone łąki, a on stał jeszcze zapatrzony, jakby czekał jeszcze na coś. Dopiero rozmowy nadchodzących żeńców wyrwały go z tego osłupienia. Poruszył się, obejrzał wokoło; potem podniósł spod nóg kawałek niebieskiej woalki i poszedł dalej. Żeńcy zrównali się z nim. Podróżny podsunął się do wieśniaczki, idącej na przedzie, i zapytał nieśmiało:

--- Nie wiecie przypadkiem, kto była ta pani na koniu?

--- To nasza panienka dziedziczka.

--- Córka tutejszego dziedzica?

--- No jużcić tak.

--- Córka dziedzica --- powtórzył sobie półgłosem podróżny.

Wiadomość ta widocznie go uspokoiła; był on bowiem dosyć zabobonny. Niezwykły tok wypadków, które w taki dziwny sposób łączyły się z sobą, przypisywać był gotów jakimś nieczystym siłom. Uspokoił się, gdy się dowiedział, że to zjawisko, które widział przed chwilą, było tylko kobietą, i do tego córką dziedzica Zarzecza.

II

Na samym końcu wsi, w niejakim oddaleniu od chat wiejskich, stał domek na pagórku. Szeroka zaspa piasku oddzielała wzgórek od rzeki, która w tej porze wąskim płynęła korytem. Ale na wiosnę lub po ulewnych deszczach, rzeka rozlewała się szeroko i podchodziła aż do stóp wzgórka, który wtedy wyglądał jak półwysep, gdyż tylko wysoka grobla łączyła go z lądem. Że takie wylewy często zdarzać się musiały, świadczyły o tym grube pale, sterczące z jednej strony wzgórza, do których przywiązywano zwykle prom i łodzie. Teraz one spoczywały daleko od domku na piaszczystej ławie, przywiązane łańcuszkami do palików, jak brytany, tylko że brytany na noc, a łodzie na dzień spuszczano z łańcuszków. Czynności tej dopełniał codziennie mieszkaniec domku na wzgórku, stary Jakub Sikorski, niegdyś żołnierz, dziś dzierżawca przewozu.

Była to figura wysoka, chuda, żylasta, jedna z tych natur łykowatych, co to na pozór wątłe, a jednak niespożyte, wytrwałe, które czas żuje i gryzie, ale pogryźć ani połknąć nie może. Mimo późnego wieku trzymał się ostro, pracował jak koń i był zdrów.

Ubiór jego był mieszaniną mieszczańskiego gustu i żołnierskich wspomnień. Nosił czamarę płócienną latem, a sukienną szaraczkową zimą, z pętlicami i sznurami, buty juchtowe po kolana, żołnierską furażerkę i wysoki halsztuk. Twarz opalona i ospowata miała wyraz buńczuczny, jakby się ciągle srożył i zżymał, a sumiaste, podstrzygane wąsy, sterczące jak szczotki pod krótkim nosem, potęgowały jeszcze bardziej to wrażenie. Kiedy mówił, to krótko i głośno, jakby komenderował. Umiał tylko słuchać i rozkazywać; do gawędki i pożycia dłuższego był z niego nieszczególny towarzysz, toteż gdy wszedł między znajomych, wolał grać w straszaka lub mariasza, niż rozmawiać. Szczególnie mariasz był jego ulubioną zabawą i jedynie dlatego szukał towarzystwa ludzi dworskich, by mógł z którym pograć w mariasza do puli. Tej zabawki jednak pozwalał sobie tylko wieczorem, gdy swoją psiarnię, jak nazywał łodzie, przywiązał już był na łańcuszki. W dzień był ciągle zajęty przy przewozie, bo ruch tam był ciągły i było co robić. Szczególnie kiedy był odpust lub jarmark w miasteczku, na przewóz tyle szło ludzi, fur, bryczek, że Jakub nieraz kilku chłopów najmować musiał do pomocy. Ale ten trud opłacał się nieźle. Icek Fajgełes od dawna kroił na zabranie tego przewozu w dzierżawę, obiecywał dziedzicowi daleko większy czynsz, ale dziedzic nie chciał na to przystać i pozbyć się Jakuba, który dawniej służył w jego pułku. Była to łaska pańska, którą Jakub tym bardziej cenić umiał, że przedtem dobrze się nabiedował i nakłopotał w życiu. Po skończonej bowiem kampanii osiadł był na Litwie, ożenił się z jakąś szlachcianką litewską i dzierżawił propinację w miasteczku. Ale żona przy połogu umarła, gospodarstwo bez gospodyni szło coraz gorzej, Jakub stracił na karczmie, musiał posprzedawać resztę chudoby i iść na służbę. Służbista był z niego dobry, pracowity i trzeźwy, ale że był drażliwego usposobienia i ambitny na swoją godność eks-sierżanta i pochodzenie szlacheckie, więc nigdzie długo nie zagrzał miejsca.

Pochodził on rzeczywiście z jakiejś szlacheckiej rodziny, która podupadła, i to podupadła dość dawno, gdyż Jakub urodził się już w dymnej chacie i chodził wraz z ojcem w chłopskiej siermiędze na odrobek do dworu. Ale tradycja pochodzenia zachowała się w pamięci ludzi, i ojciec Jakuba, choć biedny komornik, doznawał we wsi pewnego poważania i względów. Jakub wychował się w tym dobrym mniemaniu o swoim rodzie, a stopień sierżanta, którego się dosłużył w wojsku, wraz ze znaczkiem orderowym za waleczność, jeszcze więcej rozdmuchał jego próżność.

Nie każdy dom, nie każda służba przypadały mu do smaku; panom stawiał się nieraz buńczuczno, miewał swoje fantazje i kaprysy, nie licujące często z obowiązkami i stanowiskiem służącego. Pozbywano się go więc chętnie albo też sam dziękował za służbę, za co niezbyt pochlebne świadectwa wypisywano mu w książeczce służbowej. Doszło do tego, że go potem bano się przyjmować. Wałęsał się wtedy od dworu do dworu ze swoim synkiem, na próżno szukając służby i przez taką włóczęgę zeszedł w końcu na dziada. Dopiero pułkownik dobył go z tej nędzy przez wzgląd na dawną jego służbistość i waleczność w wojsku; zatrzymał go u siebie we dworze, oporządził i dał mu miejsce karbowego, potem oddał mu w zarząd folwark pod lasem, a nareszcie, gdy się miejsce otworzyło, puścił mu w dzierżawę przewóz, a oprócz tego zajął się jego synem i co rok na ręce ojca dawał dla niego pewną sumę, aby mógł kończyć szkoły.

Stary Jakub umiał cenić tę łaskę, toteż nie było rzeczy, której by się dla pułkownika nie podjął. Jak pies był posłuszny i przywiązany i jak pies rzucał się na ludzi, którzy chcieli w czym pokrzywdzić pułkownika. Nie wstydził się tej uległości, nie ubliżała ona nawet jego szlacheckiej ambicji, bo --- mówił --- to pan z panów, a takiemu nie wstyd i nie żal służyć.

I pułkownik ze swej strony umiał ocenić tę służbistość i adorację starego sierżanta i umiał ująć go sobie łaskawą pamięcią i podarunkami. Czy to imieniny, czy to święta, zawsze ze dworu kapnął Jakubowi jakiś upominek: to fajka porcelanowa z Napoleonem, to dubeltówka, to kożuszek barani lub zegar ścienny z kukułką. Stary Jakub chował te prezenty jak relikwie, ceniąc nie tyle ich wartość, ile pamięć dziedzica, i rad z tym chlubił się przed ludźmi. Szczególniej w wielkim poszanowaniu miał zegar z kukułką. Nikomu nie pozwolił się go dotknąć, sam go regulował, nakręcał, omiatał z kurzu. Nawet przywiązywał do tego zegara pewną zabobonną wiarę, że dopóki on będzie szedł dobrze, dotąd pułkownik będzie zdrów i będzie mu się dobrze wiodło.

Pamiętał więc o zegarze i chodził koło niego jakby koło samego pułkownika.

Zegar ten stanowił zarazem największą ozdobę jego izby; reszta sprzętów była z prostego, nie malowanego drzewa, ale wszystko było utrzymane w czystości i w porządku prawdziwie żołnierskim. W drugim pokoiku stało łóżko, także z białego drzewa, nakryte kocem wełnianym. Nad łóżkiem sztych, przybity gwoździkami,

przedstawiający Napoleona pod Waterloo, a poniżej obraz Matki Boskiej Częstochowskiej i gromnica z palmą na krzyż. W kącie koło pieca stał stołek z miską do mycia się i dzbanek gliniany, a pod ścianą zielony kuferek, obity żelazem.

Mówiono, że w kuferku tym było już sporo uciułanego grosza, można to było śmiało przypuszczać, bo stary miał niezłe dochody, za dzierżawę płacił mało, a żył dość oszczędnie. Syn najmniej wiedział o zamożności ojca, gdyż w listach stary zawsze mu pisał, aby pamiętał, że jest biednym, i uczył się wcześnie pracować na siebie. W ostatnich latach nie posyłał mu nawet pensji, którą pułkownik był wyznaczył aż do ukończenia szkół. Stary prawdopodobnie umieścił te pieniądze także w zielonym kuferku, a synowi zamiast pieniędzy posłał naukę, że już jest w tych latach, w których pracować na siebie powinien. W tym rodzaju były wszystkie listy ojca; pełno w nich było napomnień, morałów, nauk, ale nigdy żadnego czulszego słowa, które by świadczyło o miłości rodzicielskiej, o przywiązaniu lub tęsknocie. Dodać tu jeszcze potrzeba, że przez tych ośm lat, które Antoni był w szkołach, ojciec ani razu nie wezwał go do siebie, a to, jak mówił, aby go nie rozpieszczać i nauczyć żyć między ludźmi.

Takie długie rozłączenie i krótkie, groźne listy, podobne do wojskowych ordynansów, nie mogły w synu obudzić delikatnych, serdecznych uczuć rodzinnych. Znał on tylko jedno uczucie, to jest ślepego posłuszeństwa dla woli ojca, którego nauczył się bać i słuchać. I teraz, kiedy już był zaledwie o kilkadziesiąt kroków od domu, nie doznawał wcale tych wzruszeń, jakie owładają człowieka, gdy się zbliża do rodziny. Szedł, aby dojść; myśl nie wyprzedzała nóg, a uczucie, jakie najsilniej przemawiało w nim w tej chwili, było to uczucie głodu. Był głodny jak wilk, a uczucie to tym przykrzejszym się stało, gdy zobaczył, że z komina w domku jego ojca wcale się nie kurzyło. To było złą zapowiedzią dla jego żołądka i bez zapału, obojętnie zbliżał się ku domowi.

Drzwi zastał zamknięte. Zapukał parę razy; jakaś baba, co prała chusty nad stawem, zobaczywszy go stojącego przed domem, podniosła głowę i spytała: --- A do kogo to?

--- Do Jakuba Sikorskiego; czy go nie ma w domu?

--- To się wie, że nie ma; a wy co chcieli od niego?

--- Ja syn jego.

--- A!

Wstała i mokrymi rękami dobywszy zza pasa klucz, rzekła:

--- Weźcie klucz i otwórzcie sobie do kuchni, bo klucz od izby pan Jakub ma przy sobie. Posiedźcie tymczasem w kuchni.

Antoni otworzył drzwi i wszedł do wnętrza domu; ale nie miał ochoty czekać w kuchni. Wyszedł więc po chwili i siadł na progu, patrząc bezmyślnie na babę, wieszającą chusty na płocie, na rzekę i na las za rzeką. Patrzał obojętnie; nic go tu nie zajmowało, żadne wspomnienia nie wiązały go do tych stron. Przypomniał sobie tylko, że w kuchni we dworze, gdy był jeszcze małym chłopcem, często udawało mu się ściągnąć kucharzowi spod ręki to kawał mięsa, to resztki leguminy jakiej, lub dostawał rondle do wylizywania. To były jedyne miłe wspomnienia, które teraz przy pustym żołądkuj tym silniej na jego fantazję działały. Innych miłych wspomnień nie miał w tych stronach.

Ojciec trzymał go ostro, krótko, na zabawy z innymi dziećmi nie pozwalał; pędził go tylko do książki albo kazał sobie pomagać na przewozie. Antoni, patrząc na łodzie przy brzegu, przypominał sobie, ile się nabrał bicia za to, że źle nieraz steru używał lub wiosła, że nieprędko pojmował naukę ojca, który był niecierpliwy i gwałtowny.

Wspomnienia te niezbyt przyjemnie go bawiły. Toteż bez żalu oderwał się od nich i wracał do obecności, która jednak także nie była bardzo powabna. Za długo mu było czekać z próżnym żołądkiem na ojca, więc zwróciwszy się do baby, spytał trochę niecierpliwie:

--- A może wy wiecie, gdzie ojciec poszedł?

--- Ba, co bym zaś nie wiedziała. A no w osterii siedzi --- odrzekła baba, a widząc, że Antoni podniósł się z miejsca, dodała: --- ale wam nie radzę iść po niego, bo oni strasznie nie lubią, żeby im przeszkadzać, jak grają w karty.

Ta uwaga zatrzymała znowu Antoniego. Nie chciał się narażać na gniew ojca i znowu usiadł.

--- A czy wy już po wieczerzy? --- spytał po chwili.

--- Gdzie tam po wieczerzy; a no dopiero warzyć będę dla siebie.

--- A dla ojca?

--- Pan Jakub jadają w osterii wieczerzę.

--- To nieprędko wróci?

--- Różnie bywa; czasem się zabawią i do północka.

Ta wiadomość nie bardzo pocieszyła Antoniego. Zdecydował się bądź co bądź iść do karczmy.

Karczma stała pode dworem przy drodze; było do niej z parę tysięcy kroków.

Ciemno już było dobrze, ale Antoni znał drogę i poszedł, kierując się ku wysokim topolom, które sterczały na tle zielonkawego nieba. Przyszedłszy pod karczmę, zajrzał przez okno. W drugiej izbie siedzał za stołem jego ojciec z drugim jakimś, prawdopodobnie dworskim człowiekiem, i grał w karty, popijając czasem herbatę. Obok herbaty stała jakaś przekąska.

Antoni odważył się wejść do środka i podszedł ku ojcu. Było to właśnie w chwili, gdy stary zajęty był rachowaniem punktów, a że mu jakoś źle szło w karty, więc był w nie bardzo dobrym humorze. Toteż, gdy syn wziął go za rękę, w której właśnie trzymał karty, ofuknął się opryskliwie i zawołał:

--- Któż to u diabła? A, to ty? Jak się masz? Zaraz... nie przeszkadzaj no mi --- i liczył dalej: dwadzieścia siedem, trzydzieści, trzydzieści pięć, a król cztery, to trzydzieści dziewięć.

--- Nie ma dubli --- odezwał się grający z nim, który, jak się pokazało, był kucharzem.

--- A skąd by się wzięła? Potasujcie no karty; zobaczymy jeszcze, jak to będzie.

--- Więc nie dajecie za wygraną?

--- Ani myślę; tasujcie no, tasujcie.

Podczas gdy kucharz mieszał karty, Jakub spojrzał na stojącego przed nim syna i zapytał:

--- No cóż, kiedy żeś przyszedł?

--- Teraz, przed chwilą.

--- I nie było Gertrudy w domu, żeś tu przyszedł?

--- Owszem, ona mi powiedziała, że ojciec tu jesteś.

--- No, siadaj sobie, zaraz skończymy.

Wziął karty i grał dalej. Antoni tymczasem, patrząc na przekąskę, pożerał ją oczyma. Stary musiał to spostrzec, bo spytał nawiasowo:

--- A może ty głodny?

--- Od obiadu nic w ustach nie miałem.

--- To daj pani mu tam herbaty i co przetrącić. Takie było przywitanie ojca z synem po ośmiu latach niewidzenia się. Wydawszy ten rozkaz karczmarce, Jakub zajął się znowu kartami i, nucąc pod nosem, grał dalej. Czasami tylko, w przerwach miedzy jedną grą a drugą, mierzył poważnym wzrokiem syna, zajadającego chleb z serem, i rzucił mu jakie pytanie.

--- A może dość będzie na dzisiaj? --- spytał kucharz.

--- A to czemu?

--- Może, myślałem, będziecie się chcieli nacieszyć synem, może macie co pogadać?

--- Będzie na to czas jeszcze. A to by mi się podobało, żeby ojciec na wyskok zaraz był na usługi syna. Niech czeka.

--- Z drogi, to i może znużony.

--- Albo to nie młody i nie zdrów? Może zaczekać. Zrobimy jeszcze jedną pulkę, ja muszę się odegrać. No, rozdajcie karty.

Ale jakoś na odegranie się nie zanosiło. Karta dziś jakoś nie szła Jakubowi, toteż klął i rzucał się gniewnie.

Wtem wszedł do karczmy leśniczy ze strzelbą na ramieniu. Grający powitali go z uciechą.

--- A gdzież to siedzieliście, Szymonie? --- spytał Jakub --- myślałem, że sobie zagramy we trzech, bo we dwóch jakoś źle mi idzie. Siadajcie no, może się szczęście odwróci --- a zwróciwszy się do kucharza, spytał: --- no, może zaczniemy na nowo?

--- Ha, jak chcecie --- i zmieszał karty.

--- Gdzie żeście to tak długo byli? --- spytał tymczasem Jakub przybyłego.

--- A u wielmożnego, bo jakiś pastuch znalazł pugilares i przyniósł go do mnie.

--- Więc znalazł się?

--- Ba, znalazł, ale bez pieniędzy. Chłopiec, co pasł na wyrębowisku, gdy już zganiał z pola, znalazł pugilares w leszczynie, ale pieniędzy w nim nie było.

Antoni przestał jeść i zmieszany, to blednąc, to czerwieniejąc na przemian, słuchał mówiącego.

--- Wyjął jakiś gałgan --- zawołał Jakub, uderzając pięścią w stół.

--- Pewnie jakiś przechodzień. Pastuch nawet mówił, że widział nad wieczorem jakiegoś podróżnego, który wychodził z zarośli i pakował coś do kieszeni.

--- I kiedyż to było?

--- Przed dwiema godzinami tuż nad wieczorem.

Stary Jakub podniósł głowę i spojrzał przenikliwym wzrokiem na syna. Antoni nie mógł znieść tego spojrzenia i zmieszany spuścił oczy ku ziemi. Na twarzy jego zbyt widocznym był przestrach, aby stary nie miał spostrzec tego. Chrząknął, zmarszczył brwi i grał dalej, ale znać było po minie, że coś innego zajmowało myśl jego. Co chwila mylił się, zapominał, co mu się nigdy przecież nie zdarzało.

Na syna nie spojrzał już ani razu ani przemówił do niego.

Gra przeciągnęła się z godzinę. Jakub był podczas niej bardzo małomówny i chmurny, choć szło mu nieźle. Gdy skończyli, nie zatrzymał się dłużej; krótko pożegnał swych towarzyszów i wyszedł.

Antoni poszedł za nim, choć go nie wołał. Zdawało się, że zapomniał całkiem o synu. Przez drogę milczał uparcie; szedł naprzód, nie zwracając uwagi na syna. To ponure milczenie zapowiadało groźną burzę. Antoni domyślał się, co staremu jest; był pewnym, że podejrzenie ma na niego względem tych pieniędzy, ale nie mógł sam rozpocząć usprawiedliwiać się, nie będąc zapytany. Czekał więc, aż ta burza, co się gotowała w piersiach ojca, rozwiąże się w słowach. Ale stary długo jeszcze po przyjściu do domu nie wymówił ani słowa i gwałtownymi, nierównymi krokami mierzył podłogę w milczeniu. Antoni stał pod oknem i przewracał kartki kalendarza. Wahadło zegara wtórowało w takt krokom starego. Chodził, kręcił wąsa i nad czymś myślał. Na koniec zatrzymał się tuż przed synem, tak blisko, że piersiami dotykał jego piersi i, zapuszczając w niego groźne spojrzenie, pokiwał mu palcem i rzekł:

--- Antoni, pamiętaj, że źle robisz!

--- Co takiego?

--- Jak to, nie domyślasz się?

--- Nie.

--- Kłamiesz. Ty wiesz, o czym ja myślę, o tych pieniądzach, które były w pugilaresie pułkownika. Ty je wziąłeś, prawda? Mów zaraz! Przyznaj się!

--- Nie wziąłem, ojcze.

Tyle zaledwie potrafił odpowiedzieć na swoje usprawiedliwienie. Wobec surowości ojca brakło mu odwagi mówić więcej.

--- Nie wziąłeś? Zaraz się przekonamy; pokaż zawiniątko.

I nie czekając, porwał zawiniątko z ławki, rozerwał niecierpliwie i począł przetrząsać każdy kawałek. Antoni przypomniał sobie ze strachem o fotografii. Miał ją w kieszeni surduta. Był pewnym, że ojciec będzie szukał i znajdzie; to by go zdradziło. Chciał więc nieznacznie wyjąć ją stamtąd i ukryć między kartkami kalendarza. Ale ojciec, spostrzegłszy ten ruchu ukryty, podskoczył ku niemu i chwycił silnie za rękę, w której trzymał fotografię.

--- Co to jest? Co tam chowasz?

Antoni usiłował ukryć na powrót fotografię, ale ojciec wyrwał mu ją z ręki i przypatrzywszy się jej zawołał:

--- To fotografia panny Jadwigi! Skąd ty ją masz! Ona była w pugilaresie; a więc prawdą jest, że ty skradłeś te pieniądze!

--- Nie wziąłem ich.

--- Milcz, nie przyprowadzaj mnie do pasji --- rzekł i uderzył syna w policzek.

Krew wystąpiła na twarz Antoniemu, ale milczał i stał. Stracił już odwagę bronienia się. To milczenie więcej jeszcze utwierdziło ojca w podejrzeniu i podniecało gniew jego.

--- Ty śmiesz się jeszcze zapierać? Ty... A, łotrze!

Tu powtórzył uderzenie i zawołał z wściekłością:

--- Gdzie te pieniądze? Gdzie je schowałeś? Daj je!

I począł nim trząść, szarpać i przewracać kieszenie jego, rozdzierać odzienie. A wśród tych czynności ciągle gadał rozirytowany:

--- Pięknej doczekałem się pociechy! Nie ma co mówić. Po ośmiu latach nauki wyuczył się brać cudze pieniądze. I to czyje? Opiekuna, dobroczyńcy swego! A wiesz, ty gałganie, że gdyby nie on, byłbym dziadem, żebrakiem, ja i ty. Co mamy, to jemu winni jesteśmy. I pięknie mu się za to odpłacasz! Sprawię ja się z tobą za to; stłukę na kwaśne jabłko! Jak mi Bóg miły! Ja cię oduczę kraść. Żebyś pod ziemię schował te pieniądze, to ja je dobędę. Dotąd będę tłukł i walił, aż wyśpiewasz wszystko. Ze mną żartów nie ma. Popamiętasz ty, co to ojciec!

Wśród tego gadania szukał starannie po kieszeniach, za koszulą, za podszewką, ale nic nie znalazł.

--- Gdzieś podział te pieniądze, łotrze, he?

--- Ja nie brałem żadnych pieniędzy --- odrzekł syn ponuro, głosem rozmiękłym od żalu.

--- A gdzież się podziały?

--- Ja nie wiem; skąd ja mogę wiedzieć?

--- A to skąd się do ciebie dostało? --- spytał Jakub, wskazując na fotografię.

--- To znalazłem.

--- Gdzie?

--- W leszczynie.

--- I nic tam więcej nie było?

--- Nie, tylko papiery jakieś i pugilares.

--- A czemuś ich nie wziął, nie przyniósł do domu, he? Czemuś jedno wziął, a resztę nie?

Antoni nie wiedział, co odpowiedzieć. Skulił ramiona i odrzekł:

--- Bo ja wiem, czemu?

--- Ale ja wiem. Zabrałeś pieniądze, a pugilares rzuciłeś, by cię po nim nie odkryto, i myślałeś, że ci się udało. Ale Pan Bóg, co zbrodnie karze, zrobił, że mały ślad cię zdradził. Ta fotografia cię zdradziła, rozumiesz? Ona pokazała cię jakby palcem i powiedziała: Ten złodziej, tego chwytajcie!

To mówiąc, przyłożył mu prawie do samych oczu fotografię i tłukąc nią syna po twarzy, wołał z gwałtownością:

--- I schwycimy cię, ptaszku! Musisz wyśpiewać, gdzie te pieniądze; będę bił, dopóki nie powiesz.

--- Bijcie, bijcie, choćbyście mnie zabili, ja więcej nie powiem.

--- Zobaczymy.

Poszedł do drugiego pokoju i wyniósł grubą trzcinę. Syn na widok tego narzędzia egzekucyjnego zbladł; strach go ogarnął na myśl tego, co przecierpieć trzeba będzie, i chciał uciekać. Ale stary chwycił go za rękę i odepchnąwszy od drzwi, podniósł laskę do góry. Antoni usiłował się zasłonić i wystawiwszy rękę, pochwycił laskę w zamachu. Ten upór roznamiętnił starca, wyrwał laskę z rąk syna i począł go okładać bez litości, machając nią na oślep. Razy padały na nieszczęśliwego jedne po drugich. Jedno takie uderzenie padło na skronie i ogłuszyło go. Zemdlał i padł na ziemię z łoskotem. To dopiero zreflektowało rozgniewanego starca i zatrzymało jego rękę. Upuścił kij i z przestrachem spojrzał na leżącego, który nie dawał znaku życia. Jakub schylił się, dotknął czoła jego, było zimne; potrząsnął nim gwałtownie i zawołał drżącym nieco głosem:

--- Antoni! Antoni! Wstań! Słyszysz?

Leżący nic nie odpowiedział; usta miał zaciśnięte, a na martwej twarzy wyraz bolesnej skargi. Okropnym

była wyrzutem dla starca ta twarz nieruchoma, z zamkniętymi oczami, bladosina. Nie mógł patrzeć spokojnie na nią, odwrócił się, pobiegł ku drzwiom i zawołał:

--- Wody! Na miłość boską, wody!

Długo musiał krzyczeć, zanim zaspana Gertruda wpadła do izby.

--- Co się stało? Wszelki duch Pana Boga chwali!

--- Wody! --- wrzasnął Jakub rozpaczliwie.

--- Pali się! O, święty Florianie!

Pobiegła do kuchni po wodę i powróciła wnet z konewką.

--- Gdzie się pali?

--- Stul gębę, stara, nie wrzeszcz; idź polej mu na głowę.

Tu wskazał na leżącego. Baba teraz dopiero spostrzegła, co się stało.

--- O, dla Boga, a toć on nieżywy!

--- Kłamiesz stara! --- wrzasnął Jakub rozpaczliwie, przyskoczył do syna, odepchnął Gertrudę i chwyciwszy w garść wody, prysnął nią na twarz jego i potarł czoło i skronie. Potem odjął rękę od twarzy i czekał na skutek, wpatrując się w leżącego. Oczekiwanie zatrzymało mu oddech w piersiach, chwile wydawały mu się okrutnie długimi. Nareszcie leżący dał znak życia, usta lekko się poruszyły, jakby coś chciał mówić.

Stary odetchnął; niebezpieczeństwa już nie było. W miarę jak syn przychodził do siebie, czułość starego Jakuba i troskliwość nikły, a rysy jego zaostrzyły się znowu i spochmurniały. Wstał, zanim syn oczy otworzył, i odwracając się do Gertrudy, rzekł chłodno i szorstko:

--- Jak przyjdzie do siebie ten gagatek, to zaprowadź go do sieni i pościel mu tam, niech się prześpi, to mu będzie lepiej.

To powiedziawszy, poszedł do drugiej izby i zamknął drzwi za sobą.

Antoni tymczasem powoli przychodził do siebie i otworzył oczy. Potrzebował czasu, żeby się zorientować, co się z nim stało, gdzie jest... Wypatrzył dziwnie oczy na klęczącą przy nim Gertrudę i spytał z przestrachem: --- Ktoś ty?

--- Ja jestem Gertruda, kucharka waszego ojca; przecie widzieliście mnie już dzisiaj.

Trzeba było mu to przypomnieć, bo w pierwszej chwili pomarszczoną, żółtą twarz baby, oświeconą łojówką, brał za jakieś potworne widzenie. Dopiero, gdy mu wspomniała o ojcu, przypomniał sobie, gdzie jest i co się stało przedtem. Obejrzał się z przestrachem wokoło i spytał:

--- A gdzie on?

Stara pokazała na drzwi i szepnęła:

--- Poszedł spać. Chodźcie i wy, pościelę wam w sieni, tam chłodniej, to wam będzie zdrowiej.

Nie odpowiedział nic, dał się podnieść babie i poszedł za nią osłabiony i zmęczony do sieni. Tu zrzuciła mu ze strychu parę wiązek słomy i prześcieradłem nakryła. Antoni powalił się na posłanie jak kłoda i niezadługo zasnął. Śniło mu się, że gdzieś w lesie jacyś złoczyńcy opadli go i zabić chcieli. Jeden bił go pałką po głowie, drugi dusił go za gardło. Wtem zobaczył amazonkę na koniu, tę samą, którą widział był tego wieczora i której fotografię znalazł w leszczynie. Amazonka pędziła szybko, sarna biegła za nią. Chciał krzyknąć, by go ratowała, wyciągał ręce za nią, ale głos nie mógł się przedrzeć przez ścieśnione gardło, ręka skrępowana opadła na dół --- amazonka nie słyszała nic, nie widziała nic i pojechała dalej, sarna tylko na chwilę zatrzymała się, popatrzyła na niego dziwnie litościwie i pobiegła za swą panią. On jęknął boleśnie, że nawet nie widziała, iż ginął przez nią i dla niej; dlaczego przez nią i dlaczego dla niej, tego mu sen nie wytłumaczył, żadne z sennych widziadeł mu tego nie powiedziało, a jednak takie miał przekonanie, że zjawienie się jej w lesie miało bliski związek z napadem morderców, którzy go dobijali.

III

Nazajutrz, nim się Antoni obudził, stary Jakub wstał i wyszedł do rzeki. Odwiązał łodzie i przewiózł się na drugą stronę po ludzi, którzy szli na targ do miasta. Niedługo jednak pozostał u przewozu. Zawołał z sąsiedniej chałupy chłopa, który go zwykle wyręczał, oddał mu wiosło, a sam poszedł ku dworowi. Był zamyślony i nieswój; wczorajsza scena z synem tkwiła mu w pamięci. Stary niekontent był z siebie, żałował swojej zbytniej gwałtowności wczorajszej, i dlatego może nawet wcześniej wyszedł z domu, aby uniknąć spotkania z synem. Sam nie wiedział, co mu teraz zrobić wypadało, i dlatego szedł po radę do księdza proboszcza. Przekonał się, że kijem nie wymoże na synu wyznania. Chciał, aby proboszcz w imię religii nagadał mu do serca i skłonił do mówienia prawdy. Bo że syn wziął te pieniądze, o tym był jak najmocniej przekonany, i to go gryzło bardzo.

--- Kto wie, z jakimi ludźmi się to zadawało w mieście i zepsuło się. Gdybym go był miał więcej pod okiem, byłbym może ustrzegł go od tego

W tych rozmyślaniach doszedł do plebanii. Proboszcz był już w kościele i miał mszę. Jakub poszedł tam i wysłuchał mszy świętej, prosząc Pana Boga o dobrą radę i modląc się do Przemienienia Pańskiego. Po mszy poszedł do zakrystii i na powitanie pocałował księdza w rękę.

--- A co tam, mój Jakubie, co powiecie?

--- Przyszedłem do dobrodzieja poradzić się.

--- W czym?

Jakub zawahał się i spojrzał na kościelnego. Ksiądz domyślił się, że tu idzie o coś sekretnego, i rzekł:

--- A może to dłuższa historia, to chodźcie do mnie.

Poszli więc przez kładkę, co szła ponad drogą do plebanii, gdzie gospodyni czekała już na księdza z kawą.

--- A może szklaneczkę kawy pozwolicie? Wy pewnie jeszcze na czczo.

--- Dziękuję ślicznie księdzu dobrodziejowi; mnie się już i jeść odechciało.

--- O! Cóż takiego? Więc macie jakiś kłopot, zmartwienie?

--- I duże. Mój chłopak wrócił wczoraj do domu.

--- I może dowiedzieliście się, że się źle uczył?

--- Tego nie wiem, nie widziałem jeszcze jego świadectw. Ale to mniejsza; wolałbym, żeby mniej umiał, a był uczciwym człowiekiem.

--- A podejrzewacie go, że nim nie jest? Któż wam to mówił?

--- Wszystko się tak jakoś składa na to. Ksiądz dobrodziej wie o pugilaresie dziedzica?

--- No cóż, nie znalazł się?

--- Znalazł go pastuch i przyniósł go wczoraj do dworu, ale bez pieniędzy; tak go już znalazł pastuch... Mówił przy tym, że w miejscu, gdzie znalazł pugilares, widział przedtem jakiegoś człowieka podróżnego.

--- I nie wiecie, kto to był?

--- Otóż to moje nieszczęście, że wiem, bo to był mój syn.

Ksiądz przestał pić kawę i przysunął się do Jakuba.

--- On? Więc on zabrał te pieniądze?

--- Jestem pewny.

--- Czy się przyznał?

--- Nie, choć go porządnie przetrzepałem.

--- Więc skądże pewność?

--- Przetrząsając jego kieszenie, znalazłem tę fotografię.

Tu podał księdzu fotografię córki dziedzica, pogiętą nieco przy wczorajszym szamotaniu się z synem, i dodał:

--- Fotografia ta była w pugilaresie wraz z pieniędzmi.

Ksiądz wpatrywał się w fotografię, ale widocznie nie o niej myślał. Na twarzy jego był frasunek i mówił jakby do siebie:

--- Szkoda chłopaka!

--- A co gorsza, co mnie najwięcej boli, to, że takiego haniebnego czynu dopuścił się względem dobroczyńcy swego. To nie proste złodziejstwo, ale i niewdzięczność sromotna. To świadczy o bardzo złym sercu. Chowałem go umyślnie ostro i w biedzie, myślałem, że przez to wyrobi się na uczciwego i pracowitego człowieka... tymczasem inaczej się stało.

--- Przyślijcie go do mnie jutro --- rzekł ksiądz po namyśle --- ja go wybadam po dobroci. Wy, Jakubie, jesteście trochę za gwałtowny; może się chłopak zalękł i dlatego bał się przyznać.

--- A może nie zechce pójść.

--- Nie powinien wiedzieć, żeście mówili ze mną w tej sprawie; powiedzcie mu, żeby przyszedł mi do mszy posłużyć albo świadectwa pokazać.

--- O mój dobrodzieju! --- rzekł Jakub, wstając i całując księdza w rękę --- otóż właśnie o to prosić chciałem.

--- Nie macie za co dziękować; mnie samemu idzie o przekonanie się, byśmy chłopaka bez powodu nie potępiali. Bo jeżeli on niewinny, to takie podejrzenie okropnie go boleć musi, a nawet szkodliwie wpłynąć może na całe życie. No więc do jutra.

Jakub pożegnał księdza i wrócił do domu. Zastał syna siedzącego na progu, zapatrzonego gapiowato, bezmyślnie w gniazdo bocianie. Ujrzawszy nadchodzącego ojca, zerwał się żywo i podszedł nieśmiało pocałować go w rękę. Ten dowód pokory nie bardzo ułagodził starca, bo sobie tłumaczył, że jest takim dlatego, iż czuje się winnym. Nie patrząc na niego wcale zapytał:

--- Jadłeś śniadanie?

--- Gertruda zgotowała mi mleka.

--- No, to czegóż siedzisz? Nie możesz wziąć się do jakiej roboty? Idź, pomóż Maćkowi przewozić; tu u nas próżnować nie można.

Antoni poszedł bez szemrania.

To ślepe posłuszeństwo podobało się staremu żołnierzowi i rozmiękczyło trochę jego serce. Patrzał za idącym ku rzece i mruczał:

--- Diabli wiedzą, co myśleć o tym chłopaku. Zdaje się niezłym i poczciwą ma minę, a jednak...

Ha, może tylko zły przykład, to by jeszcze dało się naprawić; ale jeżeli ta jego pokora tylko udaniem...? Boi się, więc się przyczaił. Zobaczymy, co ksiądz proboszcz powie; to człowiek mądry i zna serca ludzkie, on go wybada.

Uspokojony tym, wszedł do izby i wziął się do porządkowania papierów, potem omiótł zegar, nakręcił go, a następnie zasiadł do kalendarza. Było to zwykłe jego i jedyne czytanie. Wyczytawszy kiedy nów, jaką pogodę kalendarz obiecuje, wziął się do czytania anegdot i ciekawszych wypadków, które szły tuż po wykazie jarmarków. Jakub czytał, ale mało myślał o tym, co czytał, i mało co widział z tego. Anegdoty wydawały mu się jakoś niezabawne, śmiać się z nich nie mógł dzisiaj i prędko przechodził je oczyma. Podobnie i ciekawe zdarzenia nieciekawymi mu się wydawały i nie zatrzymywał się przy nich długo. Ale jedno zdarzenie więcej go jakoś zajęło. Przerzucił je był tak jak inne, ale po chwili znowu się zabrał do przeczytania go z większą uwagą. Był to opis wypadku jakiejś kradzieży w południowej Francji, o którą podejrzewano służącego zamku. Poszlaki były tak przekonywające, że posądzonego na mocy tego skazano na siedm lat więzienia. Nie przetrzymał tych lat i w piątym roku umarł. Dopiero po jego śmierci w lat parę odkryto przypadkiem istotnego złoczyńcę, który, przy śledztwie o jakąś wielką zbrodnię, przyznał się do tej kradzieży. Artykuł ten zastanowił Jakuba nie tyle może treścią, jak tym, dlaczego dziś właśnie ten wypadek przyszedł mu pod oczy. Położył kalendarz i począł rozmyślać nad owym zdarzeniem, i mimo woli nasunęło mu się porównanie z obecną chwilą.

Jeżeli mądrzy sędziowie mogli się tak pomylić w potępieniu człowieka niewinnego, to któż mu zaręczy, że i on się nie myli? Wszak i tam były pewne poszlaki, które mówiły przeciw nieszczęśliwemu, a jednak pokazały się fałszywymi.

--- Bóg by dał, żeby i tu tak było --- mówił sobie

--- przecież to krew szlachecka w tym chłopcu. Te uwagi, lubo nie przekonały w zupełności, ale znacznie ułagodziły starego i usposobiły go lepiej względem syna, tak że już przy obiedzie więcej z nim mówił i mniej surową miał twarz. O wczorajszym zajściu nic nie wspominał.

--- A trzeba będzie --- rzekł przy końcu obiadu

--- żebyś poszedł do księdza proboszcza i przedstawił mu się. To się należy: on pasterz nasz. Może cię będzie potrzebował do posługi do mszy świętej; możesz pójść zaraz jutro do niego.

--- A może i do dworu wypadałoby mi iść podziękować dziedzicowi?

Pytanie to było z taką szczerością i spokojem zrobione, że starego zmieszało i zastanowiło. Spojrzał na syna i pomyślał sobie: albo bezczelny, albo niewinny, inaczej nie mówiłby z taką śmiałością o dziedzicu. A potem, widząc, że syn czeka na odpowiedź, dodał głośno:

--- Nie ma nic pilnego, do pałacu pójdziemy później.

Nie mówił więcej o tym, by nie dotknąć drażliwej kwestii, o której chciał milczeć zupełnie aż do decyzji księdza proboszcza.

Nastąpiło to wcześniej, niż się spodziewał, bo proboszcz, nie czekając jutra, zaszedł niby przypadkiem do domku Jakuba. Stary ucieszył się bardzo tym dowodem pamięci plebana i nie mógł mu się dość nadziękować, całując go po rękach. Następnie przedstawił mu syna, który także z pokorą ucałował rękę księdza.

Proboszcz przypatrzył się uważnie chłopcu i pierwsze wrażenie, jakie na nim zrobił, było bardzo dobre.

--- Pan podobno skończyłeś już gimnazjum? --- spytał, chcąc zawiązać rozmowę.

--- Co mu dobrodziej będzie panował? Co za pan? Student smarkacz i basta.

--- A ileż ma lat?

--- Dwadzieścia pięć.

--- No to już nie taki smarkacz --- rzekł proboszcz z uśmiechem. --- Należy mu się już trochę respektu, bo to przecież akademik. Czy już po maturze? --- spytał, zwracając się znowu do młodego, który stał wyprostowany, jakby miał odpowiadać lekcję.

--- Już --- odrzekł.

--- Jakże poszło?

--- No, pokażże księdzu dobrodziejowi świadectwa.

Antoni poszedł po zawiniątko, dobył z niego książkę, i wyjąwszy z niej świadectwa, podał księdzu.

Ksiądz przejrzał je uważnie, niektóre odczytywał szczegółowo, a potem odezwał się:

--- To matura poszła z wyszczególnieniem? Powinszować! Świadectwa wszystkie jak najlepsze. Widzę, nie darmo się jadło chleb w szkołach. Najlepiej jednak szła filologia. Łacinnik z pana tęgi zapewne? No, może na

profesora pójdziemy, co?

Antoni skromnie ruszył ramionami i spojrzał na ojca.

--- To się zobaczy, to się zobaczy --- mruczał stary.

--- Pogadamy o tym kiedy dłużej; może mnie odwiedzisz pan czasem?

--- Mógłby i do mszy posłużyć --- wtrącił ojciec.

--- Kiedy to dzisiejsza młodzież nie bardzo lubi zasługiwać się Panu Bogu.

--- A dyć by ja jemu kości połamał, żeby nie chciał chwalić Pana Boga! --- wybuchnął stary.

--- To byście się źle przysłużyli Panu Bogu; zła to już rzecz, kijem napędzać do kościoła. Przymusowy pacierz Panu Bogu niemiły

--- No, gadajże bałwanie, umiesz służyć do mszy czy nie?

--- Umiem. U księży Karmelitów służyłem i do mszy i do sumy, a nawet przy celebrze księdza biskupa posługiwałem.

--- No to bardzo dobrze. To jutro zaraz będziemy korzystać z tego. Mój Szymek ma teraz w polu robotę, to i posłużyć nie ma kiedy. Dlatego muszę ranniej odprawiać mszę. Więc jutro czekam.

Powstał i zabierał się do odejścia. Naraz coś sobie przypomniał i rzekł:

--- Powiem wam nowinę.

Mówiąc to jednak nie patrzał na Jakuba, tylko na syna jego.

--- Cóż za nowinę? Dobrą jaką? --- spytał Jakub.

--- Pieniądze dziedzica się znalazły. Twarz Antoniego rozjaśniła się na te słowa.

--- Chwała Bogu! --- zawołał ucieszony, a łzy radości zaszkliły się w oczach jego.

Ksiądz widział to i gdy Antoni odwrócił się, by ukradkiem otrzeć łzy, których się wstydził, ruchem głowy pokazał Jakubowi syna, jakby mówił:

--- Masz dowód.

Ksiądz nie wątpił o niewinności młodego człowieka. Znawca serc ludzkich nie dał się byle czym zmylić. Znał fałszywe łzy, widział i prawdziwe boleści; najzręczniejsi komedianci odsłaniali przed nim tajniki swej duszy, umiał więc odróżnić udanie od prawdy.

Gdy wszedł do sieni, Jakub wysunął się za nim.

--- Czy doprawdy znalazły się te pieniądze?

--- Nie, to był fortel, ale mogliście się z niego przekonać, że syn wasz nie popełnił grzechu.

--- A jednak ta fotografia...

--- Dowiemy się o wszystkim. Przyjdźcie jutro wieczorem do mnie, powiem wam bliższe szczegóły. Dziś tylko mogę wam powiedzieć, że niesłusznie posądzaliście syna waszego.

Jakub nic nie odpowiedział; uszanował zdanie księdza, ale tym razem nie polegał na nim całkowicie i był pewnym, że ksiądz sam zmieni zdanie do jutra wieczora. Ale pomylił się, bo jeżeli tego dnia ksiądz rozgrzeszał jego syna i uniewinniał, to na drugi dzień, po dłuższej z nim rozmowie, mówił o nim z uwielbieniem.

--- Wstydźcie się, stary --- mówił, gdy Jakub według umowy stawił się u niego wieczorem --- obmówiliście syna. Ja się zabrałem do niego jak do grzesznika, a tymczasem przekonałem się, że on nam wszystkim mógłby dać rozgrzeszenie. To chłopak czysty, nie zepsuty, to dusza dziecka w dorosłym człowieku. Wyspowiadał mi się ze swego życia i mam szacunek dla tego chłopaka. Takich teraz niewielu się spotyka.

--- Ale skądże ta fotografia? --- powtórzył uparcie stary.

--- Znalazł ją przy pugilaresie, w którym już pieniędzy nie było. Podobała mu się i zabrał ją, zwyczajnie jak młody...

--- A czemu pugilaresu nie wziął?

--- O to spytajcie siebie samego. Wychowaliście chłopca pod batem, trzymaliście ostro, toteż teraz nie ma do was zaufania i boi się was.

--- Chowałem go tak, jak mnie chowali --- odezwał się Jakub na swoją obronę.

--- Inne były czasy, a i wy może inni. Inaczej, mój Jakubie, trzeba się obchodzić ze szkłem, a inaczej z drzewem. Są różne natury: jedną bat poprawi, drugą znarowi. Wasz syn ma duszę piękną, ale ta dusza, nie rozgrzewana miłością i dobrocią, skurczyła się, pokrzywiła. Trzeba łagodnego i długiego obchodzenia się z nią, by przyprowadzić do zdrowia i naturalnego stanu, by to, co dziś wydaje się kalectwem moralnym, wyprostowało się.

Jakub wytrzeszczył oczy na księdza, ale zdawał się niewiele z tego rozumieć. Ksiądz spostrzegł to, że mówił trochę niejasno i ogólnie, więc dodał prędko:

--- Oto wczorajszy wypadek pokazuje, jak złe poprowadzenie wychowania skrzywiło ten młody umysł. Syn wasz znalazł ten pugilares, pieniędzy w nim nie było, on ich nie wziął, był przekonany, że jest niewinny, a jednak nie zrobił tak, jak uczciwy człowiek zrobić był powinien, nie odniósł właścicielowi. Czemu? Bo się bał, żeby go nie posądzono. Ta obawa, ta nieśmiałość nie pozwoliła zrobić mu dobrze, wstrzymała jego uczciwość. Surowość więc wasza, Jakubie, źle się przysłużyła synowi.

Wychowany w postrachu, stracił wiarę w siebie, brak mu woli, pewności, śmiałości; to nawet stępiło trochę jego myślenie. Umie wiele, wie mało. W rozmowie z nim przekonałem się, że w głowie jego jest skarbnica różnych wiadomości; com sięgnął pytaniem, tom dobył z niego jakiś cenny przedmiot, ale on sam tego dobyć z siebie nie umie. Wydaje się jakby prostym dozorcą swoich własnych skarbów, samodzielność w nim się jeszcze

nie rozbudziła. Powinniście mu pofolgować, dać mu zupełną wolność działania. To jest konieczne, jeżeli nie chcecie, by wam zmarniał chłopak.

--- I cóż mu tak złego z tym, że ojca słucha? Wszak to religia nakazuje.

--- Ale nie nakazuje traktować dziecka jak bydlę. Toż to wczoraj ledwieście go życia nie pozbawili.

--- Mówił i to?

--- Mówił, nie skarżąc się wcale. Opowiadał mi tylko wszystko, co zaszło wczoraj. On tego nie uważa za coś nadzwyczajnego i z pokorą przyjął wszystko, ale ja, jako kapłan, muszę zwrócić waszą uwagę, że źle robicie; z człowieka zrobiliście maszynę.

Chłopiec ma lat dwadzieścia pięć i nie wie czym będzie; nie ma żadnych pragnień, żadnych zamiarów, i powtarza tylko: ojciec coś postanowi, ja nie wiem. Czy to jest dobrze?

Stary Jakub nic nie odpowiadał, ale w duszy odpowiedział sobie: tak. Przyzwyczajony do rygoru wojskowego uważał posłuszeństwo za największą cnotę i nie mógł zgodzić się na zdanie księdza, że surowość szkodzić może.

--- On nigdy nie był ojcem, to nie wie, jak dzieci prowadzić należy --- pomyślał sobie i niewiele zważał na słowa księdza, które nawet były dla niego po większej części niezrozumiałe.

Z tego wszystkiego pojmował tylko tyle, że syn jego nie wziął pieniędzy, i to go zadowalniało, więcej nie chciał wiedzieć. Nie bawił tedy długo i podziękowawszy księdzu za zajęcie się chłopcem, wrócił do domu. Syna zastał u przewozu. Nie odwoływał go od tej roboty.

--- Niech pracuje --- mówił do siebie --- praca go nie zepsuje.

Wszedł do izby i nałożywszy fajkę, usiadł. Ale słowa księdza, jak natrętne komary, brzmiały mu ciągle nad uchem i prześladowały go. Opędzał im się jak mógł, własnymi uwagami:

--- Czego ten ksiądz chce? Żem wyprał chłopca za to, iż myślałem, że wziął pieniądze, toć przecież nie ma w tym nic złego. To go odstraszy na drugi raz od złego, gdyby mu przyszła pokusa. Toć to dawniej gorzej było. Ojciec, puszczając w świat syna, dodawał mu do nauk i morałów kilkanaście batów, aby lepiej zapamiętał sobie przestrogi. I nikt się tym nie gorszył, i było dobrze, ludzie byli lepsi, pobożniejsi niż teraz. Mówi ksiądz, że chłopak dobry; a kto wie, czyby był taki, gdybym go za młodu nie był krótko trzymał. Ot, gadanie księdza i nic więcej.

Tłumaczył się sam przed sobą stary, jak mógł, i jak rozumiał, ale słowa księdza niepokoiły ciągle jego sumienie wyrzutami.

Zżymał się i rzucał, że mu to niepotrzebnie zaprząta myśli, ale nie mógł nie myśleć o tym.

Pomimo że uparcie stał przy swoim, jednak rozmowa z księdzem wpłynęła o tyle na niego, że gdy wieczorem znalazł się razem z synem, był już o wiele łagodniejszym w postępowaniu z nim, to jest o tyle, że próbował nawet rozmawiać z nim jak z człowiekiem. Ale mu jakoś nie szło, nie wiedział, o czym z nim mówić, by nie naruszyć swojej powagi ojcowskiej. Syn, również nie przyzwyczajony do poufałej rozmowy z ojcem, odpowiadał krótko jak student. Toteż rozmowa wnet się urwała, jakby między ludźmi obcymi, którzy się nie znają i nie wiedzą o czym mówić. Stary czuł, że cały wieczór trudno by tak przebyć. Zabrał się więc i poszedł do karczmy na partyjkę. Tylko odchodząc, polecił Gertrudzie, aby synowi zgotowała wieczerzę dobrą, bo się napracował z wiosłem, to mu się należy. A do Antoniego rzekł:

--- Jutro pójdziemy do pałacu. Musisz podziękować dziedzicowi za opiekę i poradzić się go, co masz robić dalej. On nakładał na ciebie, on ma prawo kierować i rozporządzać twym losem.

IV

Pałac pana Lipskiego, dziedzica Zarzecza, stał na wzgórzu, w wieńcu wysokich, włoskich topoli, które są nieodłącznymi towarzyszami wszystkich naszych dworów szlacheckich. I tu dawniej topole te otaczały duży, stary modrzewiowy dwór, a za dworem był ogród, otoczony cienistą, topolową aleją, poprzerzynany prostymi ścieżkami na różne kwadraty, w których za gęstą obsadą agrestów rosły bujnie włoskie jarzyny. Ale pan Lipski, objąwszy majątek w posiadanie, obrócił dwór na mieszkanie dla służby, a sobie zbudował wspaniały pałac w stylu Odrodzenia, z kamiennymi" balkonami, salą jadalną i balową, gdzie była galeria dla muzyki, z kaplicą o marmurowych ołtarzach; sienie i schody wyłożył także marmurem i ubrał posągami, a do pokojów sprowadził meble z Paryża. Włoski ogród przemienił w park angielski, a oranżerię urządził z niesłychanym przepychem.

Taka pańska fantazja grubo go kosztowała. Trzy wsie: Prędocin, Zielona Wola i Zalesie, poszły na opędzenie kosztów urządzenia pałacu. Było to jeszcze za życia żony, która odradzała, na ile mogła, mężowi takie zbytkowne wydatki, ale pułkownik uparł się przy swoim. Taką już miał naturę, że im więcej mu co odradzano, im bardziej uznawał słuszność rad cudzych, tym uparciej stał przy swoim przez jakiś fałszywy wstyd. Upór to był dosyć kosztowny, szczególniej gdy się przekonał, że nie było dla kogo stawiać takiego pałacu. Sąsiedztwa były nieliczne, i nie ze wszystkimi, które były, żyć wypadało, na utrzymanie pałacu trzeba było dużo pieniędzy i służby, i zapełnić go nie mógł dostatecznie trzema osobami, to jest sobą, żoną i matką żony. Zaledwie kilka pokoi zajmowali, reszta musiała zostać nie zamieszkaną. Ogromna sala balowa i jadalnia stały pustką, mało kto kiedy zajrzał tam przez rok, wyjąwszy służbę, która je z obowiązku odwiedzać i oczyszczać musiała. Pułkownik wiedział, że głupstwo zrobił, i dał sobie pokój z budownictwem.

Ale niezadługo przyszła mu inna fantazja. Pułk huzarów stojących w okolicy urządził był raz wyścigi pod miasteczkiem.

Pułkownik wystąpił ze swoim bułanym wierzchowcem i wziął udział w wyścigach. Ale bułanek, choć znakomity wierzchowiec do zwyczajnej jazdy, pokazał się do wyścigów za ciężki i przegrał. To ubodło dumę pułkownika i obudziło w nim pasję do koni. Sprowadzał je z Anglii, sprzedawał, wymieniał, przyjął do nich groma i wysyłał je do Wiednia, Warszawy i Lwowa na wyścigi. Namiętność ta połknęła niemało fortuny, a niegospodarność wyniszczyła resztę. Przy śmierci żony pułkownik już resztkami gonił, wsie jedna po drugiej szły na licytację, a dłużnicy chcieli zabrać jeszcze Zarzecze i folwarki.

Wtedy matka żony stanęła w obronie zagrożonej fortuny. Spłaciła swoim majątkiem dłużników, ale ocalone w ten sposób wsie przepisała w tabuli na siebie, a raczej na wnuczkę swoją. Wzięty w ten sposób w kuratelę pułkownik umitygował się trochę i nie mając już co puszczać, przysiadł cicho w domu, prawie na łasce swej teściowej.

Nie był to wcale zły człowiek, owszem, jeden z tych ludzi, którzy się kochać każą, którzy umieją sobie zdobywać serce dobrocią i uprzejmością; ale był nadzwyczaj lekkomyślny, a raczej nie umiał się rachować z jutrem i wydatkami, szczególniej, gdy szło o pokazanie się. Ambicja górowała w jego czynnościach, podsycana pańską fantazją. Wszystko, co robił, robił nie tyle dla własnego zadowolenia, jak dla utrzymania świetności rodu i rozgłosu. Rzucał pieniądze garściami, nie licząc się z nimi, a rozrzutność swoją uważał za rodzaj powinności, do której go urodzenie jego obowiązywało. Rozrzucał, póki mógł, a gdy kieszeń się wypróżniła, z taktem i spokojem człowieka dobrze wychowanego złożył władzę, abdykował na rzecz swojej teściowej i znosił swoją niewolę z godnością, jak Napoleon na Wyspie Świętej Heleny. Tego porównania sam nieraz używał w przystępie dobrego humoru.

--- Mógłbym --- mawiał wtedy --- zebrać resztki mojej rozproszonej armii i walczyć jeszcze choćby ze sto dni, zanimby mnie zatrzymało jakie Waterloo, ale dla szczęścia mojej drogiej Francji nie zrobię tego.

Mówiąc to, patrzał na swoją drogą Francje, którą przedstawiała jego córka, z uśmiechem pełnym szczęścia i dumy. Ona była rzeczywiście teraz jedyną dumą jego, jedynym wielkim marzeniem. Nie mając już za co budować pałaców, budował w imaginacji różne plany, tyczące się przyszłości Jadwini. Małżeństwo jej miało nagrodzić poświęcenie, jakie zrobił dla niej, zgadzając się na życie pod kuratelą teściowej. Pragnął, by zrobiła świetny los, by znalazła partię odpowiednią staremu rodowi Lipskich.

Marzenia jego teraz sprawdzić się miały. Pałace jego marzeń stawały się rzeczywistością i miało to nastąpić niezadługo. Narzeczony pochodził z dobrej familii, był bogaty, młody, przystojny, zakochany w pannie i nawzajem bardzo kochany --- czego więcej mógł sobie życzyć? Narzeczony miał przybyć za parę tygodni, zabawić u nich z miesiąc, potem mieli wyjechać dla dokompletowania wyprawy za granicę, następnie pan młody miał jechać po błogosławieństwo do sędziwych rodziców na Podole i wraz kilkoma krewnymi przybyć na dzień świętego Michała do Zarzecza na obrzęd weselny.

Taki był program przedślubny, który pułkownik zmieniał, poprawiał i ulepszał z prawdziwym zamiłowaniem. O niczym teraz nie myślał, tylko o tym. I w tej chwili właśnie zastajemy go w alei grabowej, rozmawiającego z leśniczym o polowaniu, które miano urządzić po przyjeździe pana młodego. Stary leśniczy, z ogromnymi wąsiskami, ze strzelbą przewieszoną przez ramię, stał z odkrytą głową przed dziedzicem i słuchał jego rozkazów. Jadwinia stała obok i układając bukiet z polnych kwiatów, które przyniosła ze spaceru, przysłuchiwała się i brała nawet czasem udział w układaniu programu.

Aleja, w której stali, szła wysoko ponad murem ogrodowym. Był z niej widok na drogę i łąki leżące z drugiej strony drogi. Spod ogromnej lipy, pod którą właśnie Jadwinia złożyła kwiaty, do bramy wjazdowej było ledwie kilka kroków, tak że można było widzieć każdego wchodzącego lub wjeżdżającego w bramę. Były nawet

między krzakami bzu małe kamienne schodki, po których można było zejść do furtki przy bramie lub wejść nią do ogrodu, omijając pałacowy podwórzec. Tą drogą przed chwilą właśnie Jadwiga wróciła ze spaceru.

Była godzina dwunasta. Słońce lipcowe dopiekało mocno, nawet pod cieniem drzew powietrze było rozgrzane, w polach było cicho, natura zdawała się usypiać i omdlewać wśród upału; ludzi nawet niewielu było po polach, bo zeszli na południe do domów.

W taką porę stary Jakub wybrał się z synem do pałacu. Już byli zaledwie kilkanaście kroków od bramy, gdy naraz z ogrodu, spod lipy, doleciał ich głośny krzyk:

--- Moja Leda! Ratujcie!

Był to krzyk kobiecy. Antoni podniósł głowę i zobaczył swoją amazonkę, stojącą pod lipą, z twarzą okropnie bladą, oczami zapatrzonymi z trwogą przed siebie i wskazującą palcem na pola. Mimo woli zwrócił oczy w kierunku jej ręki na łąki, przez które pędziła wystraszona sarna, a za nią duży pies jakiś. Pies tuż tuż doganiał sarnę --- za małą chwilkę mógł ją dopaść i rozszarpać. Sarna z wysileniem pędziła prosto ku bramie, gdzie słyszała głos swej pani, ale coraz bardziej zwalniała biegu ze znużenia i pies zrównał się już z nią prawie.

Jadwiga z otwartymi ustami, bez oddechu patrzyła na tę gonitwę, zdawało się, że oczy wyskoczą jej z oprawy. Pies już miał pochwycić sarnę, gdy wtem jakiś człowiek rzucił się na niego, chwycił silnie za gardło i zatrzymał. Pies począł go szarpać i szamotać się, a sarna, tymczasem uwolniona od napastnika, pomknęła szybko w bramę pałacową. Jadwiga zbiegła ku niej z otwartymi rękami i schwyciwszy ją za szyję, tuliła, głaskała i całowała z radości.

--- Moja biedna, moja poczciwa Leda! Biedaczka, jak jej serce bije! Nie bój się, już ci nic nie zrobią teraz --- mówiła, tuląc do siebie drżącą i spoconą łanię. --- Obrzydliwe psisko, chciało mi zagryźć moją pieszczotkę. Czyj to pies?

Pytanie to zwróciła do leśniczego, który wraz z pułkownikiem nadchodził właśnie.

--- To nietutejszy pewnie --- odrzekł leśniczy. Tutejsze psy znają Ledę i żaden by się na nią nie rzucił. To będzie pewnie jakiś rzeźnicki pies, bo wczoraj rzeźnicy chodzili tu po wsi za cielętami.

W tej chwili wszedł Jakub na podwórze.

--- A więc to ty wyratowałeś Ledę? --- spytał go pułkownik.

--- Nie, to mój syn.

--- A gdzież on?

--- Obmywa sobie skaleczoną rękę w potoku, bo go pies poszarpał trochę. A, otóż idzie, do usług jaśnie wielmożnego pana pułkownika. No, chodźże raźniej, mazgaju, i pokłoń się jasnemu panu.

Antoni zbliżył się i niezgrabnie ukłonił się pułkownikowi i jego córce, która jednak nie uważała tego, zajęta jeszcze Ledą. Czapką, którą zdjął z głowy, obcierał krew ze skaleczonej ręki.

--- Czy mocno cię ukąsił? --- spytał pułkownik.

--- E, bagatela, proszę jasnego pana.

--- Czy tylko pies nie był wściekły?

--- Co mówisz, ojcze? --- spytała z przestrachem Jadwiga i poczęła troskliwie oglądać sarnę, czy pies jej nie skaleczył.

--- Czy jej nie ukąsił? --- spytał ojciec.

--- Nie, dzięki Bogu, ale jeżeli to pies był wściekły, to niech ten człowiek wychodzi zaraz stąd: ojcze, każ mu odejść, ja się boję, żeby nam co złego nie zrobił.

Antoni poglądał głupowato na mówiącą, na pułkownika, na ojca, i nie wiedział, co ma zrobić ze sobą, czy odejść zaraz, czy zostać. Szczęściem leśniczy odezwał się:

--- Jaśnie panie, nie ma obawy, pies widocznie zdrowy. O, widać go na okopowisku, jak idzie; wściekły pies inaczej wygląda.

--- Gdzie on jest? --- spytała Jadwiga, podnosząc się i zasłaniając ręką oczy od blasku słońca, by lepiej zobaczyć mogła.

--- Tam, jasna panienko --- rzekł leśniczy, wskazując na pole.

--- To nie będzie więcej jak dwieście kroków, twoja strzelba go dostanie; zastrzel go zaraz, żeby mi więcej nie napastował mojej Ledy.

Leśniczy zdjął strzelbę z ramienia, złożył się i strzelił. Równocześnie prawie rozległo się za dworem skomlenie psa. Postrzelono go widocznie, a nie zabito, bo powlókł się parę kroków, upadł i jęczał przeraźliwie.

--- Idź go dobij --- rzekła Jadwiga.

Spokój, z jakim mówiła te słowa, przeraził Antoniego. Przerażenie tym było większe, im piękniejszą mu się wydawała w tej chwili. A że świeżo miał w pamięci jeszcze mitologię, więc córka dziedzica, z czołem lekko zachmurzonym, oczami spokojnie groźnymi, z tą sarną, co po wystrzale przestraszona tuliła się do niej, przypominała mu obrażoną Dianę, gdy Akteona na śmierć skazuje. Doznawał wobec niej wrażenia, jakie się ma wobec wyższej jakiejś potęgi, i patrzał za odchodzącą ku pałacowi ze świętobliwą trwogą.

Obudził go z tego zapatrzenia pułkownik pytaniem:

--- A ty kiedy wróciłeś ze szkół?

--- Przedwczoraj --- odrzekł z trudnością, bo mu zaschło w gardle.

--- Przedwczoraj --- dokończył za niego ojciec --- aleśmy wczoraj nie śmieli naprzykrzać się jasnemu panu, jako iż goście byli.

--- No i skończyłeś szkoły?

--- Skończył, proszę łaski pana pułkownika --- odezwał się znowu ojciec --- i właśnie przyszliśmy podziękować jasnemu panu za...

Nie dał mu pułkownik dokończyć, chcąc uniknąć podziękowań, i prędko spytał:

--- I cóż myśli robić?

--- Właśnie przyszliśmy po rozkazy jaśnie wielmożnego pana.

--- A cóż ja tu mam do rozkazywania? --- spytał pułkownik ze śmiechem i ruszył ramionami.

--- Ta to jasny pan nakładał na niego i wyprowadził go na ludzi.

--- Z tego nie wypada, żebym mu narzucał swoją wolę. Radzić mogę, ale nie rozkazywać.

--- Rada jasnego pana będzie przykazaniem dla nas.

--- Może by dobrze było, żeby poszedł na księdza. To teraz najpewniejszy i najłatwiejszy kawałek chleba daje.

--- Stanie się po woli jaśnie wielmożnego pana pułkownika.

--- Jak się będzie dobrze prowadził, to może i kanonikiem zostać. Mało to przykładów mamy, że synowie prostych chłopów wyszli na dygnitarzy w kościele?

--- A on przecież coś więcej jak prosty chłop.

--- Prawda, ta to wy podobno ze szlachty? --- rzekł na pół ironicznie pułkownik, przypomniawszy sobie słabą stronę Jakuba.

--- Do usług jaśnie wielmożnego pana.

--- Może nawet jaki krewny mego przyszłego zięcia, bo i on także Sikorski.

--- Albo ja wiem? Może.

--- No, no, nie bredź stary. Widzę, że ci się w głowie przewraca --- rzekł pułkownik, zgorszony nieco tą zarozumiałością starego, i aby przerwać tę rozmowę, zwrócił się znowu do Antoniego i mierząc go od stóp do głowy, spytał:

--- Tylko może on nie zechce zostać księdzem?

--- A czemu, nie? A to by mi się podobało! Musi i basta!

--- No, cóż ty na to, co ojciec mówi?

Antoni ruszył ramionami, skłonił się pokornie dziedzicowi i odrzekł:

--- Ha, cóż by? Ta to nic złego być księdzem.

--- Podobasz mi się za tę uległość; zaraz widać, żeś wyszedł ze szkoły twego ojca. Był z niego dzielny służbista, umiał słuchać; dziś nie umieją już tak słuchać.

Stary Jakub rósł jak na drożdżach wobec tej pochwały, oczy mu się zaiskrzyły z radości i wyprostował się, jakby stawał przed frontem do apelu.

Pułkownik mówił dalej do Antoniego.

--- Zapatruj się na twego ojca, a wykierujesz się na człowieka. Jak będziesz miał odjeżdżać do seminarium, przyjdź do mnie; pomyślimy o tym, żebyś z próżnymi rękami w świat nie poszedł.

--- No, ukłoń że się przecież do nóg jasnemu panu... z przeproszeniem łaski pana pułkownika, to jeszcze cielę straszne.

Antoni objął za nogi pułkownika, ale ten usunął się i tylko poklepał po ramieniu.

--- No, no, już dobrze.

--- A może by przydał się jasnemu panu we dworze przez te parę miesięcy, co będzie tutaj? Może by co posłużył?

--- Posłużyć jak posłużyć, ale gdyby tak umiał dobrze pisać...

Jakub wydobył z kieszeni list syna i pokazał.

--- Pismo jest równe i czytelne, nawet ładne, to bardzo dobrze. Będę go mógł używać do korespondencji, bo mój pisarz teraz często musi wyjeżdżać z domu za interesami. Możesz za parę dni przyjść do pałacu; powiedz, żeby cię do mojej kancelarii zaprowadzono.

Pożegnał ich skinieniem głowy i odszedł. Jakub z synem zabrali się do odwrotu. Byli już przy bramie, gdy ich dopędziła służąca.

--- Który to z was --- spytała --- uratował Ledę naszej panny?

--- Ja --- odrzekł Antoni.

--- Panna wam kazała dać tę nagrodę. Rzuciła mu zwitek papieru i pobiegła ku pałacowi.

--- Cóż ci dała? --- spytał ojciec, widząc, że syn zacietrzewił się czegoś i nie myślał otworzyć papieru.

Antoni rozwinął papier. Były w nim dwa banknoty pięcioreńskowe.

--- No, widzisz --- rzekł ojciec --- nieźle ci się poszczęściło na początek we dworze. Powinieneś się uczyć z tego.

Antoni jednak jakoś nie cieszył się bardzo. W mieście nieraz, gdy mu się zdarzyło zarobić taką sumę, był bardzo uszczęśliwiony. A trzeba było ciężko pracować na dziesięć reńskich, trzeba było albo po nocach siedzieć i przepisywać, albo po przedmieściach łazić cały miesiąc na lekcje i namęczyć się z chłopcami. A tu za jedną krótką chwilę zapłacono mu taką sumę. A jednak tamte pieniądze więcej go cieszyły. Tu nawet doznawał pewnej przykrości, że mu zapłacono. Ale czemu to przykrym mu było, tego sobie wytłumaczyć nie umiał.

V

Tak więc słowa pułkownika zadecydowały o przyszłości Antoniego. Przyjął on tę decyzję spokojnie i obojętnie, bo sam nie miał żadnych planów ani pragnień. Dusza jego była jak gładka szyba w kamerze fotografa, na której teraz pod działaniem rady pułkownika i woli ojca poczęła się rysować przyszłość jego; a wyobrażał ją sobie w kształcie jakiejś cichej plebanii, w której widział siebie z brewiarzem z paciorkowymi zakładkami i z klapką na muchy.

Takich widywał proboszczów i tak samo wyobrażał siebie, a nawet z pewnym upodobaniem myślał o takim życiu cichym, wygodnym.

Toteż zdziwił się niepomiernie, gdy proboszcz zarzecki, którego zawiadomił był o postanowieniu pułkownika, spytał go, czy ma powołanie na księdza.

Pytanie to wydawało mu się tak dziwnym, że spojrzał na księdza dużymi oczami, nie mogąc pojąć, o co mu idzie. Według jego bowiem mniemania, aby być księdzem, trzeba było umieć po łacinie i móc powiedzieć kazanie, a do tego czuł się dostatecznie uzdolnionym, i w ten też sposób księdzu odpowiedział.

Ksiądz uśmiechnął się z tak dobrodusznej odpowiedzi i rzekł:

--- Nie wątpię, że masz zdolności odpowiednie i kwalifikacje, aby zostać księdzem, ale nie o to mi idzie. Ja pytam się ciebie, czy masz powołanie? Wiem, że wielu jest takich w naszym stanie, którzy nie zadali sobie tego pytania i zostali księżmi przeważnie dla zabezpieczenia sobie losu. Stąd też rzadko który z nich odpowiada swemu powołaniu i, zamiast przyczynić się do pomnożenia moralności i krzewienia religii, przyczyniają się tylko do jej upadku, życiem swoim dając broń w rękę nieprzyjaciołom naszym. Dziś ksiądz w pojęciach ludzi jest personifikacją ospałości umysłowej, sknerstwa; bezmyślna gra w karty, obiady odpustowe i piwniczka ze starym węgrzynem osładzają mu przykrości celibatu. Za wyrzeczenie się jednej namiętności, hołdują kilku innym. A czy wiesz dlaczego? Bo żaden z nich nie zadał sobie pytania przed przyjęciem sukni duchownej, czy miał powołanie? A powołanie to ciężkie i trudne; życie księdza powinno być jego kazaniem, a czyny jego modlitwą. Wobec tylu najsprzeczniejszych prądów, które dziś szarpią i rozrywają ludzkość, kapłan, jako stróż duszy ludzkiej, musi silnie dzierżyć ster, który mu powierzono, mieć doświadczenie, znać i rozróżniać błędne szlaki, by sam nie zbłądził i drugich nie zgubił. Musi on uczyć się anatomii serca ludzkiego i znać leki na nie. Więc oprócz moralności musi mieć naukę, a obok nauki --- doświadczenie, a przy doświadczeniu --- roztropność.

Antoni patrzał na mówiącego i w głowie mu się mieszało. Między tym, jak on sobie wyobrażał powołanie na księdza, a tym, jak je przedstawiał proboszcz, była taka wielka różnica, jak między przedmiotem, jaki w naturze, a widzianym przez mocno powiększający mikroskop. Tam gdzie on wprzódy widział pojedynczą nitkę, zobaczył teraz zawikłaną kombinację najrozmaitszych powiązań, skrętów, wśród których myśl jego się zabłąkała.

--- Jeżeli tyle potrzeba na księdza --- rzekł pomieszany --- to ja chyba nie będę mógł być księdzem. Ja nie mam ani tyle rozumu, ani doświadczenia.

--- Źleś mię zrozumiał. Tu nie idzie o to, abyś je miał, ale abyś chciał mieć, abyś miał zamiłowanie do tego. Miłość jest potęgą, jasnowidzeniem. Widzisz, matka, choćby to była młoda bardzo i niedoświadczona kobieta, pielęgnując swoje dziecko, robi często więcej i lepiej ku jego ochronie i wychowaniu niż doświadczony doktor lub uczony pedagog. Kto ją tego nauczył? Miłość macierzyńska. Otóż jeżeli ty taką miłością ukochasz lud, powierzony twojej pieczy, i będziesz chodził koło niego, to miłość twoja będzie twórcza i rozumna;

--- Jeżeli tak, to ja będę księdzem --- odezwał się Antoni, a oczy jego rozjaśniły się, jak temu, przed którym nagle mgły się rozstąpiły i odsłoniły szeroki, słoneczny krajobraz. Ksiądz rozpędził mu te mgły i poza brewiarzem, plebanią i klapką z muchami pokazał mu rozległe pole działalności, na przebycie którego życie wydawało mu się za krótkie.

Ksiądz zauważył to rozpromienienie, ten zachwyt przebudzonej duszy, i ucieszył się tym wielce.

--- Widzę --- rzekł --- że ci na chęciach dobrych nie zbywa; ale chęć sama to jeszcze bardzo mało. Chęć to ostroga, co bodzie nas do czynu, to błyskawica, co rozjaśnia ciemności. Ostroga jednak to nie siła żadna, a błyskawica nie światłość. Oprócz chęci, trzeba wytrwania, walki ciągłej, uporczywej, niezmordowanej ze złymi namiętnościami, skłonnościami, i to walki cichej, aby świat widział na czole twoim tylko rezultat zwycięstwa. Człowiek zwyczajny może podnosić się i upadać, kapłan nie powinien upadać, życie jego powinno wlewać wiarę w zwycięstwo. Tak samo w boju. Jedne pułki atakują, inne się cofają; jedne tracą odwagę, drugie jej nabywają; ale wódz nie może się cofać, nie może nawet twarzą zdradzać obawy, zwątpienia, jeżeli nie chce zdemoralizować całej armii.

--- Ja będę miał taką odwagę --- rzekł Antoni głosem natchnionym i silnym.

Słowa te mimowolnie wyrwały mu się z ust, aż się zawstydził za swoją śmiałość. Pierwszy to może raz w życiu tak się odezwał; ale bo też pierwszy raz w życiu tak przemawiano do niego. Dotąd spotykał albo obojętnych, albo surowych, których słowa i nauki podobne były do drogowskazów przy drogach. Podróżny patrzy, przeczyta, co na nich napisano, i idzie dalej. Teraz dopiero przemówiono do niego po ludzku. W słowach czuł serce. Ciepło, które ogrzało słowa czcigodnego kapłana, owiało jego duszę zamrożoną i roztopiło ją, a słowa, które mu się wyrwały z ust, były pierwszym rzutem samodzielnym przebudzonej duszy.

Ksiądz utopił w nim łagodne spojrzenie i długo tak patrzał, jakby chciał nasycić się widokiem tego czystego, młodzieńczego zapału, który wywołał, który odkrył. Kolumb, wstępując na ląd Ameryki, nie doznawał

piękniejszego wzruszenia nad to, jakiego doznawał zacny kapłan, odkrywając pod szorstką i niepozorną powłoką duszę dziewiczą i pełną szlachetnych, choć jeszcze nierozkwitłych pragnień. Chwilę jakąś trwało milczenie, milczenie uroczyste, poważne. Nagle ksiądz zapytał:

--- Wiele masz lat?

--- Dwadzieścia sześć.

--- I kochałeś kiedy... kobietę jaką? Czy nie miałeś dotąd jakich znajomości w podobnym rodzaju?

Antoni zarumienił się jak dziewczyna i rzekł:

--- Nie.

--- Nie kochałeś?

--- Nie miałem czasu, a przy tym nie było sposobności --- odrzekł niby usprawiedliwiając się

Odpowiedź była tak pełna naiwności, że ksiądz nie mógł się nie uśmiechnąć.

--- I nie myślałeś nigdy o tym, jakby to było dobrze ożenić się?

Antoni pomyślał chwilę, jakby chciał sobie dokładnie przypomnieć, a potem odrzekł głosem pewnym:

--- Nigdy.

Ksiądz spojrzał na niego wzrokiem pełnym miłości, zadowolenia i podziwu, położył rękę na jego ramieniu, pochylił się ku niemu i złożył pocałunek na jego czole, a potem rzekł z powagą:

--- A więc zostań księdzem; będzie miał z ciebie pożytek i Kościół i ludzkość.

Od tego czasu widywano często Antoniego z proboszczem. Albo Antoni zachodził do niego i siadywał tam po kilka godzin, albo też proboszcz wstępował po Antoniego i zabierał go z sobą wieczorem na przechadzki w pole.

Ksiądz zajął się szczerze młodym człowiekiem, widział w nim bowiem surowy, ale dobry materiał, z którego umiejętna ręka mogłaby zrobić piękne arcydzieło człowieka. Grunt serca był nie zepsuty, praca i wytrwałość żelazna, a natura podatna, miękka, bez uporu i zarozumiałości. Toteż ksiądz zabrał się z zamiłowaniem do polerowania tego brylantu. Po kilku rozmowach z nim przekonał się, że posiada bardzo wiele wiadomości, że pilnie uczył się tego wszystkiego, co wykładano w szkołach. Ale wiadomości te leżały jak sprzęty lub suknie w magazynie, naskładane, bez użytku; właściciel sam nie znał ich wartości, nie umiał ich zastosować w życiu. Potrzeba więc było to wszystko dobywać z niego, oczyszczać i uczyć go sposobów używania tego.

Szczególniej zauważył proboszcz, że estetyczne uczucia całkiem były nierozwinięte W Antonim. Wiedział wprawdzie, że była jakaś sztuka, że istnieli poeci, znał dramaty Sofoklesa, poetów niemieckich, wiersze Mickiewicza, wiedział nawet coś o Szekspirze, ale to tylko dlatego, że musiał uczyć się tego w szkołach, że go o to pytano. Ale ani zachwycał się pięknością tych utworów imaginacji, ani pojmował głębokie ich znaczenie.

Ksiądz powziął sobie za pierwsze zadanie obudzić w nim te estetyczne poczucia, w wiadomości jego nagromadzone tchnąć ducha ożywiającego, i to nie przez suchy wykład kursu estetyki, ale praktycznie. Chodząc z nim po polach, zwracał uwagę na to, co piękne, podniosłe, cytował mu ustępy z poetów, dawał mu do czytania niektóre ich dzieła i rozmawiał z nim potem o nich:

Niedługiego trzeba było czasu, aby wpływ księdza błogie wydał skutki. Wszystko bowiem znalazł przygotowane w duszy ucznia, potrzeba było tylko rozjaśnić głębię jego duszy, a sam zdziwić się musiał nad pięknością tego, co dotąd wydawało mu się martwym i suchym.

Dziwną może wyda się komu ta nagła przemiana, to nagłe jasnowidzenie duszy; przypomnimy mu, że zapewne w życiu kiedy zdarzyło mu się być w jakiej okolicy powabnej, ale w dzień posępny, słotny, który mu i humor skwasił, i widok zbrzydził. Ale niechby nagle ołowiane niebo rozstąpiło się i przez błękitną szczelinę padły słoneczne promienie na okolicę, ten sam widok jakże inaczej się przedstawi, jak pod działaniem tych kilku promieni wszystko zacznie naraz grać i żyć, i tęczować! Twarz człowieka rozjaśnia się, a usta muszą się zdobyć na okrzyk podziwu i zachwytu. Otóż coś podobnego było tutaj. Ksiądz rzucał słowa, jak słoneczne promienie, pełnymi garściami, i wydobywał w duszy ucznia cudowną grę uczuć i wrażeń.

--- To poczucie piękna --- mówił mu jednego razu --- to jedna z najtrwalszych rozkoszy duszy. Kiedy inne przyjemności odbiegają człowieka w połowie drogi jego życia, poczucie piękna idzie za nim aż do śmiertelnego łoża. Konający człowiek jeszcze z utęsknieniem patrzy z rozkoszą na świeży poranek wiosenny lub majestatyczny zachód słońca. Piękno i sztuka należą do tej szlachetniejszej części człowieka, która wychodzi poza granicę jego zwierzęcej natury. Jeżeli zasmakujesz w sztuce, będzie ona dla ciebie szlachetną i miłą rozrywką. A takie tylko rozrywki przystoją kapłanowi.

Przez to umiejętne rozwijanie pojęć estetycznych, ksiądz wpłynął także niemało na uszlachetnienie i wydelikacenie umysłu wychowanka. Antoni był szorstki, trywialny w swoich upodobaniach i postępowaniu. Ksiądz z wielką oględnością i delikatnością zwracał na to jego uwagę i wyrabiał jego pojęcia. Wytłumaczył mu na przykład, że nie powinien był przyjmować zapłaty od córki dziedzica, że zapłata za takie usługi uwłacza godności człowieka, a szczególniej człowieka wykształconego. Oduczał go wielu przesądów, złych przyzwyczajeń, a robił to wszystko nie w tonie nudnego pedagoga, ale w formie przyjacielskiej rady; czasami zwracał jego uwagę porównaniem lub przypowieścią, a wszystkie te jego rady, napomnienia, nauki miały na celu przygotować Antoniego do tego trudnego zadania, jakie sobie obrał. Nie pominął też żadnej sposobności, by nie zwrócić uwagi jego na niektóre ważniejsze punkty, tyczące się jego przyszłego powołania, a szczególnie na takie, o których wiedział, że w seminarium ich nie usłyszy. I tak na przykład kiedy nieraz wieczorem spotykali ludzi wracających z roboty, którzy ich mijali, pozdrawiając owym chrześcijańskim pozdrowieniem w imię Chrystusa, ksiądz zatrzymywał Antoniego i, wskazując na wieśniaków, mówił:

--- Ucząc się na księdza, powinieneś znać życie i potrzeby tego ludu biednego, zapracowanego i ciemnego. W tę stronę powinieneś szczególnie zwracać działalność swoją, bo religia, którą Chrystus dał światu, to właśnie religia dla prostaczków i ubogich. Bogaci używają jej albo dla zabawki, albo dla popisu, albo wreszcie jako broni do pobicia swych przeciwników politycznych. Ci ostatni stworzyli wojny religijne, fanatyczne prześladowania, które Chrystus potępiał. Dla tych ludzi Chrystus firmą tylko, a ksiądz narzędziem. Ale dla prostaczków i ubogich ta religia jest wszystkim, całym bogactwem, bo religia daje im to wszystko, czego im świat dać nie może; w zamian za nędzę, jaką znoszą, obiecuje im szczęśliwość wieczną, a ta wiara w życie zagrobowe, w nagrodę wieczną, łagodzi ich los, pociesza w chorobach i nieszczęściach. Kto by chciał odebrać religię temu ludowi, ten popełniłby zbrodnię, kradzież obrzydliwą, i zabiłby moralnie. Otóż dla tych ludzi trzeba nam utrzymywać wiarę w nieskalanej czystości, życiem własnym utrzymywać w nich wiarę w świętość naszych nauk. Ksiądz, który nie żyje tak, jak naucza, podkopuje fundamenta wiary w ludzie, uczy go wątpić o jej prawdziwości. Widzisz, jaka to odpowiedzialność wielka przed Bogiem, jak kapłan powinien czuwać nad swymi postępkami, jeżeli już nie przez zamiłowanie cnoty, to przez litość nad ludem.

Antoni ze łzami w oczach słuchał tych rad i zapisywał je sobie w pamięci i w sercu. Patrząc na swojego mistrza, ślubował sobie w duszy, że ludek ten kochać będzie i dla niego pracować.

--- Nie potrzeba --- mówił mu raz ksiądz --- byś umysł tego ludu męczył subtelnościami dogmatycznymi, żebyś mu usiłował wytłumaczyć jedność Trójcy i tajemnice wiary, nie rozgmatwane rozumem ludzkim; naucz go tylko poczciwie żyć i wierzyć w sprawiedliwość Bożą, to dosyć dla niego będzie.

Jednego dnia zabrał go z sobą na pogrzeb do miasteczka, odległego mil kilka. Chować miano starego proboszcza, który nie umarł, ale zasnął prawie, tak lekką, spokojną była śmierć jego. Przez, drogę ksiądz opowiadał mu o zmarłym niektóre szczegóły.

--- Był to --- mówił --- kapłan wielkiej zacności i uczciwości. Parafianie kochali go jak ojca, ale hierarchia duchowna krzywo na niego patrzała, bo dygnitarzom Kościoła mówił prawdę, karcił ich ostro, i dlatego, pomimo zasług, nie piastował żadnych godności i zmarł proboszczem na lichej parafii. Kilka razy pociągał go konsystorz do tłumaczenia się z zarzutu herezji, o jaką go oskarżono; raz nawet zaproszono go na dłuższy czas na rekolekcje do Przeworska za obrazę księdza biskupa i całego duchowieństwa. Kiedy bowiem ksiądz biskup jednego razu zwiedzał parafie i wszędzie go przyjmowano z niesłychaną wystawnością, on na przyjęcie jego nie kazał nic uczynić, a gdy asystujący biskupowi kanonik ostre mu z tego powodu robił wyrzuty, nasz proboszcz odrzekł:

"A toż biskup jest sługa Chrystusowy, czyżby się więc godziło, abym dla niego większe czynił przygotowania niż dla Pana?"

--- I za to osadzono go w Przeworsku? --- spytał zdziwiony i oburzony Antoni.

--- Za to wprost nie śmiano, nie było powodu; ale czyhano na sposobność, która się wnet nadarzyła. Na jednym bowiem odpuście, gdy rozmowa toczyła się o pewnym sławnym kaznodziei ze stolicy i wszyscy unosili się nad nim, nasz proboszcz, zapytany o zdanie, ruszył ramionami i rzekł żartobliwym tonem:

"Ja stary mało się rozumiem na modnych kaznodziejach i księżach nowego autoramentu; ale boję się, żeby w czasach, gdy komediantów nazywać zaczynają kapłanami, kapłanów nie musiano nazywać komediantami".

Był to ostry przycinek dla wielu obecnych; toteż posypały się skargi do konsystorza i ksiądz parę miesięcy przesiedział w Przeworsku. Powrót jego był rodzajem tryumfu; parafianie wyszli z chorągwiami naprzeciw niemu i uroczyście wprowadzili go do miasteczka. Była to wymowna nagana, jaką ludność dała konsystorzowi za prześladowanie zacnego kapłana. Bo to była zacność i prawość idealna prawie. O ile ostrym był dla siebie, o tyle pobłażliwym dla drugich. Prawdziwie anielska dobroć. Żyjąc dla drugich, zapominał prawie żyć dla siebie. Wszystko, co miał, oddawał biednym, a gdy już nic nie miał do dania, to dawał laskę swoją.

Była też to laska znana wszędzie; każdy kupiec i piekarz chętnie dawał za nią ubogiemu, co żądał, bo wiedział, że proboszcz zapłaci i wykupi laskę. Teraz, kiedy umarł, nie zostało nic po nim, tylko ta laska --- prosty kawałek kija, a jednak cenniejsza to pamiątka od buław i mieczów. Toteż dobijają się parafianie o tę spuściznę jak o relikwię.

Dużo jeszcze szczegółów opowiadał proboszcz Antoniemu o zmarłym, a każdy był zajmujący, każdy odsłaniał jakąś piękną stronę duszy nieboszczyka. I tak między innymi mówił mu, że pewnego razu umarł w okolicy jakiś ateusz, który ani do spowiedzi nie chodził, ani mszy świętej nie słuchał, a nawet nie chciał przyjąć ostatniego pomazania. Przy tym wszystkim był to jednak człowiek prawy i nikomu źle nie zrobił, nikogo nie pokrzywdził. Na pogrzeb jego nie chciał jechać żaden z księży; jeden tylko ów proboszcz pojechał i dopełnił obrządku pogrzebu. A gdy mu to potem za złe miano i wyrzucano, odrzekł:

"Nie tylko się nie wstydzę tego, com zrobił, ale owszem, poczytuję sobie to za honor, że mogłem ostatnią przysługę oddać człowiekowi, który, nie wierząc ani w Boga, ani w nagrodę za grobem, żył poczciwie. Nie każdy z nas zdobyłby się na to, żeby tak za darmo być uczciwym".

Tak rozmawiając, dojechali do miasteczka. Ulica prowadząca na plebanię była pełna ludzi idących i wracających; istna procesja. A wszyscy mówili tylko o zmarłym, o jego cnotach, o różnych dobrodziejstwach, które spełniał w sekrecie, a które teraz dopiero na jaw wychodziły. Nie było człowieka, który by nie miał coś do zawdzięczenia zmarłemu, czy dobrą radę, czy pomoc, czy zgodę w rodzinie, czy poprawę męża, czy umoralnienie żony. Wszystko to wspominano teraz ze łzami w oczach.

Antoni z księdzem, nie mogąc przejechać przez ulicę, zsiedli z bryczki i piechotą poszli na plebanię, zobaczyć zmarłego. Leżał w pokoiku obitym kirem, w prostej, drewnianej, nie polakierowanej trumnie, bo tak

sobie życzył. Kilka świec tylko paliło się koło trumny, ale światło odbijało się we łzach stojących wkoło osób. Zmarły był siwy jak gołąb, rysy twarzy, lubo wyciągnięte śmiercią, zachowały miły, żartobliwy uśmiech, który nie odstępował go za życia. Miał na sobie starą, wytartą prawie do nitek sutannę i łatane buty.

Ksiądz proboszcz nachylił się do ucha Antoniego i szepnął mu:

--- Widzisz, takim powinien być kapłan.

Antoni nic nie odpowiedział; stał zapatrzony w trumnę, w twarz zmarłego, jak w księgę nabożną, z której czytał dla siebie naukę na przyszłość. Gdy ciało miano nakryć już wiekiem i wynosić na cmentarz, on z czcią nachylił się nad zmarłym i dotknął ustami jego ręki zimnej.

VI

Jakkolwiek towarzystwo księdza proboszcza i rozmowy z nim były dla Antoniego najpożądańsze, to jednak nie mógł korzystać z tego zawsze, bo zajęcie w pałacu zajmowało mu większą część dnia.

Pułkownik używał go naprzód do pisania korespondencji, które z powodu zbliżającego się ślubu i regulowania interesów majątkowych były bardzo liczne. Później kazał mu także czytywać sobie gazety. A że Antoni miał głos silny, więc używano go nieraz za lektora dla starej teściowej pułkownika, bo głos Jadwigi nie wystarczał często na dłuższe czytanie babce, która miała słuch mocno przytępiony. Antoni więc ją wyręczał i po parę godzin nieraz czytać musiał podniesionym głosem.

Zdarzało się często, że stara wśród czytania zasnęła,"czytać jednak trzeba było wciąż, bo nie lubiła, gdy zwracano uwagę na te objawy jej bezsilnej starości, do których się przyznawać nie chciała. Szło jej bardzo o pokazanie się w pełni sił i przytomności umysłu i to usiłowanie utrzymywało ją przy życiu. Konserwowała się tym jak owoc w spirytusie. Nigdy nie pokazywała się inaczej, jak zupełnie ubrana, zasznurowana, z przyprawionymi siwymi loczkami, w świeżutkim czepku i rękawiczkach. Nie robiła tego z próżności, jak raczej przez przyzwyczajenie, a to przyzwyczajenie, jak powiedzieliśmy, utrzymywało ją, trzymało w kupie to próchno. Zdawało się, że bez tych rogów, tupetów, robronów, staruszka by się rozsypała jak spróchniałe naczynie. Tak wystrojona, obszyta, ściśnięta, siadywała w salonie, robiła honory domu, słuchała relacji rządcy i pisarza i wydawała rozkazy. Robiła to wszystko prawie jak maszyna, bo ani pamięć jej już nie dopisywała, ani dowidziała dobrze, ani słyszała. Mimo to, nigdy nie dała się przez nikogo wyręczyć w tych czynnościach; dogorywając już, udawała jeszcze, że żyje, przed sobą i przed ludźmi.

Gdy goście zjechali do Zarzecza, staruszka dotrzymywała im towarzystwa do późnej nocy, bawiła ich rozmową, bo to uważała jako przywilej i niezbędną rzecz damy światowej, do czego miała pretensję. Zdarzało się, że często siły nie dopisywały usiłowaniom staruszki, z czego wypadały nieraz śmieszne nieporozumienia. I tak na przykład raz pewna dama z sąsiedztwa, do której teściowa pułkownika zjechała z wizytą, usiadła na jej żądanie przy fortepianie i grać zaczęła. Staruszka sztywna, wyprostowana, słuchała jej czas jakiś z uwagą, ale że gra trwała zbyt długo, więc nie dotrzymała do końca i usnęła. Gospodyni domu skończyła grać; potem ktoś zaśpiewał, potem jeszcze ktoś zagrał jakąś sonatę, nareszcie zaczęto tańczyć, a staruszka spała. Podczas kadryla dopiero obudziła się i, chcąc zamaskować swoją drzemkę, zbliżyła się do fortepianu, gdzie już nie gospodyni domu siedziała, ale jakiś najęty grajek, i rzekła:

--- Prześlicznie! Przecudownie! Pani grasz jak sam Liszt.

Towarzystwo, przez wzgląd na wiek staruszki i na obecnego pułkownika, milczeniem zapanować musiało nad chęcią uśmiania się z tej pomyłki.

Podobnie zdarzało się jej przy wieczornym czytaniu. Przespała nieraz kilkanaście stronic, po czym budząc się, udawała wielkie zainteresowanie treścią książki. Gniewała się zaś, gdy ktoś, zauważywszy jej sen, przerywał czytanie. Jadwiga znała tę słabość babki i spełniała obowiązek lektorki z sumiennością. Obowiązek ten jednak męczył ją bardzo i rada się od niego uwalniała pod różnymi pozorami. Przybycie Antoniego uwolniło ją zupełnie od tego. Nie uwolniło jej jednak od towarzystwa babki i podczas gdy Antoni czytywał, ona z robótką w ręku siadywała przy babce i słuchała, a przynajmniej udawała że słucha.

W ten sposób Antoni widywał ją co dzień. Z początku nie śmiał podnieść na nią oczu od książki; obecność jej mieszała go i rumieniła; powoli jednak oswoił się z tym, ośmielił się nawet nieraz spojrzeć na nią, a że Jadwiga najczęściej była zajęta robotą i oczy miała spuszczone, więc Antoni nabierał coraz więcej śmiałości patrzenia na nią. Mechaniczne czytanie nie przeszkadzało mu w tym wcale; szybko obejmował oczami całe okresy, a potem mówił je prawie z pamięci, oczy mając utkwione w Jadwidze. Patrzenie bowiem na nią sprawiało mu nieopisaną rozkosz --- i tak przyzwyczaił się do jej widoku, że gdy czasem przyszedł i nie zastał jej lub podczas czytania odeszła, był niespokojny, roztargniony, nadsłuchiwał, czy nie usłyszy w sieniach szelestu jej sukni, i oglądał się ku drzwiom za każdym ich uchyleniem. Wejście jej do pokoju było dla niego rodzajem jakiegoś objawienia, wobec którego tracił przytomność i popadał w zachwyt; zdawało mu się, że mógłby przed nią modlić się jak przed cudownym jakim obrazem, bo w kościele przy modlitwie doznawał tego samego podniesienia ducha jak wtedy, gdy patrzał na nią.

Pewna okoliczność spotęgowała jeszcze bardziej i utrwaliła w nim to nabożne uczucie. Jadwiga od czasu owego przypadku z psem kazała sarence swojej przywiązać dzwonek na szyi, by mogła każdego czasu słyszeć ją w bliskości siebie. Antoni nie wiedział o tym i gdy raz usłyszał na drodze głos dzwonka, powtarzający się jednostajnie co chwila, był pewnym, że to ksiądz z wiatykiem idzie do chorego, i ukląkł nabożnie, schyliwszy głowę ku ziemi. Dopiero głośny śmiech Jadwigi zreflektował go; podniósł oczy do góry i zamiast wiatyku zobaczył białą twarz kobiecą i czarne oczy, roziskrzone wesołością. Jadwigę bowiem rozśmieszyła pozycja, w jakiej zastała Antoniego. Śmiech ten nie obraził go, owszem, uszczęśliwił nawet o tyle, że Jadwiga zwróciła na niego uwagę swoją, co się rzadko zdarzało. Zwykle bowiem nie uważała na niego, jak się nie uważa na sprzęt w pokoju. Był dla niej niczym więcej tylko maszynką do czytania, którą się wyręczała. Czy ta maszynka miała twarz i jaką, tego by nie umiała powiedzieć, za mało ją to obchodziło. Wiedziała tylko, że maszyna ma głos, i to głos donośny, który nawet dla głuchej babki był zrozumiały; to jej wystarczało.

Śmiech więc Jadwigi ucieszył go niezmiernie; uważał sobie to za łaskę z jej strony i byłby w tej chwili z wdzięczności za to w wodę skoczył dla niej lub w ogień poszedł z ochotą. Dlaczego zaś czuł się tym tak uszczęśliwiony, nie wiedział, nie umiałby sobie zdać sprawy z tego. Może by sobie to wytłumaczył tym, że

Jadwiga jest córką jego dobroczyńcy, może tym, że piękna taka... Ale on nigdy sobie tego pytania nie postawił. Było mu tak dobrze, gdy mógł na nią patrzeć, gdy mógł być blisko niej; było mu wtedy tak, jak w pogodny dzień wiosenny, i nie analizował ani badał przyczyn tego zadowolenia.

Ale raz ta pogoda zaszła za chmurę. Było to jednego wieczora. Pułkownik wrócił był z poczty i przywiózł listy. Jeden z nich był do Jadwigi. Otworzyła go spiesznie, oczy jej przy czytaniu rozjaśniły się iskierkami, twarz zapłonęła silnym rumieńcem i z ust jej wyrwał się okrzyk:

--- Przyjedzie!

Powiedziała to tak głośno, że aż babka usłyszała i spytała:

--- Kto?

--- Zygmunt! --- odrzekła Jadwiga z nieposkromioną radością.

--- I kiedyż przyjedzie? Nie pisze? --- spytał ojciec.

--- W sobotę; dziś mamy czwartek, a więc pojutrze.

Antoni sam nie wiedział, czemu ta wiadomość zasmuciła go, i w miarę im większą wesołość okazywała Jadwiga, jemu większy smutek ściskał serce. Bał się zapewne, że z przyjazdem tego tak radośnie oczekiwanego gościa, porządek w domu się zmieni, że może już nie będzie czytywał wieczorami, i to zasępiło jego myśli. Wracając późno w nocy do domu, myślał jeszcze o tym i ile razy przypomniał sobie sobotę, opanowywał go jakiś lęk, jakieś przykre przeczucie.

Domysły jego sprawdziły się prędzej, niż sądził, bo już następnego dnia nie zawołano go do wieczornego czytania i pułkownik puścił go od siebie wcześniej. Nie wiedział, co z czasem robić. Tak się przyzwyczaił był siedzieć do późnej nocy w pałacu, że teraz wyszedłszy zeń o zmroku, musiał myśleć, co robić, dokąd iść.

Poszedł na plebanię bezmyślnie prawie i dopiero gdy stanął przy ganku i ksiądz pozdrowił go, otrząsnął się jakby ze snu, spojrzał wkoło i zdziwił się, że tu zaszedł.

--- A tobie co takiego? --- spytał ksiądz, zapraszając go, by usiadł przy nim. --- Jesteś czegoś smutny.

--- To prawda --- odrzekł. --- Tak mi jakoś dziś jest, jakbym coś miłego stracił. Mnie się zdaje, że ludzie, gdy wracają z pogrzebu swoich najbliższych, muszą czegoś podobnego doświadczać.

--- Czy cię co spotkało złego?

--- Nie, nic.

--- Przychodzą czasem na człowieka takie niewytłumaczone smutki. Jakoś pociemnieje w duszy i to bez najmniejszego powodu.

--- Otóż tak mnie teraz pociemniało --- mówił Antoni powoli, tonąc w zamyśleniu.

Ksiądz próbował go rozerwać rozmową. Opowiadał mu o różnych takich niewytłumaczonych smutkach i fałszywych przeczuciach i cytował mu parę wypadków ze swego życia, w których doznawafsam takiego niepokoju, iż był pewnym, że coś złego mu się przytrafi.

--- Raz nawet --- mówił --- zanotowałem sobie taką chwilę, pewnym będąc, że ona jest zapowiedzią jakiegoś wielkiego nieszczęścia, które mię ma spotkać. Wyczekiwałem z drżeniem jakiej fatalnej nowiny z domu lub czegoś podobnego, lecz po kilku tygodniach przekonałem się, żem się mylił. Był to jakiś psychiczny rozstrój, spowodowany może fizyczną jakąś przyczyną, której nie uważałem. Odtąd mniej wierzyłem przeczuciom. Tę niewiarę spotęgował jeszcze więcej inny wypadek. Miałem kolegę, który za parę miesięcy miał się żenić. Dzień ślubu już był oznaczony; on wyczekiwał go z niecierpliwością i radością; był wesół, rozmowny, a nawet wesołość ta przeszła w rodzaj szału. Był to właśnie dzień imienia jego narzeczonej. Oddalony od niej, postanowił ten dzień obchodzić , w gronie kolegów i zaprosił nas wszystkich na wieczór do siebie. Bawiliśmy się doskonale; on szczególniej był w wybornym humorze, bawił nas wszystkich rozmową, śmiał się i był wesół aż do pustoty. Niestety! Nie przeczuwał, jak straszne nieszczęście gotował dla niego los, właśnie w chwili najwyższej jego wesołości. W parę dni bowiem nadeszła wiadomość, że jego narzeczona umarła. W dzień imienin, nalewając spirytus do maszynki kawowej, przez nieostrożność oblała się; płomień szybko ogarnął lekkie jej suknie i pomimo ratunku nie zdołano jej ocalić. Umarła tej samej nocy, wśród wielkich męczarni, właśnie w tym samym czasie, gdyśmy pili jej zdrowie wśród szalonej wesołości. Kolega mój uczuł okropnie tę stratę, złamała ona jego życie; razem ze mną wstąpił do seminarium i jest księdzem. Ale pomimo tylu lat, boleść jego nie została uleczoną. Stał się ponurym, zamyślonym, stroni od ludzi, i jak słyszę, chce porzucić probostwo i wstąpić do klasztoru.

Antoni słuchał w zamyśleniu opowiadania księdza i długo jeszcze potem milczał, kreśląc laską jakieś figury po podłodze. Potem nagle zwrócił się do księdza i zapytał:

--- Proszę księdza dobrodzieja, co to jest miłość? Słyszałem o ludziach, co przez miłość złamali sobie życie, stawali się nawet zbrodniarzami lub samobójcami. Cóż to jest właściwie ta miłość?

--- Mój drogi --- odrzekł ksiądz z uśmiechem --- pytasz mnie o to, na co sobie jeszcze nikt nie umiał dokładnie odpowiedzieć. Nie masz rzeczy bardziej powszechnej na świecie jak śmierć i miłość, a jednak ani jednej, ani drugiej nikt określić dokładnie nie może. Każdy po swojemu to tłumaczy, ale nikt w zupełności zadowalającej nie dał odpowiedzi,

--- Jednak po czym człowiek poznaje, że kocha?

--- To zależy od natury tego, co kocha. Jedni pojmują miłość jako rozkosz niewypowiedzianą, jako przyjemne drażnienie nerwów; inni jako nieopisaną tęsknotę, inni jako jakiś ogień święty, który nas zapala do wzniosłych i szlachetnych czynów. Człowiek zakochany czuje dla wybranej przez siebie istoty bałwochwalczą cześć jakąś, uwielbienie, pragnie ją widzieć zawsze, być przy niej, rad by dla niej się poświęcać, pokazać się

w jej oczach jak najlepiej...--- Więc to jest miłość? --- spytał Antoni, zrywając się z ławki.

--- Tak mnie się zdaje.

--- Miłość! --- powtórzył jak echo Antoni i zapatrzył się ponuro w ciemną przestrzeń, a po chwili spytał:

--- Ale to jest uczucie grzeszne? Nieprawdaż?

--- Kto to mówi? Wszak Kościół błogosławieństwem swoim uświęca miłość.

--- A jednak kapłanom jej wzbrania.

--- To inna rzecz; kapłan musi się wyrzec miłości jednej osoby, aby kochać wszystkich.

Antoni chciał jeszcze o coś pytać, gdy turkot powozu przerwał mu. Powóz, zaprzężony w cztery konie, pędził ku przewozowi.

--- Któż o tej porze chce się przewozić? --- spytał ksiądz, patrząc za powozem, mknącym w ciemności.

Niezadługo nad rzeką dał się słyszeć głos męski, silny:

--- Hej, przewoźnik!

--- A ojciec pewnie przy kartach --- rzekł Antoni --- muszę pójść go zastąpić.

Pożegnał prędko księdza i poszedł ku rzece.

--- Przewoźnik! --- zawołał ten sam głos.

--- Zaraz, zaraz! --- odrzekł Antoni. A dokąd to?

--- Do dworu.

--- Czy i powóz przewozić będziemy?

--- Powóz możecie później przewieźć, teraz siadaj w łódkę i przewoź mnie czym prędzej.

Antoni odwiązał łódkę. Wołający wysiadł z powozu i wszedł do łodzi. Był to mężczyzna wysoki i młody. Zdawał się być nieco wzruszony i niespokojnie patrzał ku pałacowi.

--- Czy państwo w domu? Nie. wiecie?

--- W domu.

--- Spiesz się, dostaniesz na piwo.

Antoni zagłębił wiosło i silnie poruszył nim w wodzie. Łódź, gwałtownie pchnięta, szybko kierowała się ku brzegowi. Niezadługo stuknęła o ziemię. Młody człowiek wyskoczył z niej, rzucił parę sztuk srebrnej monety przewoźnikowi i rzekł:

--- A teraz wracaj po powóz. Każ ludziom, by jechali prosto ku dworowi.

To powiedziawszy, zniknął w ciemnościach, spiesząc ku pałacowi drogą, którą widocznie znał dobrze.

Antoni wrócił na drugi brzeg, poszedł zwołać ludzi do promu i kazał zajechać powozowi. Podczas przewozu zawiązał ze służbą rozmowę.

--- A z daleka Pan Bóg prowadzi?

--- O, bardzo z daleka; aż z Podola.

--- I daleko jeszcze jedziecie?

--- Zdaje się, że nie; nasz pan zabawi tu jakiś czas.

--- A jak się zwie wasz pan?

--- Sikorski. Toć go znać musicie; to narzeczony waszej panny.

--- Więc to on? --- mruknął Antoni i coś go zapiekło w sercu.

Po chwili odezwał się znowu:

--- We dworze spodziewają się was dopiero jutro.

--- Tak być miało, ale nasz pan gorączka, nie dotrzymał i kazał nam na łeb pakować się do drogi. Pilno mu było do panny.

Prom przybił do brzegu, powóz wyjechał. Antoni z przewoźnikami wrócił na drugą stronę. Przewoźnicy poodchodzili do domów, a on został na brzegu. Usiadł na krawędzi promu i patrzał w okna dworu, oświetlone rzęsisto. Było mu dziwnie czegoś smutno, tak smutno, że mu się aż na płacz zbierało, ale płakać nie mógł, tylko go suche łkanie dławiło w gardle. Wszystko wydawało mu się jakoś smutne, ponure. Noc zdawała mu się jak całun, rozpięty na niebie, gwiazdy jak świece na katafalku. Rzeka połyskiwała jak trupie białka, a wierzby nad wodą wydawały mu się jak szereg jakichś widziadeł z powykrzywianymi rękoma, z wygiętymi i powykręcanymi członkami. Odpowiednie do tego ponurego krajobrazu były myśli jego. Życie wydawało mu się w tej chwili takie mizerne, puste, bezprawne, że dziwił się, dlaczego ludziom tak chce się żyć na tym świecie, dlaczego tak się męczą, upędzają, pracują, mordują się nawet nawzajem, byle przedłużyć to życie bodaj o kilka dni. Potem przyszło mu na myśl, co by to było, gdyby w tej chwili pałac stanął w ogniu? Pobiegłby tam, rzuciłby się w płomienie aż do pokoju Jadwigi i śpiącą wyniósłby i uratował, choćby kosztem własnego życia. Myśląc o tym, zadrżał. Przypomniał sobie, że ksiądz, określając mu miłość, mówił także, że chęć ratowania drogiej osoby, pokazania się z jakim czynem heroicznym w jej oczach, jest także znamieniem miłości. A więc to miałaby być miłość. Przeląkł się tej konkluzji.

--- Nie, nie --- rzekł, potrząsając głową --- mnie nie wolno kochać się, bo ja mam być księdzem, muszę być księdzem...

Głos ojca przerwał mu te medytacje. Stary właśnie wracał z karczmy i zobaczywszy cień człowieka na promie, rysujący się na tle zwierciadła wody, spytał ostro: --- A kto tam?

--- To ja.

--- A ty co robisz na promie, czy ryby łowisz?

--- Nie; przewieźliśmy przed chwilą powóz.

--- Czyj?
--- Pana młodego.
--- Więc przyjechał? Chwała Bogu! Toż to wesoło będzie w pałacu.

VII

Stary Jakub dobrze powiedział, że teraz będzie wesoło w pałacu. Dawne czasy się wróciły, owe czasy, kiedy to pułkownik tracił fortunę na pańskie zabawy i sute przyjęcia. Teściowa ruszyła trochę zapleśniałych dukatów na godne przyjęcie narzeczonego Jadwigi. Sproszono gości z okolicy i nie było dnia, żeby nie wyprawiano jakiejś zabawy, jakiejś niespodzianki przyjemnej. To wieczory tańcujące, to podwieczorki w lesie, to polowania. Służba pałacowa była w ciągłym ruchu, w kuchni paru kucharzy zajętych było od rana do wieczora, po wozowniach i stajniach pełno koni i powozów z okolicy, a w rzęsiście oświetlonych i ozdobionych wspaniale salonach mnóstwo uwijało się gości.

Stara teściowa brała udział we wszystkich tych zabawach; bielutki jej czepeczek koronkowy widać było każdego wieczora między modnymi strojami dam, to w sali balowej, to przy stole, to w bawialnym pokoju. Tylko w polowaniu nie mogła brać udziału. Była jednak na ganku do ostatniej chwili, gdy ruszało towarzystwo z domu. Panowie i panie byli na koniach, służba i poganiacze szli pieszo ze sforami psów. Jadwiga i Zygmunt ostatni pożegnali babkę i puścili się za całym towarzystwem. Staruszka życzyła im pomyślnego polowania i z pomocą lokaja wróciła do siebie.

Po załatwieniu zwykłych czynności codziennych kazała przywołać Antoniego, aby jej czytał aż do powrotu gości z polowania. Trwało to dość długo, bo dopiero późnym wieczorem wróciło całe towarzystwo, umęczone, ale ochocze. Pomiędzy przybyłymi nie było jednak Jadwigi ani Zygmunta; podczas polowania zgubili się w lesie. Pułkownik był pewnym, że wrócili do domu; zdziwił się, gdy ich tu nie zastał.

--- To coś wygląda na wykradzenie --- rzekł żartobliwie i wesoło. --- Musimy panu Zygmuntowi za powrotem dobrze nakłaść w uszy, żeby panny przed ślubem w pole nie wyprowadzał.

--- Nie tak w pole jak raczej na leśne manowce --- odezwał się któryś z gości.

--- No, na manowce to prędzej by Jadwiga jego wyprowadziła, bo on obcy w tych stronach, a Jadwiga zna każdy parów; jeżeli tylko trzymali się naszych lasów, ale jeżeli przeszli na moszczańską stronę, to kto wie, czy sobie poradzą, bo tam wertepy niemałe, istny labirynt.

--- Dojadą przecież do jakiego leśnika, a ten im drogę wskaże.

--- Mnie się zdaje, że ich tylko co nie widać.

--- Trzeba by może zaczekać na nich z kolacją.

Czekano więc do dziesiątej i dłużej jeszcze. Dalej niepodobna było tak gości trzymać o głodzie, kazał więc pułkownik podać kolację, a sam wyszedł na podwórze i wyprawił kilku ludzi do lasu dla odszukania zaginionych. Ta długa nieobecność poczęła trochę niepokoić pułkownika. Mógł przypuszczać, że się jakieś nieszczęście stało.

Goście wstali już od kolacji, poczęto się rozjeżdżać, a Jadwigi i Zygmunta widać nie było. Pułkownik co chwila się ich spodziewał.

Dwóch posłańców wróciło i powiedziało, że przeszukali las wszerz i wzdłuż, że wołali, strzelali nawet, ale nikt im się nie odezwał.

Goście już się rozjechali, a pułkownik czekał i nadaremnie wyglądał. Dopiero o świtaniu, a więc około godziny trzeciej z rana, nadbiegł trzeci posłaniec i doniósł, że znalazł państwa w moszczańskim lesie, gdzie zabłądzili. Niebawem nadjechali. Pułkownik chciał udać zagniewanego i stroił już minę do porządnej perory dla młodej pary, że w tak małym lesie mogła zabłądzić, ale ujrzawszy bladą twarz córki i okropnie zmienioną, zapomniał o ułożonej roli i zatrwożony pobiegł ku niej.

--- Jadwiniu, co tobie jest?

--- Nic mi --- odrzekła sucho --- przeziębiłam się, zmokłam, jestem trochę cierpiąca.

--- Może po doktora?

--- Nie trzeba, nie trzeba --- powtarzała ledwie dosłyszalnym głosem --- potrzebuję tylko spoczynku.

Narzeczony i ojciec pomogli jej zsiąść z konia. Była tak osłabiona, że nie mogła utrzymać się na nogach. Zdawało się, że zemdleje za chwilę.

Pułkownik zawołał na pannę służącą i odprowadził córkę do jej pokoju. Tu pożegnała się z nim, nie patrząc na niego, i kazała się pannie służącej rozbierać.

--- Co jej się stało? --- spytał pułkownik Zygmunta, wróciwszy na podwórzec. --- Gdzieście byli tyle czasu?

--- Zbłądziliśmy. Szukając drogi, zaszliśmy w niedostępne jakieś parowy i moczary. Noc nas zaskoczyła i panna Jadwiga przepędziła ją w opuszczonym jakimś szałasie węglarzy. Tam nas odszukał posłaniec.

Mówiąc to, unikał spojrzenia pułkownika i był nieco pomieszany.

Pułkownik nie zauważył tego, zajęty myślą o córce.

--- I musiała się przeziębić? --- spytał.

--- Zapewne.

--- To dziwna rzecz; ona taka zahartowana, jak żołnierz. Pokazuje się, że co kobieta, to kobieta. Trzeba będzie posłać po doktora.

--- Ja myślę, że nie potrzeba --- odrzekł Zygmunt --- sen i rozgrzanie przywrócą pannę Jadwigę do zdrowia. Jestem pewnym, że jutro będzie już zdrowa.

Pewność ta jednak zawiodła. Panna Jadwiga kilka dni pozostała w łóżku w mocnej gorączce, podczas której płakała, rzucała się i mówiła jakieś niezrozumiałe wyznania i prośby.

Wezwano doktora. Ten znalazł silnie rozstrojone nerwy i febryczną gorączkę. Polecił spokój, dietę i zapisał lekarstwo.

Chora niechętnie znosiła towarzystwo, prosiła, by ją zostawiono samą, nie chciała widzieć ani ojca, ani babki, ani narzeczonego; tylko panna służąca czuwała przy niej i doglądała jej w chorobie.

Niespodziewana ta choroba przerwała zabawy. Odproszono gości, zamknięto bramę i we dworze nastąpiła znowu cisza. Babka się nudziła, ojciec chodził kwaśny i markotny, a pan młody był mocno zakłopotany, szczególniej w obecności pułkownika. Parę razy prosił przez pokojówkę o pozwolenie widzenia jej, pomówienia kilka słów, ale nie pozwoliła na to. Ojciec uważał to za kaprys chorej.

--- Musisz się do tego przyzwyczaić --- rzekł raz do swego przyszłego zięcia --- tym nas kobiety za łeb trzymają. My mamy wolę, one mają kaprysy, i kaprysy zjadają wolę, bo ich dużo, tak jak tych pszczół, co konia zagryzły.

A widząc, że pan młody z pewnym przestrachem słuchał tego porównania, dodał:

--- Pociesz się jednak tym, że Jadwinia tylko w nienormalnym stanie dostaje tej kobiecej choroby; zdrowa nie kaprysi nigdy.

--- Tym bardziej życzyć sobie musimy wyzdrowienia panny Jadwigi.

--- Nudno ci tu z nami starymi, nieprawdaż? A może byś się w sąsiedztwo przejechał?

--- To by może dało powód do różnych domysłów wobec słabości panny Jadwigi.

--- Masz słuszność; ludzie szukają tylko sposobności, aby móc plotkę ukuć. Nasza okolica trzyma prym w tym względzie.

--- Więc wolę się zatrzymać z wizytami aż do wyzdrowienia panny Jadwigi.

--- A tymczasem baw się, jak możesz --- poluj.

--- Po tym niefortunnym polowaniu nie prędko zdecyduję się na drugie.

--- Ha, to chyba zostaje ci gawędka ze mną i pikieta --- obie niezabawne.

Zygmunt jednak zgodził się na tę niezabawną zabawę. Szczególniej lubił grać w pikietę, bo mówił: --- grając w karty, można nie myśleć --- a w duszy myślał sobie: i nie mówić. Rozmowa z pułkownikiem często bowiem wprawiała go w kłopot i pomieszanie. W ogóle można było zauważyć, że od czasu owego polowania był jakoś nieswój, rozdrażniony, niespokojny i z niecierpliwością oczekiwał wyzdrowienia narzeczonej.

Tak tedy stały rzeczy we dworze. Panna Jadwiga nie opuszczała swoich pokoi i prawie z nikim się nie widywała. Zygmunt grał zapamiętale z pułkownikiem w pikietę, a stara teściowa słuchała czytania Antoniego, którego po całych dniach teraz trzymała przy sobie --- słuchała i drzemała na przemiany. Biedny Antoni, zdawało się, że duszę wyzionie z tego ciągłego i głośnego czytania. Mógłby był pod jakimkolwiek pozorem uwolnić się od tego przykrego obowiązku, ale nie chciał, bo w taki tylko sposób mógł pozostawać po całych dniach w pałacu, być blisko Jadwigi i dowiadywać się o jej zdrowiu co dzień, gdyż garderobiana co dzień zdawała relację starszej pani o stanie chorej. To go trzymało w pałacu. Był bowiem bardziej niż wszyscy we dworze zmartwiony chorobą Jadwigi. Byłby Bóg wie co zrobił, by ją uleczyć, ale nic zrobić nie mógł. Nie mogąc przed nikim spowiadać się ze swoich obaw i trosk, powierzał je Bogu; w prostocie dziewiczego serca wierzył, że ta modlitwa gorąca, płynąca z serca, pomóc jej musi. I rzeczywiście, po kilku dniach dowiedział się, że Jadwiga już wstała z łóżka; pułkownik i babka odwiedzali ją po kilka razy na dzień, ale narzeczonego przyjąć nie chciała mimo upomnień pułkownika, który jej przedkładał, że takim postępowaniem zrazi sobie konkurenta.

--- Nie mogę, nie chcę --- powtarzała uparcie --- jestem rozdrażniona, nerwowa, powinniście to uwzględnić i nie nalegać. Pewna nawet jestem, że i on będzie wyrozumiałym. Czy on sam chce koniecznie widzieć się ze mną?

--- Mówił parę razy, że chciałby cię widzieć --- odrzekł pułkownik.

--- Ojciec powiedziałeś mu, że ja nie chcę?

--- Mówiłem.

--- A on?

--- Przez delikatność nie nalegał, ale widać było, że mu przykrość sprawia takie postępowanie. Nie rozumiem doprawdy, co ci się stało? Byłaś dla niego zawsze tak łaskawą, tak dobrą...

--- Toteż to było źle z mojej strony. On pewnie nie dziwi się, że taką jestem, nie powinien się przynajmniej dziwić.

--- Czy między wami co zaszło?

--- Nie pytaj mnie o nic, ojcze --- odrzekła nieco niecierpliwie. Ta rozmowa rozdrażniała ją.

Ojciec więc nie badał dalej. Myślał, że od Zygmunta dowie się bliższych szczegółów tego nieporozumienia i kwasów między narzeczonymi. Ale Zygmunt zbywał go ogólnikami, mówił, że panna Jadwiga jest przesadnie drażliwą, że uważa niektóre rzeczy z dziwnego punktu, ale w całym tym tłumaczeniu jego widać było pewne zakłopotanie, nieśmiałość, jakby się czuł winnym. Pułkownik, nie mogąc się niczego dowiedzieć, machnął ręką i powiedział sobie:

--- Ot, zwyczajnie jak między młodymi; krzywią się, sami nie wiedzą o co; jak się trochę podąsają, to i sami przestaną; najlepiej się w to starym nie mieszać.

Zostawił tę rzecz naturalnemu biegowi i był pewnym, że skoro Zygmunt będzie miał sposobność wytłumaczyć się przed Jadwigą, zgoda nastąpi. Stać się to mogło wkrótce, bo Jadwiga już zaczęła wychodzić do ogrodu.

Antoni z kancelarii pułkownika zobaczył ją, gdy wyszła po raz pierwszy. Była nadzwyczaj blada. Ale nie to uderzyło Antoniego, bo nigdy Jadwigi bardzo rumianej nie widział; miała ona ową matową białość, jaką mają niektóre leśne kwiaty. Zdziwiła go jakaś powaga smutku, której nigdy przedtem nie bywało na jej ożywionej, energicznej twarzy. Zdawało mu się, jakby trochę postarzała, tak ta powaga dodawała jej lat. Mógł to być chwilowy skutek choroby, a raczej osłabienia, które widocznie znać było po jej powolnym chodzie. Uszedłszy kilka kroków aleją, usiadła na ławce pod jesionem. Była w niebieskim szlafroczku rannym, w turecki deseń haftowanym, spod szlafroczka wysunęły się białe, muślinowe rąbki rękawów, a z nich bielsza jeszcze ręka, którą w tej chwili skubała listki akacji w zamyśleniu.

Antoni obserwował ją z okna, a raczej pochłaniał ją zachwyconymi oczyma i bał się stracić jeden ruch jej, jedną chwilę z tego widoku. Naraz zauważył, że się poruszyła niespokojnie, jakby się czegoś wystraszyła i nie wiedziała, czy ma odchodzić, czy zostać. Równocześnie spostrzegł na końcu alei narzeczonego, który ujrzawszy ją, szybkim ku niej zbliżał się krokiem. Blade jej lica zapłonęły mocno --- wstała i szła ku pałacowi. On zbliżył się do niej i wziął ją za rękę, ale mu ją szybko wyrwała i odeszła. Antoni dostrzegł na jej twarzy mocne wzburzenie, jakby była zagniewaną, obrażoną.

Nie mógł sobie tego wytłumaczyć, przypuszczał tylko, że narzeczony musiał jej jakąś przykrość wyrządzić, i powziął do niego niechęć z tego powodu; począł go nie cierpieć i to dlatego tylko, że przez niego cierpiała córka dziedzica.

Tak się zajął tymi myślami, że nie słyszał wejścia pułkownika. Dopiero pytanie jego oprzytomniło go. Pułkownik zapytał go, czy już wygotował listy, a zobaczywszy, że te leżały na stole nie pokończone, strofował go ostro za opieszałość i napędził do roboty.

Tego samego dnia wysłał go za interesami do gubernialnego miasta. Szło o zrobienie wyciągów z ksiąg hipotecznych; wyciągi te miał zrobić Antoni podług wskazówek i pod nadzorem adwokata, do którego miał zlecenie.

Sprawa ta zajęła go kilka dni. Kiedy wrócił do Zarzecza, zastał już w pałacu sytuację odmienną. Między narzeczonymi wróciła zgoda i harmonia; panna Jadwiga, pomimo że nie wróciła do dawnej wesołości i swobody, okazywała swemu narzeczonemu jeszcze większą miłość niż przedtem; z energicznej panny zrobiła się poważną, łagodną, miękką i rzewną. Długie godziny przepędzali oboje w Ogrodzie. Antoni nieraz z kancelarii widział ich spacerujących w alei; ona wtedy, zawieszona na jego ramieniu, szła przytulona do niego i zdawało się, że jej w tej chwili nic nie obchodziło, prócz tego, co jej mówił narzeczony; była cała zasłuchana, zapatrzona, oddana jemu. Antoni patrząc na tę parę zakochaną, doświadczał dziwnego zamętu i łupania w głowie; widok ten większy ból mu sprawiał niż wtedy, gdy widywał Jadwigę zapłakaną i smutną. Teraz zdawała się być szczęśliwą, powinien więc być i on kontent, a jednak nie był. Odwracał się, ażeby nie widzieć zakochanych, bo każde spojrzenie w ogród odbijało się w jego mózgu jak tępe uderzenie siekiery. Nie mógł pracować spokojnie, myśli mu się mieszały, w oczach mu się mąciło. Nieraz, przestraszony tym stanem, zrywał się, przecierał oczy, chwytał się za głowę i pytał zmienionym głosem:

--- Co to jest? Co się ze mną dzieje?

Niecierpliwie oczekiwał chwili, w której będzie mógł skończyć swoje zajęcia i wyjść z pałacu. Zdawało mu się, że w domu będzie mu lepiej, że tam odetchnie swobodniej i pozbędzie się tego gorączkowego niepokoju, jakiego doświadczał w pałacu. Ale w domu opanowywała go znowu tęsknota i niecierpliwie liczył godziny, oczekując z drżeniem, kiedy będzie mógł wrócić do pałacu i zobaczyć Jadwigę. Powracał tam uparcie, jak komar do płomienia, w którym się palą jego skrzydła. Był w ciągłym rozstroju, w gorączce i nieprzytomności. Unikał towarzystwa ludzi, nawet na plebanię nie zaglądał teraz; nic go nie zajmowało, nie obchodziło, niczego nie był ciekawy, prócz tego jednego: co ona teraz robi? Gdzie jest? Nieraz, gdy jej przez dłuższy czas nie widział, wymykał się skrycie z kancelarii i z drżącym sercem przebiegał aleje ogrodu, szukając jej. Gdy ją zobaczył z daleka, idącą pod rękę z Zygmuntem, cofał się przestraszony lub chował w zarośla, czekając aż przejdą. Raz z takiego ukrycia usłyszał kilka słów wyrzeczonych przez Jadwigę, nad którymi długo potem myślał. Jadwiga, przechodząc, mówiła do narzeczonego:

--- Oj, daj pokój, nie trudź się na próżno; nie wytłumaczysz mi tego. Wiem, żeśmy źle zrobili, że upadłam, bardzo nisko upadłam, i to mnie dręczy i nie uspokoję się aż po ślubie. Gdyby można przyśpieszyć...

Więcej nie dosłyszał, bo zbyt się oddalili od niego. To, co usłyszał, było dla niego zagadką; nic a nic nie rozumiał, co znaczyć miało zmartwienie Jadwigi, które tylko ślub miał ukoić.

Innego znowu dnia, w południe, gdy wszyscy siedzieli przy stole, Antoni, który jadał w kredensie, zamiast na obiad poszedł do ogrodu. Dobrze mu było w tych miejscach, w których ona przebywała tak często. Lubił chodzić po ścieżkach, po których przed chwilą ona przechodziła. Idąc tak, spotkał pokojową Jadwigi.

--- Nie widziałeś panienki? --- spytała Antoniego.

--- Nie --- odrzekł i zarumienił się mocno. Pokojowa jednak nie uważała tego i pobiegła dalej w ogród szukać swej pani, którą chciała poprosić do obiadu. Po chwili ujrzał wychodzącą z altany Jadwigę. Poszła z pokojową ku pałacowi.

Antoni patrzał za nią jak za cudownym zjawieniem, a gdy zniknęła na zakręcie alei, poszedł ku altanie.

Była to altana tak gęsto dzikim winem zarosła, że było w niej ciemno jakby w pieczarze jakiej. Potrzeba było czasu, aby się oko przyzwyczaiło do tych ciemności i mogło rozpoznawać przedmioty. Antoni wszedł z nabożeństwem, jak do kościoła, do tego miejsca, w którym przed chwilą była ona, i usiadł na ławce. Po chwili spostrzegł na ziemi tuż przy ławce rozsypane listki róży, a na stole batystową chusteczkę. Chusteczka była

wilgotna. Więc płakała --- pomyślał sobie --- począł tulić do ust wonną chusteczkę i w miarę, jak ją całował, stawała się wilgotniejszą, bo całując ją, płakał także. Chusteczki tej nie zostawił; zabrał ją ze sobą, odchodząc, i zachował jak relikwię.

Ale nadeszły dżdżyste dni i spacery w ogrodzie ustały. Zakochani przepędzali teraz większą część dnia w salonie. Antoni przechodząc nieraz tamtędy po interesie do starszej pani, widywał ich siedzących na małej kozetce w rogu saloniku. Jadwiga zwykle zajęta była robotą, a Zygmunt albo rozmawiał z nią, albo jej coś czytał.

Jednego dnia przechodził Antoni przez ten pokój o zmroku. W salonie było cicho, prawdopodobnie nie było w nim nikogo. Ale za chwilę weszła Jadwiga, a ujrzawszy cień mężczyzny, rysujący się w ciemnym pokoju na jasnych szybach okna, zbliżyła się ku niemu, zarzuciła mu ramiona na szyję i oparłszy się całym ciężarem ciała na nim, skłoniła głowę na jego piersi, a usta jej wyszeptały cicho:

--- O, mój, drogi!

Antoni stracił przytomność. Nie wiedział, co się z nim dzieje, co robić, czy ma ziemię pod nogami, tak był odurzony. Ale po chwili Jadwiga poznała pomyłkę i odtrącając gwałtownie od siebie Antoniego, spytała z przerażeniem i wstrętem:

--- Kto tu?

--- To ja, panienko --- odrzekł drżącym głosem Antoni.

--- Czego tu chcesz? Czego włóczysz się po pokojach? --- spytała gniewnie i nie dając mu się tłumaczyć, dodała:

--- Precz stąd!

W tym rozkazie było tyle wzgardy, obrzydzenia, gniewu, obrazy, że Antoni uciekł wystraszony, przelękły, drżący na całym ciele. Uciekł nie tylko z pokoju, ale i z pałacu, jakby dopuścił się okropnej jakiej zbrodni. Biegł na oślep, nieprzytomny, unosząc ze sobą, jak skradziony skarb, wspomnienie tej chwili, kiedy delikatne ręce Jadwigi oplatały jego szyję, kiedy jej włosy pachnące dotykały jego twarzy, a oddech jej czuł wkoło siebie. Było to wspomnienie tak rozkoszne, że go zmysłów prawie pozbawiało. Nie wahałby się przecierpieć wiele, byle przedłużyć urok tej chwili, w której tak blisko był tej, na którą, jak na bóstwo, z daleka poglądał, na samą myśl o tym nerwy wszystkie grały w nim rozkosznie, pulsa uderzały gwałtownie; wyobraźnia jego nie miała siły odtworzyć sobie tego uroku. Biegł jak szalony, sam nie wiedząc gdzie uciekał, bo zdawało mu się, że go gonią, że mu chcą odebrać pamięć tej rozkoszy. Przedmioty coraz niewyraźniej, coraz potworniej przesuwały się koło niego. Zdawało mu się, że w pędzie mija Ziemię, gwiazdy, księżyce, że się przedziera przez mleczne drogi, aż dotarł do przestrzeni, gdzie nie ma ani gwiazd, ani światła, tylko ciemność i zimno. Zdyszany, spocony, zmęczony, chciał odpocząć; mniemał, że jest bezpieczny tutaj zupełnie, gdy naraz usłyszał za sobą głos:

--- Antoni!

Zerwał się i chciał biec znowu, ale sił mu brakło i upadł na ziemię. Jakaś ręka dotknęła go; otworzył oczy i zobaczył nad sobą twarz księdza proboszcza. Chciał coś mówić, język się zaplątał, w oczach mu się zaćmiło i stracił przytomność.

VIII

Ksiądz proboszcz wracał był właśnie od chorego, ścieżką pod lasem, kiedy zobaczył jakiegoś człowieka, biegnącego przez pola, w bezładnym ubraniu, bez czapki, z włosami rozczochranymi i obłąkanym wzrokiem. Poznał Antoniego i, zdziwiony, zawołał na niego. Antoni, jak wiemy, przestraszył się tego głosu i chciał uciekać, ale już - nie mógł i upadł.

Ksiądz zbliżył się do niego, ukląkł i począł go cucić z pomocą kościelnego, który z latarką i wodą święconą szedł za nim. Po jakimś czasie Antoni otworzył oczy, ale patrzał na otaczających szklano, bezrozumnie i mówił coś bez związku i ładu. Ksiądz pomacał puls, dotknął ręką rozpalonego czoła Antoniego, a potem rzekł do kościelnego:

--- Trzeba go będzie zanieść do domu. Idź do wsi po kilku ludzi.

Kościelny poszedł; ksiądz został sam przy chorym, podtrzymując głowę jego na swoich kolanach i uspokajając go. Antoni bowiem zrywał się co chwila i chciał uciekać. Ksiądz w majaczeniach jego gorączkowych kilka razy usłyszał imię Jadwigi, chory mówił o jakimś pocałunku, o upadku, o nieszczęściu, o ślubie. To proboszcza zastanowiło. Widocznie stan chorego był w związku z jakimiś wypadkami we dworze, z urywanych jednak słów nie mógł się nic dowiedzieć, był tylko pewnym, że jutrzejszy dzień wszystko wyjaśni.

Tymczasem nadszedł kościelny z ludźmi, którzy przynieśli drabinkę z wozu, wysłaną kożuchami, by na niej zabrać chorego.

Ksiądz chciał kazać zanieść go do ojca, ale biorąc pod uwagę, że tam nie miałby takich wygód i starania, jakich wymaga choroba, zdecydował się zabrać go na plebanię, a do starego Jakuba wysłał jednego człowieka z doniesieniem, że syn jego leży chory na plebanii, i z żądaniem, żeby niezwłocznie tam przyszedł.

Posłaniec nie zastał Jakuba w domu; był, jak zwykle, na kartach w karczmie. Gdy mu powiedziano o nagłej chorobie syna, zmieszał się, porzucił na wpół rozpoczętą partię mariasza i poszedł na plebanię. Spotkał księdza proboszcza we drzwiach.

--- Czy to prawda? --- spytał.

--- Cicho --- przerwał ksiądz --- usnął, nie budźmy go.

I wyprowadził Jakuba na ganek.

--- Cóż mu się stało? --- spytał stary, zaniepokojony tonem księdza.

--- Sam nie wiem, co to jest. Posłałem po doktora do miasteczka. Być może, że jest to chwilowy jakiś atak, a może też zaniesie się na dłuższą chorobę; gorączka jest silna.

--- I z czegóż by znowu? Przecież nie pracował teraz; siedział sobie w pałacu, w kancelarii dziedzica, miał wszelkie wygody, lepiej mu było niż kiedykolwiek, a jednak przypominam sobie, że od jakiegoś czasu był osowiały i nieswój.

--- Czy mu kto nie zrobił jakiej przykrości?

--- A któż by? Pułkownik był na niego łaskawy...

--- A panna Jadwiga?

--- A cóż ona mogła mu złego zrobić? Dała mu nawet raz kilka reńskich za wyratowanie sarny.

--- To wiem, ale widzicie, mój Jakubie, pieniądze nie są wszystkim i nie można nimi wynagrodzić przykrości wyrządzonych, na przykład upokorzenia, obelgi...

--- On tam do takich delikatnych wymysłów nie był przyzwyczajony, bo on nie żaden pan, tylko sługa. Co by mu to zaś miało zaszkodzić? Prędzej może objadł się, bo to on nie nawykł do pańskiego stołu, i zachorował.

Ksiądz poznał, że się nie dogada ze starym, i chciał wyprawić go do domu, widząc, że choremu obecność jego na nic się nie przyda.

--- No, idźcie już do domu, Jakubie, ja tu będę czuwał nad nim; jutro dowiecie się, jak mu jest.

--- Jak to? Jegomość sam by się fatygował? A czy to on wart tego? Każę go przenieść do siebie, to Gertruda będzie chodziła koło niego.

--- I my tu znajdziemy kogoś, co będzie chodził koło niego; będzie mu tu wygodniej.

--- Tak; jak zasmakuje w wygodnej chorobie, to mu się nie będzie chciało być zdrowym.

--- Nie bójcie się tego; no, dobranoc wam. Stary jednak nie odchodził. Pomimo szorstkich i rubasznych słów, jakich użył, mówiąc o chorobie syna, niepokoił się tą chorobą. A wstyd mu było przyznać się do tej miękkości; zdawało mu się, że to ubliżałoby jego charakterowi wojskowemu i jego powadze ojcowskiej. Stał więc i to odpinał, to zapinał pętlice czamary, przestępował z nogi na nogę i szukał w myślach, pod jakim pozorem mógłby przedłużyć swój pobyt na plebanii.

--- A może bym się przydał na co?

--- Na co?

--- Wiem ja? Może jak doktor przyjedzie, trzeba będzie coś pomóc. Zresztą dowiem się, co mu jest. Może nic wielkiego, może mu się polepszy, to bym go zabrał, żeby jegomości niepotrzebnego kłopotu nie robił.

--- To zaczekajcie; doktor lada chwila powinien nadjechać.

Stary usiadł na ganeczku. Ksiądz poszedł zobaczyć do pokoju chorego. Nie spał już, ale się rzucał nieprzytomnie na łóżku. Gospodyni próbowała delikatnie zdjąć z niego ubranie, by mógł wygodniej leżeć; ksiądz chciał jej pomóc w tym; kiedy rozpinał mu kamizelkę na piersiach, wśród szamotania wypadła mu na ziemię z zanadrza chustka batystowa, a z niej posypały się zwiędłe listki róży. Ksiądz podniósł prędko chustkę; delikatność jej i zapach uderzyły go. Zbliżył się do lampy i przyjrzał się uważniej chusteczce. Na

jednym rogu wyhaftowana była korona hrabiowska, a pod nią litery: J.L. Z dwóch tych liter ksiądz przeczytał wszystko. Rozjaśniło mu się w głowie; zrozumiał powód choroby Antoniego, domyślał się nawet więcej, niż było, podejrzewał bowiem, że między Jadwigą i Antonim było pewne porozumienie, że owa róża i chusteczka z wiedzą swej właścicielki dostały się Antoniemu, a słowa, jakie ten mówił w gorączce, o pocałunku boskim, o altanie, ślubie, jeszcze więcej utrwalały go w tym podejrzeniu. Widział już tyle podobnych przykładów, że damy wielkiego świata z nudów, kaprysu lub przelotnego upodobania zawiązywały miłostki z ludźmi niższymi. I tu mogło być coś podobnego. Pannie mógł się spodobać Antoni; próbowała na jego_ szorstkiej, chropowatej duszy ostrza swych spojrzeń, pobawiła się nim chwilowo, a potem odrzuciła, jak zepsutą zabawkę. Antoni, jako człowiek nie zepsuty, niedoświadczony, wziął za gorąco tę rzecz. Ostudzony nagle zimnym postępowaniem Jadwigi nie mógł znieść bez szwanku tego nagłego przejścia z gorąca do zimna. Szkło w takich przejściach pęka. Człowiek opłaca to chorobą.

Tak sobie tłumaczył ksiądz proboszcz chorobę Antoniego i widział ze smutkiem, że leczenie jej będzie trudniejszym, niż mu się na razie zdawało. Doktor mógł tu tylko w połowie poradzić, a jemu szło głównie o tę drugą połowę, o ocalenie duszy, którą chował i pielęgnował był na wyższe cele niż na igraszkę miłosnych cierpień i zawodów.

Gdy rozmyślał o tym, na drodze dał się słyszeć turkot wózka. Ksiądz schował prędko do stolika chusteczkę z hrabiowską koroną i wyszedł na spotkanie doktora, gdyż domyślał się, że to on zapewne przyjechał.

Rzeczywiście, był to doktor. Ksiądz zaprowadził go do chorego.

Jakub pozostał na ganku, oczekując końca oględzin lekarskich.

Trwało to dość długo; stary niecierpliwił się, czasem podchodził pod okno i niespokojnie zaglądał do wnętrza pokoju, w którym leżał syn jego. Widział przy świetle lampy rozpaloną jego twarz, błyszczące oczy i niespokojne ruchy podczas badania lekarskiego. Ksiądz stał przy łóżku i objaśniał doktora, opowiadając mu coś i tłumacząc. Potem doktor usiadł do pisania recepty. Jakub wrócił na ganek. Za małą chwilę wyszedł doktor. Jakub ukłonił mu się i chciał o coś zapytać, ale doktor nie uważał tego, zajęty rozmową z księdzem, który go wyprowadził na ganek.

--- Będę tu za parę dni --- mówił --- zobaczyć skutek lekarstwa. Gdyby coś nadzwyczajnego wypadło, proszę mnie uwiadomić.

Pożegnał księdza i wsiadł na bryczkę; ksiądz zwrócił się do furmana i rzekł:

--- A pamiętaj prędko wracać z lekarstwem. Bryczka odjechała.

--- I cóż mówił doktor? --- spytał Jakub.

--- Tyfus --- odrzekł ksiądz.

--- Ano, trzeba będzie czekać czternaście dni, aż się choroba przesili.

--- Tak mówił i doktor. Jeżeli do tego czasu się nie pogorszy, to będzie żył.

--- Chłopiec zdrów i silny, to przetrzyma. Ja już dwa tyfusy przeszedłem, a żyję. E! nic mu nie będzie --- dodał z fantazją.

Księdza trochę niecierpliwiła i oburzyła ta pewnośći obojętność, z jaką Jakub traktował chorobę syna, i starał się zakończyć prędko tę rozmowę. Jakub niebawem odszedł uspokojony całkiem o syna. Co kilka dni jednak zaglądał na plebanię, dowiadując się o zdrowie jego. Nareszcie minął ów niebezpieczny termin, chory przetrzymał kryzys i powoli zaczął przychodzić do siebie.

Kiedy już przytomność i siły wracać poczęły, wróciła i pamięć ostatnich wypadków, które zaszły przed jego chorobą. Parę razy chciał księdza o coś pytać, ale nie miał odwagi. Dowiadywał się tylko, jak prędko będzie mógł wstać, czy ojciec nie bywa u niego, czy ze dworu nie posyłano po niego? Z tych nic nie znaczących na pozór zapytań ksiądz mógł się domyślić, o co właściwie choremu chodziło i co chciał wiedzieć. Ale nie dotykał wcale tego przedmiotu, by to nie zaszkodziło Antoniemu. Chciał z nim pomówić o tym, dowiedzieć się bliższych szczegółów, ale czekał, aż sił więcej nabierze. Tymczasem wzmacniał osłabiony organizm pożywnymi pokarmami, a czytaniem i rozmową rozrywał umysł. Czytając mu rozmaite ciekawe opisy podróży, zauważył, że Antoni często bardzo nie słuchał go, zajęty innymi myślami. Nietrudno było mu domyślić się, co go zajmowało; silne rumieńce, które nieraz w takich chwilach występowały na bladą twarz jego, zdradzały go.

Raz, wszedłszy niespodziewanie do pokoju ksiądz zastał Antoniego szukającego czegoś pod poduszkami i koło siebie.

--- Czego szukasz? --- spytał łagodnie.

--- E, nic, drobnostka... chustka mi się gdzieś podziała.

--- Chustka od nosa?

--- Tak.

--- Biała?

--- Biała --- odrzekł, nie patrząc na księdza, który badawczym wzrokiem wpatrywał się w niego.

--- Czy ta? --- spytał po chwili ksiądz, wyciągając chusteczkę z szuflady.

Chory żywo wyciągnął po nią rękę, ale cofnął się, spotkawszy wzrok księdza, i zarumienił się mocno.

--- Skąd u ciebie wzięła się ta chustka? --- spytał ksiądz, siadając obok niego przy łóżku.

--- Miałem ją od dawnego czasu... nie pamiętam skąd.

--- Antoni, mówisz nieprawdę; to chustka panny Jadwigi.

Chory ruszył się niespokojnie i wystraszonym wzrokiem spojrzał wokoło, jakby się bał, żeby ktoś nie usłyszał słów księdza.

--- Nie bój się, nikt nie słyszy. Powiedz szczerą prawdę: czy ona sama dała ci tę chustkę?

--- Ona?! Nie, ona by tego nie zrobiła.

--- Więc ją wziąłeś sam?

--- Znalazłem... potem zapomniałem o niej.

--- Wraz z listkami róży?

--- Więc i to ksiądz wiesz? --- spytał zawstydzony.

--- I ty chcesz mnie zwieść, mój drogi, że ta chustka została u ciebie przypadkiem, przez zapomnienie? --- Ty kochasz pannę Jadwigę.

Chory nie odpowiedział nic; zakrył twarz rękami. Po chwili pod rękami dało się słyszeć mocne łkanie i łzy ciekły przez palce.

Ksiądz z litością patrzał na nieszczęśliwego, położył dłoń na jego głowie i mówił:

--- Nie sądź, mój synu, że ciekawość skłania mnie do wdzierania się w tajemnice twego serca. Idzie mi o wyleczenie cię z tej choroby i dlatego pytam się o jej szczegóły. Powiedz mi, jak daleko zaszło między wami.

Antoni odjął ręce od twarzy i popatrzył na księdza wzrokiem zdziwionym.

--- Między nami? --- zapytał. --- Przecież ona o niczym nie wie. Gdyby wiedziała, nie przebaczyłaby mi tej zuchwałości. Bo to zuchwałość była, śmieć myśleć o pannie takiego rodu. Ale ja sobie myślałem, jeżeli nam wolno wielbić i podziwiać świętych, dlaczegoż by jej nie wolno było? Ja nie wiedziałem, myśląc tak wtedy, że to całkiem co innego; dziś widzę, że tak jest.

--- Więc ona nigdy nie okazywała ci nic?

--- Nigdy, nigdy.

--- To mnie uspokaja. Choroba jest mniej niebezpieczna, niż sądziłem. Miłość, choćby największa, nie podsycana wzajemnością, choćby tylko chwilową, uschnąć w końcu musi, bo nie ma gruntu. Czy możesz mi powiedzieć, w jaki sposób to uczucie zrodziło się w tobie?

--- Wszystko, wszystko ci opowiem, mój opiekunie, mój drogi ojcze!

Tu opowiedział ze wszystkimi szczegółami wypadki i wrażenia, jakie zaszły w nim i koło niego w czasie jego pobytu w pałacu; nie pominął nic, mówił nawet takie szczegóły, które dla niego samego były niezrozumiałe i dziwne; spowiadał się jak dziecko z każdego kroku, z każdej myśli, a spowiedź swoją zakończył tymi słowy:

--- Widzisz więc, kochany opiekunie, że zgrzeszyłem bardzo, bo sprzeniewierzyłem się memu powołaniu i serce, które miałem poświęcić Bogu i dobru ludzi, zająłem miłością ziemską, uczuciem samolubnym. Prawda, że mi teraz nie wolno już zostać księdzem?

--- Dziecko z ciebie, mój Antoni. Czy myślisz, że każdy z nas nie przechodził tego samego, że prawa natury cofnęły się przed nami i przeszliśmy mimo nich do ołtarza bez walki? Każdy człowiek choć raz w życiu musi poczuć w sobie pragnienie miłości. Kto tego nie czuje to potwór lub zjawisko nadzwyczajne. Ciebie uważałem za takie zjawisko; pokazało się, że się omyliłem. Wcześniej czy póź.niej prawa te musiały się odezwać w tobie, nie wypada z tego, żebyś miał wyrzec się swego powołania, zwłaszcza, że miłość twoja nie ma przyszłości i musi przeminąć. A wspomnienie jej nie uwłacza w niczym świętości stanu, do którego się gotujesz, owszem, wspomnienie takie będzie cię chroniło od upadku. Beatrix Danta ku niebu wiodła.

--- Jak to? Więc i ty, ojcze, kochałeś?

--- Tak, kochałem, nie zapieram się tego; więcej nawet powiem: byłem kochany...

--- Ale umarła zapewne?

--- Nie, żyje; tylko ona była biedną i ja nic nie miałem. Długo trzeba było czekać, żebyśmy się pobrać mogli. A tymczasem oświadczył się o nią człowiek majętny, poczciwy nawet, który mógł jej i jej rodzinie zabezpieczyć byt. Nie chciała iść za niego, zdecydowała się czekać na mnie choćby najdłużej. Ale nie mogłem przyjąć takiej ofiary przez wzgląd na jej rodzinę, która życzyła sobie związku z owym majętnym człowiekiem, i odesłałem jej pierścionek, a sam wstąpiłem do seminarium.

--- I ona poszła za tamtego?

--- Poszła. Dziś jest matką kilkorga dzieci, matką dobrą i poczciwą żoną. We dwoje może byśmy byli zmarnieli i ściągnęli na siebie łzy i niechęć rodziny, każde zaś z osobna pracujemy dla szczęścia drugich i przydaliśmy się na coś. Wspomnienie miłości tej kobiety jest mi zawsze drogim i nie tylko nie uwłacza memu powołaniu, ale owszem, uszlachetnia je. W nim szukałem nieraz otuchy, natchnienia do pracy. Kto kochał raz w życiu kobietę, której pamięć jest mu drogą i dla której ma szacunek, ten nie będzie szukał przyjemności w zaspokajaniu brzydkich i uwłaczających godności człowieka namiętności. Kto nie kochał jak człowiek, ten musi kochać jak zwierzę. Dlatego nie masz powodu wstydzić się tego uczucia ludzkiego, które nawiedziło twoje serce. Chowaj je w sobie, jak w pogańskim Rzymie chowano święty ogień na usługi religijne. Inna rzecz, gdyby ten ogień przemienił się w pożar i ogarnął wszystkie twoje pragnienia i zamiary. Do tego nie powinieneś dopuścić, nie powinieneś z własnej winy rozdmuchiwać tych płomieni, które by cię pochłonąć i strawić mogły i zepchnąć z tej drogi, na którą masz wstąpić. Trzeba będzie przecierpieć, walczyć z sobą trochę; ale cierpienie twoje będzie znośniejszym, gdy pomyślisz, jaki piękny cel masz przed sobą.

--- Więc ratuj mnie, ojcze! --- zawołał Antoni, chwytając dłoń księdza z uniesieniem.

--- Przede wszystkim nie powinieneś już więcej bywać w pałacu.

--- To niepodobna. Ojciec mi każe.

--- Biorę to na siebie. Wytłumaczę to twoją chorobą, wynajdę dla ciebie jakie pilne zajęcie przy kościele. Nie widząc jej, łatwiej ci będzie przyjść do spokoju, równowagi. Niedługo będzie tego; za kilka tygodni ona

idzie za mąż, ty wyjeżdżasz do seminarium.

Być może, że się już nigdy nie spotkacie. Zgadzasz się na to?

--- Wszystko zrobię, co każesz, byleby mnie to uleczyło.

--- Wyleczę cię, wyleczę, z pomocą Boską --- rzekł ksiądz, tuląc go do piersi. --- A kurację zacznę od spalenia tej chustki --- dodał z uśmiechem dobrotliwym.

--- Cóż chustka ci winna? --- zawołał żywo Antoni.

--- W niej tkwią zarodki choroby; w czasach epidemii lekarze każą palić odzież i wszystko, w czym się choroba przechowuje.

Słuchajmy lekarzy.

To mówiąc, wziął ze stołu zapałkę, potarł ją o ścianę i podpalił chustkę. Ogień szybko ogarnął lekki batyst, spłonął on w jednej chwili jak motyl w powietrzu; zostało po nim trochę popiołu, po którym przebiegały ostatnie iskierki. Antoni nieruchomy wpatrywał się w to całopalenie.

Od tego dnia ksiądz nigdy już w rozmowie nie potrącił o tę drażliwą kwestię, o której wtedy tyle mówił, owszem, starał się myśli Antoniego odprowadzić jak najdalej od niej. Czytywał mu różne zajmujące książki, objaśniał, zapytywał, słowem, tak zatrudniał ciągle myśli jego, żeby im nie dać czasu odpoczywać, oglądać się poza siebie. Rzadko zostawiał go samego, a gdy Antoni przyszedł do sił i mógł już chodzić i zajmować się pracą, dawał mu różne zajęcia nie męczące, ale wymagające uwagi i zastanowienia. Potem wzywał go do pomocy w czynnościach kościelnych, uczył go różnych ceremonii, używanych przy służbie Bożej, wynajdywał mu zatrudnienia, które go rozrywały i ożywiały. Nadchodząca uroczystość poświęcenia kościoła dawała sposobność do takich zatrudnień. Trzeba było kościół oczyszczać, stare, zapylone obrazy obmywać, ołtarze przystrajać. Wszystko to wymagało nadzoru, rady, zachęty; ksiądz sam musiał zajrzeć wszędzie, widzieć, co i gdzie zrobić. Antoni mu w tym pomagał.

Gdy raz stali w kapliczce na cmentarzu, ogrójcem zwanej, dozorując ludzi oczyszczających firanki przy ołtarzu i myjących okna, ksiądz wziął go na stronę do statuetki Pana Jezusa, ubranej w płaszcz purpurowy i złotą koronę, i rzekł:

--- Ten Chrystus to robota jednego ze znakomitszych rzeźbiarzy naszych. Urodził on się w naszej parafii i dlatego jedną z najlepszych prac swoich ofiarował do tutejszego kościoła. Przypatrz się twarzy Chrystusa: jaka szlachetna powaga rysów, a przy tym łagodność, wobec której cierpienie ziemskie zdaje się tracić swą siłę. Jaką jest twarz, taką cała figura. Ale tego nie widać, bo wygórowana pobożność zeszpeciła dzieło mistrza. Jedni z litości nad nagim Chrystusem i przez cześć dla jego bóstwa zakryli cudne kształty kawałkiem jakiejś czerwonej materii, obszytej złotym galonkiem; inni, dla tego samego powodu, pomiędzy cierniową koronę powprawiali złociste promienie; inni przywiązali do głowy prawdziwe włosy; inni znowu pozawieszali na szyi wota przeróżne, korale, koronki, i dzieło mistrza zniknęło wśród tych dodatków i ozdóbek. Toż samo --- dodał ciszej --- zrobiono z naszą religią. Chrystus zostawił nam ją czystą, skończoną, jak dzieło mistrza, a ludzie przez wieki pracowali, by ją zeszpecić. Ponawieszali na niej dodatki własnego wymysłu i spod strzępków i ozdób nie widać właściwej religii. To, co uważamy za nią, jest tylko jej upstrzeniem, ale ludzie tak przywykli do tych zewnętrznych naleciałości, że kto by chciał im to odebrać, odrzucić na bok i odsłonić nagi posąg, tego by nazwali świętokradcą, heretykiem tak, jakby i mnie niechybnie nazwali moi parafianie, gdybym chciał odrzucić te ozdoby. Nie robię tego z obawy, bym zdzierając te przyczepki zewnętrzne, nie uszkodził samej religii. Trzeba to robić powoli i ostrożnie. Co wieki zepsuły, wieki znowu naprawić muszą. To nasze zadanie i o tym pamiętać powinieneś.

Te słowa silnie przemówiły do duszy Antoniego i rozbudziły w nim na nowo pragnienie zostania księdzem. Ideał i obowiązki, jak je przedstawiał mu proboszcz, były tak wzniosłe, że wobec wielkiego zadania, jakie zmartwychwstało znowu teraz przed nim, miłość do Jadwigi wydała się czymś tak małym, że wstydzić się musiał, iż dla tej małostki porzucił był na chwilę drogę tak piękną.

Z każdym dniem nabierał większego zamiłowania do stanu, który sobie obrał, rozmiłował się w nim prawdziwie i czekał niecierpliwie chwili, w której będzie mógł rozpocząć szczytną misję swoją. I w miarę jak ten projekt bardziej dojrzewał w jego myślach i większego nabierał uroku, tym bardziej uczucie, jakie czuł dla Jadwigi, bladło i nikło; mógł nawet myśleć o niej bez silnego wzruszenia, jak się myśli o dawno zmarłych, a drogich nam osobach. Raz tylko jeszcze to uczucie buchnęło silniejszym ogniem, a mianowicie, gdy się dowiedział, że Jadwiga wyjeżdża. Nie był na to przygotowany i dlatego ta niespodziewana wiadomość mocno go obeszła i zainteresowała. Wiedział o tym, że ślub miał się odbyć w Zarzeczu na święty Michał; z pewnym niepokojem oczekiwał tego terminu, bo wtedy miał się oko w oko spotkać z marą miłości swojej i wypróbować się, na ile silnym się czuje wobec niej. Miał asystować do ślubu księdzu proboszczowi. Gotował się, jak żołnierz na wojnę, na tę chwilę i liczył godziny, co go od niej oddzielały. Tydzień jeszcze miał czekać, gdy naraz dowiedział się, że Jadwiga wyjechała z ojcem. Później trochę dowiedział się, że pojechała do Częstochowy, gdzie miał się odbyć ślub w ułożonym dniu. Jedni mówili, że ta zmiana miejsca stała się na prośbę matki pana młodego, która zrobiła wotum, że syn jej nie gdzie indziej tylko w swoim kościele parafialnym albo w Częstochowie ślub brać będzie. Inni mówili, że tego życzyła sobie panna młoda i uprosiła ojca, aby nie spraszał gości ani szumnego wesela nie odprawiał. Dlaczego tak chciała ona, co lubiła się bawić, nikt nie mógł zrozumieć. Koniec końców stało się, że pojechali. Antoniemu Opatrzność oszczędziła jednej wielkiej przykrości. Uważał to jako pomyślny znak dla siebie, że zawady same usuwają mu się z drogi, by mógł swobodniej iść do celu, który go czekał, i z upragnieniem wyglądał chwili wyjazdu do seminarium, gdy naraz

ojciec jego jednego dnia odebrał jakiś pilny list z poczty i po przeczytaniu kazał Antoniemu zbierać się do drogi.

--- Pojadę i ja z tobą --- rzekł stary.

--- Kiedy?

--- Dziś na noc jeszcze.

--- Gdzież tak pilno mamy jechać?

--- Dowiesz się na czas, teraz nie potrzebujesz pytać się o to.

Stary nadrabiał miną i surowością, jednak widać było, że sam nie wiedział, a list, wskutek którego ten nagły wyjazd nastąpił, ciążył mu zagadkowością swoją na sercu i wikłał mu myśli.

Antoni chciał był przynajmniej dowiedzieć się, na jak długo jedzie, ale i tego mu ojciec nie powiedział. Nie miał nawet czasu opowiedzieć się księdzu proboszczowi, że wyjeżdża, pożegnać się z nim, bo zaledwie spakował w zawiniątko swoje rzeczy, fura, którą mieli jechać, stanęła już przed domem i ojciec ani chwilę zwlekać nie chciał wyjazdu. W liście, który odebrał, stało wyraźnie: "natychmiast", a Jakub przyzwyczajony był do ślepego posłuszeństwa.

--- Gdzież mam jechać? --- spytał furman.

Jakub powiedział mu nazwisko jednej ze stacji kolei żelaznej i pojechali.

IX

Świtać już zaczynało, kiedy Jakub z synem dowlekli się nędznymi szkapami chłopskimi do kolei. Pociąg nocny już dawno był przeszedł, trzeba więc było zatrzymać się na południowy; mieli zatem z górą siedem godzin czasu. Jakub był niekontent z tego. Nagadał, naklął chłopa za powolną jazdę, zapłacił mu i odprawił, potem wszedł z Antonim do restauracji. Szynkarka spała jeszcze; nie można się było doprosić ani o kieliszek wódki, co Jakuba do pasji doprowadziło. Klął, na czym świat stoi, ale widząc, że to nic nie pomaga, położył się na drewnianej kanapce i usnął. Toż samo zrobił Antoni. Niewygodna jazda nocna sprawiła, że twarde ławki wygodnym były dla nich posłaniem.

Antoni obudził się wcześniej i wyszedł przed dom. Poranek był prześliczny, pogodny, a nawet ciepły. Stacja kolei była nieco oddalona od wsi, którą widać było rozłożoną na stoku pagórka. Antoni, nie mając co z czasem zrobić, poszedł ku wsi na przechadzkę. Wszedłszy między chaty, pomyślał, że dobrze by było napić się gorącego mleka na śniadanie, i wstąpił w tym celu do pierwszej chałupy. Zastał w kuchni babę, warzącą właśnie mleko, ale na jego zapytanie, czyby mu nieco nie odstąpiła, baba smutnie potrząsnęła głową i odrzekła:

--- Dałabym wam, ale cóż, kiedy nam potrzeba.

--- Nie potrzebuję wiele.

--- Toteż my go tam nie mamy wiele, a i te trochę trzeba dla Pawła, bo on tylko mlekiem żyje. Chyba żeby dziś nie chciał pić, bo różnie bywa. Czekajcie, może już nie śpi, to go się spytam.

Poszła do izby na drugą stronę i za chwilę wróciła.

--- Odechciało mu się jakoś dzisiaj. Jak chcecie, to wam sprzedam tę kapkę.

I podała mu garnuszek z mlekiem.

--- A chleba nie macie?

--- Oj, chleba nie mawa; nie pieczewa często, bo i komu? Mój bez cały dzień w kopalni, ja się na robocie pożywię, a Paweł mało kiedy je.

--- Czy to wasz syn?

--- Ba, cóż by? Ale mu się tam już niewiele patrzy.

--- Czy chory?

--- Ano, nie słyszycie to, jak mu gra w piersiach, kieby organy; lada chwila zgaśnie. Wymęczyliśmy się do ostatniego na niego, żeby przecie szkoły skończył. Miał być księdzem, toby przecież i nam było na starość lepiej, a tu masz! Oj, dolaż moja, dola!

Mówiąc to, kobiecina zaniosła się od płaczu, któremu wtórzył z drugiej strony sieni suchotniczy kaszel.

Przykra to była muzyka dla uszu Antoniego, toteż chciał co prędzej uciec od niej i pił mleko spiesznie. Naraz coś go zastanowiło. Na skrzyni, przy której usiadł, leżał kajet zawalany, potłuszczony, a na nim napis: Paweł Szczerba, uczeń siódmej klasy. Miał kolegę tego nazwiska.

--- Jak się nazywa wasz syn? --- spytał.

--- Ano Paweł Szczerba.

--- I to on tutaj?

--- No.

--- Można go odwiedzić?

Nie czekając odpowiedzi, przeszedł przez sień i wszedł do izby naprzeciw.

Na łóżku, zarzuconym brudnymi pierzynami, leżał młody człowiek, a raczej cień człowieka, szkielet, obleczony bladożółtą skórą. Widząc wchodzącego, otworzył szeroko przygasłe oczy i zawołał:

--- Antoni!

--- Tak, to ja. Przejeżdżam tędy... dowiedziałem się przypadkiem, żeś chory, i przyszedłem cię odwiedzić.

--- Przypadkiem? --- mówił chory z trudnością --- w świecie nie ma przypadków. Jest dziwna, misterna tkanina najdrobniejszych zdarzeń, jedno łączy się z drugim, przyczyna ze skutkiem, nigdzie nie ma przerwy, przypadku. To tylko my tak nazywamy, bo nie znamy całej tkaniny.

Antoni brał słowa mówiącego za chorobliwe majaczenie i ażeby je przerwać, rzucił inne pytanie.

--- Ty dawno chory?

--- Od matury. Nie dospało się, nie dojadło, sił nie było i wyczerpałem się... Tyle pracy, mozołu... i wszystko na nic.

--- Może ci się polepszyć. Chory machnął rozpacznie ręką.

--- Nie wierzę już w to. Oswoiłem się z myślą, że trzeba umierać, to mnie już nie przeraża. Tylko mnie jedno boli. Moi rodzice biedni, bardzo biedni; wyniszczyli się, pomagając mi do ukończenia szkół, teraz znowu choroba moja ich kosztuje, a potem jeszcze o pogrzeb będą się musieli martwić. Gdybym mógł im kilkanaście złotych zostawić na mój pogrzeb, żeby nie potrzebowali się kłopotać, byłoby mi lżej umierać.

--- Ja ci mogę pożyczyć --- odezwał się nieśmiało Antoni, miał bowiem przy sobie kilkanaście złotych, uzbierane za różne roboty u pułkownika.

Chory uśmiechnął się gorzko.

--- Pożyczyć? Trudno by ci było odebrać od nieboszczyka.

--- Ależ...

Nie śmiał powiedzieć, że mu chce darować. Chory jednak domyślił się i rzekł żywo: --- Nie, nie chcę, i tak już dosyć ludziom winienem. Ale słuchaj: mam tu skrypta szkolne, różne tłumaczenia i notatki; będziesz mógł to sprzedać naszym młodszym kolegom. Zapłacą ci z pewnością, bo to dobre skrypta.

--- Dobrze, dobrze, masz więc za nie.

--- Nie, pierwej ci je dać muszę. Podaj mi tę paczkę papierów z okna, tę zawiązaną żółtym sznurkiem. Są tam moje świadectwa szkolne, metryka --- możesz to wszystko zabrać na pamiątkę --- dodał z przykrym uśmiechem --- co mnie już po tym?

Wtem od stacji dał się słyszeć dzwonek. Antoni się zerwał.

--- To pociąg idzie?

--- Tak. A ty na pociąg przyjechał?

--- Na pociąg.

--- To spiesz się.

Antoni rzucił mu pieniądze na kołdrę.

--- Masz papiery --- rzekł chory, wciskając mu gwałtem papiery w rękę.

Antoni wziął je.

--- Bądź zdrów.

--- A ty bądź szczęśliwy --- rzekł chory i posłał za nim kościstą, wychudłą ręką pozdrowienie.

Antoni popędził co tchu do stacji, bo już słychać było gwizd nadchodzącego pociągu. Było jednak tyle jeszcze czasu, że ojciec mógł wywrzeć na nim cały gniew swój za to spóźnienie się. Oczekiwanie i niecierpliwość przyprowadziły starego do takiej pasji, że nie zważając na obecnych, uderzył syna laską i obsypał przekleństwami. Już siedzieli w wagonie, a jeszcze nie mógł się uspokoić i wciąż łajał syna. Antoni jednak nie brał tego tak bardzo do serca, mało nawet słyszał z tego, bo myśl jego zajęta była umierającym Szczerbą. Rozmyślał nad dziwnym zbiegiem okoliczności, który ich w tej chwili złączył, a słowa Szczerby: "to nie przypadek", uporczywie trzymały się jego pamięci.

--- Jeżeli to nie jest przypadek --- myślał sobie --- Więc cóż to jest? Przeznaczenie? Zrządzenie? Opatrzność? Ale jakiż cel miała Opatrzność, łącząc nasze drogi teraz, gdy jeden żyć przestaje?

Te rozmyślania męczyły go czas długi. Wtem konduktor zawołał:

--- Częstochowa... osiem minut przystanku! Wtedy Jakub zwrócił się do syna i rzekł ostro:

--- Zabieraj twoje manatki, wysiadamy.

Wysiadłszy, zdziwił się Antoni, że znalazł tu kamerdynera pułkownika, który widocznie był o ich przybyciu uwiadomiony, bo zaraz zbliżył się do nich i przywitawszy się z Jakubem, rzekł:

--- Chodźcie, naprzód zaprowadzę was na waszą kwaterę.

--- Ależ ja mam się zaraz widzieć z panem, tak mi pisał w liście.

--- Pan teraz ma gościa i kazał mi przyprowadzić was dopiero po piątej. Mamy więc blisko dwie godziny czasu.

--- Czy nie wiecie, co to za interes pan nasz ma do nas?

--- Nie wiem --- odrzekł kamerdyner krótko i, aby uniknąć podobnych pytań, rzekł, wskazując na hotel, koło którego przechodzili:

--- O, tutaj mieszkamy, hotel Karego.

--- A my gdzie staniemy?

--- Na Jasnej Górze, macie tam już najętą kwaterę.

I poprowadził ich aleją ku klasztorowi, a potem skręcił z nimi z drogi do jednego hotelu, a raczej oberży, jakich rząd cały tam stoi.

--- Tu się rozgośćcie --- rzekł --- posilcie, boście pewnie głodni z drogi. Pan za wszystko zapłaci. Potem pójdziemy do naszego mieszkania.

--- Trzeba by nam się ogarnąć. Słyszysz Antek, oczyść mię i siebie, bo pójdziemy do jasnego pana.

--- Pan kazał tylko was przyprowadzić.

--- Tylko mię? --- spytał Jakub.

--- Tak.

Posiedzieli czas jakiś, zjedli obiad, wypili po szklance piwa, a potem kamerdyner wraz z Jakubem wyszli. Antoni został sam.

Z pokoju był widok na klasztor. Antoni zbliżył się do okna i patrzył na obronne mury i wieże klasztoru, na lud, co jak ruchliwe mrowisko wchodził i wychodził, a widok ten i myśl, że się znajduje tak blisko miejsca tyloma cudami wsławionego, dziwnie nabożnie nastroiły jego duszę. Nie mógł powstrzymać się, by nie pójść do kościoła, nie pomodlić się w tej kaplicy, gdzie tyle milionów ludzi, od królów do prostaczków, klękało z prośbami przed Matką Boską Częstochowską. Wprawdzie przyszło mu na myśl, co mu ksiądz nieraz mówił, że takie klasyfikowanie Matek Boskich na Częstochowskie, Leżajskie, Ostrobramskie jest bałwochwalstwem, że to nie zgadza się z pojęciem Boga i religii, by na pewnych miejscach był łaskawszy dla ludzi: a jednak wszedłszy do kaplicy, zapomniał o tym i uległ, jak tylu innych, pobożnemu złudzeniu.

Zdawało mu się, że tu, gdzie każda piędź ziemi wydeptana jest kolanami milionów ludzi, gdzie nie zrachowana liczba łez padała, że tu Pan Bóg skorszym być musi do wysłuchania próśb ludzkich, i modlił się rzewnie, gorąco, ze łzami w oczach, o chęć do pracy i szczęście Jadwigi, która prawdopodobnie przed kilkoma dniami przed tym ołtarzem przysięgała miłość i wiarę małżeńską Zygmuntowi. Modlił się za nią jak za umarłą,

bez silnego wzruszenia, spokojnie a szczerze.

Kiedy wrócił do domu, nie zastał jeszcze ojca, a było już po siódmej. Dopiero w godzinę potem przyszedł stary Jakub. Był mocno zamyślony i ponury; chodził po izbie i coś układał w głowie, rozważał. Czasami zatrzymywał się przed synem i otwierał usta, jakby chciał coś mówić, i nie szło mu jakoś, i odchodził znowu. Wreszcie odezwał się, chodząc po pokoju i nie patrząc na Antoniego.

--- Czy wiesz? Naszego pana spotkało straszne nieszczęście.

--- Naszego pana?

--- Więcej może jeszcze panienkę. Antoniemu zrobiło się, jakby kto rozpalony drut przeciągnął mu przez serce, i spuścił oczy, by ojciec nie przeczytał w nich gwałtownego wzruszenia. Ale stary nie uważał na to i mówił dalej:

--- Narzeczony panny Jadwigi nie żyje.

--- Pan Zygmunt?

--- Tak.

--- Cóż mu się stało?

--- Nie wiem; jakiś pojedynek czy coś podobnego, dość, że nie żyje. Wiadomość ta przyszła właśnie w wigilię ślubu.

--- Więc jeszcze nie po ślubie?

--- Nie, i to właśnie największe nieszczęście, bo... --- Tu stary obejrzał się wokoło, jakby się bał, by ktoś nie podsłuchał, i przysunąwszy się do syna, dodał ciszej: --- Ślub jest konieczny, rozumiesz?

Antoni potaknął ojcu głową, ale zrobił to tylko dlatego, że nie zwykł był przeczyć ojcu, lecz nic nie rozumiał.

--- Rzeczy tak daleko zaszły, że pan pułkownik powiedział, iż dla honoru domu ślub koniecznie odbyć się musi.

--- Z nieboszczykiem? --- spytał naiwnie Antoni.

--- Głupiś. Tu nie idzie o osobę, tu idzie głównie o nazwisko. Śmierć pana młodego jest jeszcze tajemnicą. Nie rozgłaszają jej, żeby nie przerażać rodziców. Chcą ich do tego powoli przygotować, bo nagła wiadomość o tym mogłaby zabić staruszków. Zanim więc świat dowie się o tym, trzeba koniecznie, ażeby panna Jadwiga poszła za mąż, i to koniecznie za Sikorskiego. Potem wyjedzie do obcych krajów na czas jakiś, cała sprawa się zatrze i wstydu nie będzie. No i cóż ty na to?

--- Ja? A cóż ja mam do tego? Ja byłbym rad, iżby się to wszystko jak najlepiej skończyło.

--- Więc zrobisz to dla pułkownika?

--- Co takiego?

--- No, zastąpisz nieboszczyka --- dodał opryskliwie Jakub, bo go zniecierpliwiła niedomyślność syna.

--- Jak to? Ja mam ożenić się z panną Jadwigą? --- spytał Antoni przestraszony, a raczej olśniony tą nowiną. Słuchając bowiem ojca, ani przypuszczał, że o niego chodzi.

--- Ożenić, ożenić, no, rozumie się, że to będzie niby ożenienie, ale to tylko dla nazwiska, żyć z nią nie będziesz. To jednak nie powinno cię nic obchodzić, wszak i tak miałeś być księdzem.

--- Więc nim już nie będę? --- spytał Antoni, zasmucony, że wszystkie marzenia jego, wszystkie plany, które układał razem z księdzem proboszczem, mają przepaść teraz.

--- To się rozumie. Przecież jako mąż kobiety, która żyje, księdzem być nie możesz. Obierzesz sobie inny jaki zawód, jaki ci się podoba. Zostawię ci zupełną wolność. Utrzymanie mieć będziesz, bo pułkownik zapłaci sowicie za tę przysługę. Dostaniesz zaraz dwa tysiące guldenów, rozumiesz? No i cóż? --- spytał niecierpliwie, widząc, że syn stał niezdecydowany, zakłopotany, i nie wiedział, co powiedzieć.

--- Tylko czy panna Jadwiga zechce?

--- Głupcze! Ta to właśnie o nią tylko idzie i ojciec, jeżeli to robi, to głównie dla niej. No i cóż?

Antoni jeszcze nie wiedział, co powiedzieć, tak mu się to wszystko nieprawdopodobnym wydawało.

--- No, mówże bałwanie! --- zawołał Jakub niecierpliwie i tupnął nogą o ziemię, że Antoni wstrząsnął się cały z przestrachu --- z czymże się ty drożysz durniu i namyślasz? Czy pan pułkownik nie zasłużył sobie, żebyś to dla niego zrobił, he? Czyż nie jemu wszystko winien jesteś? Czymże byłbyś, gdyby nie on?

--- Ja nie tego... nie namyślam się, tylko chciałem wiedzieć...

--- Co takiego?

--- Czy ojciec uważa, że to można zrobić?

Stary zawahał się. Takie oddanie się syna na jego sąd i wolę zakłopotało go; brał przez to odpowiedzialność za czyn, do którego nakłaniał syna. Po chwili dopiero wyrzekł z ciężkością:

--- Dla pułkownika wszystko zrobić powinniśmy, bo mu wszystko winni jesteśmy.

--- Więc ja gotów to zrobić.

--- To dobrze, to bardzo dobrze; spodziewałem się tego po tobie.

I pogłaskał go po głowie. Był to dowód wielkiej czułości ze strony jego. Niedługo trwała jednak ta czułość. Wnet wrócił do szorstkiego tonu i rzekł:

--- Teraz idź spać. Jutro wcześnie wstaniemy, bo ślub ma się odbyć rano.

Udali się na spoczynek, ale ani ojciec, ani syn usnąć nie mogli. Jakub był czegoś niekontent z siebie, doświadczał jakiegoś niepokoju w sumieniu, zapytanie syna ciążyło mu na sercu i jakkolwiek był przyzwyczajony do tego, że Antoni ulegał zawsze jego woli, to jednak tym razem byłby wolał, żeby się był własną wolą kierował. W głębi sumienia czuł jakiś niepokój, budziły się w nim skrupuły, czy nie za wiele

wymaga od syna, czy wreszcie takie udane małżeństwo nie jest rodzajem krzywoprzysięstwa wobec Boga. Czuł, że gdyby tu nie szło o pułkownika, nigdy by na coś podobnego się nie zgodził. Ale pułkownikowi odmówić nie mógł, nie śmiałby, chociażby to, co robił, było grzechem.

--- Jeżeli to grzech, to nie na moją duszę on spadnie --- mówił sobie dla uspokojenia. --- Ja robię, com powinien, do czego mię posłuszeństwo i wdzięczność skłania.

Tak rozmyślał Jakub.

Wcale inne były myśli Antoniego, które go snu pozbawiły. Leżał on w stanie jakiegoś rozkosznego zachwytu, upojenia i zarazem odurzenia. To, co się stać miało jutro, było tak niespodziewanym, tak czymś nadzwyczajnym, że nie mógł uwierzyć, aby się to stać mogło. Miał zostać mężem kobiety, o której marzenie samo uważał za zuchwalstwo; jutro miał dotknąć się jej dłoni i przysięgnąć jej miłość. Czy mógł kiedy marzyć o takim szczęściu? Nie myślał wcale o tym, że tym aktem wiąże się na całe życie. W tej chwili nie przypuszczał, że sercu jego nie wystarczy na całe życie samo tylko złudzenie, że ono może kiedyś zapragnąć rzeczywistej miłości; nawet najodleglejsze przeczucia takiej możebności nie zachmurzały rozkosznych marzeń jego. To go tylko niepokoiło, że księdzem być nie może. Tak był oswoił się już z tą myślą i przywykł do niej, tylu projektami zapełnił sobie już drogę, którą miał iść, że przyszłość wydawała mu się jak jakieś miasto lub okolica, którą w najdrobniejszych już znamy szczegółach z rycin, stereoskopów, opowiadań; szedł do niej, jak do stron znajomych. Naraz odwrócono go od tej drogi, popchnięto w stronę, gdzie nie miał jeszcze wytkniętego kierunku, a przyszłość stanęła przed nim jak noc na stepie. Od niego zależało wybrać, gdzie i którędy iść zechce. Dla natur biernych, przyzwyczajonych słuchać innych, taka wolność ma w sobie coś niepokojącego i przerażającego nawet. Z przestrachem myślał o tym, co dalej robić będzie, wątpił, czy w innym zawodzie będzie mógł zrobić tyle dobrego; przypominał sobie rozmowy księdza proboszcza i żal mu było, że nie będzie mógł być tym, do czego on go zachęcał. Ale ta myśl, że będzie mężem Jadwigi, wracała znowu i olśniewała go tak, że wszystko bladło przy tym. Wiedział wprawdzie, że z nią żyć nie będzie, że jej może więcej nie zobaczy; ale to, że ona wobec Boga do niego należeć będzie, że nikt inny nie będzie mógł mieć tego prawa, że ona nie będzie teraz mogła nie myśleć czasem o nim, a myśląc o nim, będzie musiała być mu wdzięczna za to, co zrobił dla niej, --- to mu zupełnie wystarczało do szczęścia, przechodziło nawet jego najbujniejsze wyobrażenia o szczęściu. Rozmyślał, jak on tę miłość dla Jadwigi (bo miłość ta teraz z całą potęgą ożyła w jego sercu), jak on tę miłość zamknie w sobie, taić się z nią będzie przed ludźmi jak skąpiec ze skarbami swymi, a skarb ten ukryty dodawać mu będzie ochoty i energii do życia. Nie układał sobie jeszcze, czym będzie, ale to wiedział, że będzie tak robił, aby był godnym nazywać się mężem Jadwigi.

Wśród tych marzeń, jedno tylko zapytanie stawało mu, jak cień jakiś od przedmiotu, którego nie widzimy, i niepokoiło go. Dlaczego Jadwiga potrzebuje koniecznie iść za mąż? Dlaczego ojciec jego mówił, że honor domu tego wymaga? Pytanie to kilka razy uparcie wracało i stawało mu na myśli. Odpowiadał sobie na nie po swojemu, że może u wielkich państwa jest również niehonorowym, jeżeli małżeństwo nie przyjdzie do skutku, jak i między ludem wiejskim. Ale to dzieje się wtedy tylko, gdy pan młody się cofnie, a nie gdy umrze. Tu nie widział honoru na szwank wystawionego, owszem, dziwiło go, że zamiast rozpaczać, żałować go, Jadwiga chce iść z innym do ołtarza. To wydawało mu się nienaturalnym. Chyba, że go nie kochała. Ta refleksja uspokoiła go, zwłaszcza, gdy sobie dalej jeszcze wyrozumował, że Jadwiga zapewne robi to wszystko dla babki, że tym pozornym małżeństwem chce oszczędzić staruszce zmartwienia, którego by może nie przeżyła.

Noc całą w takich myślach przebyli syn i ojciec, jeden jednak o drugim nie wiedział, że nie śpi, każdy bowiem zachowywał się cicho i, nie śpiąc, udawał sen. Dopiero nad ranem Antoni zasnął, i to tak mocno, że ojciec dobudzić go się nie mógł.

--- Wstawaj! --- wołał, trzęsąc nim --- już dzień. Tomasz lada chwila nadejdzie po nas. Trzeba ci się jako tako ogarnąć; nie możesz przecie iść do ślubu w tych zawalanych butach.

Antoni zerwał się i prędko ubierać począł. Przy blasku poczynającego się dnia, rzecz ta, która się stać miała, wydawała mu się niepodobną, a przekonanie to tym więcej nabierało pewności, że Tomasz nie pojawił się, jak to mu ojciec zapowiedział.

Minęło kilka godzin na oczekiwaniu. Stary Jakub przypuszczał, że coś zajść musiało w domu pułkownika, co może wpłynie na zmianę planu, ułożonego wczoraj. Przypuszczenie to nie martwiło go wcale. W duszy kontent by był bardzo, żeby się tak stało; ale wbrew jego nadziejom, koło jedenastej pojawił się Tomasz i wytłumaczył spóźnienie swoje tym, że panna Jadwiga była w nocy mocno cierpiąca.

--- Więc ślub odwleczony? --- spytał żywo Jakub, a w zapytaniu jego przebijała się radość pewna.

--- Owszem, odbędzie się dziś. Panna Jadwiga już wstała i za dwie godziny przyjedzie tutaj. Pan pułkownik chce się jednak pierwej z wami widzieć. Czy już wie? --- spytał, pokazując na Antoniego, stojącego przy oknie i patrzącego w zamyśleniu na mury klasztorne.

--- Wie --- odrzekł Jakub.

--- No, to chodźmy. Po drodze wstąpimy do krawca. Pan pułkownik kazał go przyzwoicie ubrać.

Przebieranie Antoniego zabawiło ich z pół godziny. Ustrojono go czarno we frak i kapelusz. Ubranie to niekoniecznie dobrze dobrane, wyglądało trochę kuso i niezgrabnie; nie oswojony z nim Antoni wyglądał dość głupio i pociesznie. Przypominał po trosze owych lokajów, najmujących się do odpustowych obiadów i do pogrzebów. Sam kamerdyner nie mógł ukryć złośliwego uśmiechu na ten widok. Na Jakubie zrobiło to przebranie syna przykre wrażenie, bo przypomniało mu jego lokajskie czasy; zdawało mu się, że syna oddaje do służby. Myśli te zasępiły twarz jego i w tym usposobieniu wszedł do pułkownika.

W pierwszym pokoju nie zastał nikogo. Przez uchylone drzwi z drugiego pokoju dochodziło łkanie kobiece.

Antoni zadrżał ze wzruszenia. Poznał głos Jadwigi. Po chwili pułkownik wyszedł z tamtego pokoju; był poważny i smutny. Kamerdynerowi kazał oddalić się i został sam na sam z Jakubem i Antonim, którzy stojąc przy drzwiach, oczekiwali jego słowa. Pułkownik dał ręką znak Antoniemu, aby się zbliżył do niego, i przemówił doń głosem miękkim, złamanym:

--- Ojciec ci zapewne powiedział już, dlaczego was tutaj zawezwałem?

--- Mówił --- odrzekł Antoni.

--- I zgadzasz się na to?

--- Zgadzam.

--- Wyświadczysz mi... nam... wielką przysługę i będę chciał stosownie cię za to wynagrodzić. Ale przede wszystkim muszę cię uprzedzić, że trzeba umieć milczeć, bo ta rzecz powinna zostać w wielkiej tajemnicy. Nikt prócz nas nie powinien o tym wiedzieć, nikt, rozumiesz?

--- Rozumiem.

--- Musisz mi przysięgnąć na to, że nigdy, w żadnej okoliczności, przed nikim nie przyznasz się do tego małżeństwa, że nie będziesz się nigdy starał zbliżać do mojej córki ani dasz poznać po sobie, że cię z nią jakiekolwiek łączą stosunki. Czy możesz mi przysięgnąć na to?

Jakub zbladł jak ściana i spojrzał na syna wzrokiem pełnym obawy i oczekiwania. Antoni bez namysłu i wahania podniósł palce do góry i głosem pewnym, spokojnym, powiedział:

--- Przysięgam.

--- Amen --- rzekł pułkownik, ściskając jego rękę, jakby chciał zebrać z niej przysięgę. --- A teraz idźcie do kościoła, za chwilę i my tam będziemy. Ślub odbędzie się w kaplicy.

Skinął im głową na pożegnanie i wrócił znowu do drugiego pokoju, Jakub z synem odeszli i poszli ku Jasnej Górze. Antoni był rozpromieniony, pełen podniosłego zapału i spokoju, jak człowiek, który jest przeświadczony, że spełnia dobrodziejstwo. Poświęcenie się, i to poświęcenie się dla Jadwigi, napawało go nieopisaną rozkoszą i szczęściem.

Inaczej ojciec jego. Ten szedł powoli z pochyloną głową, jakby mu ją ciężkie myśli przygniatały, i był w niezgodzie ze swoim sumieniem, bo zaczął wątpić teraz, czy jemu wolno było aż do tego stopnia rozporządzać synem?

Właśnie dochodzili do bramy klasztornej, gdy powóz zamknięty minął ich. Pułkownik wychylił się i dał im znak, żeby się pośpieszyli. Zdwoili więc kroku i zdążyli do drzwi kościoła właśnie w chwili, gdy pułkownik wysadzał córkę z powozu.

Jadwiga była ubrana czarno, całkiem czarno, a na tle tej żałoby jeszcze silniej odbijała przerażająca bladość jej twarzy, na której widać było bolesny przymus, połączony ze wstrętem, jakby przed wypiciem wstrętnego lekarstwa. Duma jej cierpiała widocznie. Zaczerwienione oczy zdradzały, że płakała nawet niedawno.

Antoniemu serce ścisnęło się z żalu, gdy ją zobaczył w takim stanie. Rad by ją był pocieszyć, rzucić się do nóg jej, ale nie śmiał. Drżał cały ze wzruszenia i łzy cisnęły mu się do oczu.

Jadwiga, wyszedłszy z powozu, weszła do przedsionka kościoła, nie spojrzawszy nawet na Antoniego.

Pułkownik nachylił się ku niej i rzekł zniżonym głosem:

--- Potrzeba, żebyście szli razem do ołtarza.

--- Koniecznie? --- spytała ze wstrętem. .

--- Inaczej zwróciłoby to uwagę.

--- Takie poniżenie! --- wyszeptała z udręczeniem.

--- Jadwiniu, odwagi! --- upomniał ojciec, a skinąwszy na Antoniego rzekł:

--- Podaj rękę narzeczonej.

Antoni nieśmiało, a nawet bardzo niezgrabnie przysunął się do Jadwigi i podał jej ramię. Zaledwie raczyła dotknąć jego ręki, nie patrząc na niego, a obracając się do ojca, rzekła:

--- Chodźmy, niech się to już raz skończy. Postąpili ku ołtarzowi, gdzie na nich czekał już

ksiądz przy zapalonych świecach. Jakub i kamerdyner Tomasz stanęli jako świadkowie ślubni. Pułkownik pozostał przy drzwiczkach ołtarza i przypatrywał się ponuro ślubowi. Nie taki ślub on sobie układał w ambitnej głowie. Plany jego strasznie los pokrzyżował i upokorzył jego dumę. Toteż cierpiał okropnie w tej chwili.

Oprócz tych osób było jeszcze w kaplicy kilka innych, które ciekawość lub nabożeństwo sprowadziły.

Panna młoda wyszeptała słowa przysięgi tak cicho, że chyba Bóg jeden je słyszał, bo ani ksiądz, ani narzeczony dosłyszeć nie mogli. Za to Antoni powtarzał za księdzem przysięgę głosem dźwięcznym, pewnym i uroczystym.

Po ślubie pułkownik odprowadził córkę do powozu, a że kilku ciekawych wyszło z kościoła za nimi aż na podwórzec, więc uważał za konieczne zabrać ze sobą i pana młodego do powozu. Ale zaledwie ujechali kawałek drogi od kościoła, Jadwiga kazała

woźnicy stanąć. Pułkownik spojrzał na nią pytającym wzrokiem, co zamyśla zrobić.

--- Niech wysiądzie --- rzekła do ojca, wskazując pogardliwym ruchem głowy na siedzącego przed nimi Antoniego.

--- Ależ Jadwiniu! --- reflektował ją ojciec.

--- Niech go nie widzę więcej! Każ mu wysiąść. Antoni spojrzał z przestrachem i zdziwieniem na mówiącą,

jak na obłąkaną; nie mógł zrozumieć jej oburzenia. Ten wzrok jeszcze bardziej ją rozdrażnił.

--- Ojcze, nie męcz mnie dłużej, to nad moje siły --- wyrzekła z uniesieniem. --- Zapłać mu i niech sobie idzie precz.

Pułkownik ulec musiał natarczywemu, żądaniu córki i rzekł, zwracając się do Antoniego:

--- Wysiądź i wróć do ojca. Wieczorem --- dodał po cichu --- przyślę ci pieniądze.

Antoni posłuszny wysiadł --- powóz odjechał; dumna Jadwiga nie raczyła nawet spojrzeć na swego męża. Powóz z szybkością coraz więcej się oddalał, wreszcie zniknął za drzewami, tylko turkot jego słychać było, gdy przejeżdżał przez most kolejowy, a Antoni stał jeszcze na tym miejscu, na którym wysiadł; stał nieruchomy jak manekin postawiony. Straszna katastrofa odbywała się w tej chwili w jego duszy. Ból i upokorzenie, jakiego doznał, zraniły go jak uderzenie ostrogi leniwego konia, i bierny, uległy umysł zbuntował się i oburzył na to, co mu zrobiono, i przeraził się tym, co sam zrobił. Rumieńce wstydu, jak fale, napływały jedne po drugich i oblewały mu twarz na wspomnienie tego, że go jak psa wyrzucono z powozu.

--- I za co? Za co? --- pytał wzburzony --- czy za to, żem im pozwolił zabrać moje nazwisko, moją przyszłość? To takie niegodziwe z jej strony.

Postępek Jadwigi wydawał mu się potwornym, bez serca, i uczuł ku niej żal, zmącony oburzeniem. Pełen goryczy i smutku wracał powoli do domu. W tej krótkiej chwili życia dojrzał nagle, jak owoc zakłuty przez robaka. Boleść była tym robakiem, co gryzł jego wnętrze i przyśpieszał dojrzałość.

Wszedłszy do swego mieszkania w gospodzie, zastał ojca siedzącego na łóżku w zamyśleniu, z rękami założonymi na kolanach, ponurego. Gdy stary ujrzał wchodzącego syna, ruszył się na łóżku i spytał:

--- Już?

--- A już --- odrzekł Antoni sucho.

--- Dał ci pieniądze?

Pytanie to postawił dla własnego usprawiedliwienia się. Zdawało mu się, że pieniądze wynagrodzą synowi dostatecznie to, do czego go namówił.

--- Jakie pieniądze? --- spytał Antoni bezmyślnie.

--- No, te dwa tysiące, coś miał dostać. Antoni teraz dopiero przypomniał sobie, że gdy wysiadał z powozu, pułkownik mówił mu o jakichś pieniądzach, ale nie pamiętał już co, bo myśl jego była wtedy czym innym zajęta. On by chętnie oddał był te wszystkie pieniądze za jedno dobre słowo z ust Jadwigi, tak wysoko cenił jej słowa.

--- No, dał ci? --- spytał ojciec niecierpliwie.

--- Nie.

--- Ale powiedział, że przyśle?

--- Może powiedział, nie pamiętam.

--- Pewnie wieczorem Tomasz je przyniesie.

I niecierpliwie wyczekiwał stary wieczora, licząc godziny, które zegar ratuszowy powoli wydzwaniał. I Antoni czekał także, tylko nie na to, co ojciec. Miał jeszcze nadzieję, że Jadwiga przyśle po niego. Nie chciał przypuścić, żeby mogła w ten sposób z nim się rozstawać, bo jakkolwiek bądź, był jednak jej mężem w obliczu Boga. Był pewnym, że skoro się uspokoi trochę, będzie żałować tego, co zrobiła, i zechce się z nim widzieć, aby go przeprosić. Toteż gdy wieczorem kamerdyner pułkownika wszedł do ich mieszkania, zadrżał z radości i pełen dobrej nadziei patrzał na ojca czytającego list, który mu Tomasz wręczył. Czekał i spodziewał się, że ojciec powie mu: pułkownik kazał ci przyjść do siebie. Ale omylił się. Ojciec po przeczytaniu listu podał mu kilka banknotów, które były w środku, i rzekł mu:

--- Masz, to dla ciebie; to wszystko twoje. Możesz z tym zrobić, co ci się podoba. Mając tyle pieniędzy można los zrobić nie lada.

To mówiąc, wtykał synowi pieniądze w rękę. Robił to z gorączką, bo potrzebował przezwyciężyć w sobie wrodzoną chciwość, jaka go na widok tylu pieniędzy opanowała. Miałby był ochotę zatrzymać je, ale nie chciał, bo zdawało mu się, że pieniędzmi tymi okupuje winę, do jakiej poczuwał się wobec syna.

--- A cóż jest w liście? --- spytał Antoni, nie tracąc jeszcze nadziei.

--- Pułkownik pisze, żebyś mógł wyjechać za granicę i nie pokazywał się całkiem w naszych stronach. Tylko żebyś mu niedługo nadesłał wiadomość, gdzie będziesz, bo mu to potrzebne.

--- I nic więcej? --- dopytywał się natarczywie Antoni.

--- Nic.

To jedno słowo ojca wionęło cmentarnym chłodem na rozpalone serce Antoniego i pogrążyło go w ponurą zadumę. Nie słyszał, jak Tomasz zabrawszy pokwitowanie za odebrane pieniądze wyszedł, nie widział, jak ojciec jego niedługo potem położył się na spoczynek; nic nie widział, nie słyszał, bo myśli jego krążyły jeszcze ciągle koło tego jednego słowa "nic", jak krążą ptaki koło zburzonego gniazda, z którego im zabrano pisklęta. Cierpiał bardzo.

Tego samego wieczora pułkownik wysłał do babki Jadwini telegram tej treści:

Ślub odbył się przed godziną. Państwo młodzi wyjeżdżają jutro za granicę. Jadę z nimi do Drezna. Będę z powrotem za parę tygodni.

Rzeczywiście nazajutrz pułkownik z córką wyjechali do Drezna --- tylko bez pana młodego.

X

Po powrocie do Zarzecza, Jakub stał się jeszcze więcej milczący i ponury, niż był przedtem. Nikogo to nie uderzyło bardzo; wszyscy byli przyzwyczajeni do dziwactw i szorstkiego postępowania starego mruka i nie pytano go nawet o przyczynę.

Nie próbowano nawet dowiedzieć się, gdzie był przez tydzień, bo wiedziano, że Jakub nie rad spowiadał się z czynności swoich i nie lubił odpowiadać, dla zaspokojenia ciekawości ludzkiej. Ale Jakub, wbrew zwyczajowi, sam się wygadał w gospodzie przy kartach, że odwoził syna do seminarium. Objaśnienie takie wystarczyło aż nadto, było ono zresztą tak naturalne, że nikt nie mógł podejrzewać go o nieprawdę. Zresztą Antoni nikogo nie obchodził wiele i odjazd jego wcale odczuć się nie dawał.

Jednego tylko proboszcza nie zadowolniło to objaśnienie i nagły wyjazd Antoniego wydawał mu się bardzo dziwnym, tym więcej, że nawet z nim się nie pożegnał. Kilka razy chciał zapytać się o to Jakuba, ale ten starannie unikał tego spotkania dłuższego, a gdy ksiądz parę razy umyślnie zaszedł do jego domku, to albo chyłkiem wymykał się przed nim, albo wynajdywał jakie ważne zajęcie, które mu nie pozwalało na dłuższą pogawędkę. To księdza jeszcze więcej zastanowić musiało i dlatego postanowił koniecznie coś pewnego dowiedzieć się o Antonim, gdyż los tego chłopca mocno go interesował.

Jednego więc dnia, spotkawszy Jakuba wychodzącego z kościoła, wyszedł umyślnie ku niemu i zaprosił do siebie na lampeczkę miodu. Stary wymawiał się brakiem czasu, ale ksiądz tak nalegał, że odmówić zakrawałoby na niegrzeczność. Rad nie rad więc poszedł, tylko zastrzegł się, że na bardzo krótko.

--- Nie będę was zatrzymywał długo --- rzekł ksiądz, wprowadzając go do siebie --- chciałem tylko zapytać się was o syna. Co się z nim stało?

--- A cóż by się stać miało? --- odrzekł Jakub, starając się szorstkością zakryć pomieszanie. --- Poszedł na księdza i kwita.

--- A dlaczegoż wyjechał tak nagle? Nie pożegnał się nawet ze mną; spodziewałem się przecież tego.

--- Więc nie był u księdza dobrodzieja? --- spytał chytrze stary.

--- Nie, i to mnie dziwi mocno.

--- A to nie wiem, czemu. Może nie miał czasu, bo mu się trafiła nagle okazja.

--- I wyście z nim jeździli?

--- Tak, zabrałem się z nim, bo miałem interesa w powiecie, w kasie --- odpowiedział Jakub, nie patrząc księdzu w oczy, bo spokojne a badawcze spojrzenie tegoż mieszało go.

--- I gdzież syn wasz pojechał?

--- Nie wiem.

--- Jak to? Nie wiecie, do którego seminarium wstąpił?

--- Miał się ułożyć względem tego z którymś ze swoich kolegów, z którym razem wstąpić mieli --- mówił Jakub, brnąc dalej w kłamstwie.

--- I nie pisał jeszcze do was?

--- Nie.

--- A to już ze trzy tygodnie, jak pojechał?

--- A tak coś pono.

--- To pewnie napisze niezadługo; dajcie mi wtedy znać; może i do mnie będzie jakie słóweczko, bo to my przecież dobrzy znajomi. Przez tych kilka miesięcy zbliżyliśmy się i zdaje mi się, żeśmy wzajem trochę przylgnęli do siebie; przynajmniej ja go bardzo polubiłem. Może dlatego, że widziałem w nim kolegę i współpracownika w winnicy pańskiej. Nieraz rozmawialiśmy o tym i miałem sposobność przekonać się, że wasz syn, mój Jakubie, ma istotne powołanie do stanu kapłańskiego. To wasze szczęście.

--- Jak to? --- spytał Jakub, nie mogąc zrozumieć, do czego ksiądz zmierza.

--- A tak, bo podobno nie on sam obrał sobie ten stan, tylko wyście go skłonili do tego.

--- Tak dziedzic poradził.

--- Czy wy, czy dziedzic, wszystko jedno, zawsze był to przymus. Gdyby więc to powołanie nie było odpowiadało jego usposobieniu, mielibyście sobie wiele do wyrzucenia.

--- I cóż w tym złego, że syn jest posłuszny ojcu?

--- W każdym innym razie jest to dobre, tylko nie tam, gdzie o całe życie idzie. Tu już człowiek sam obierać powinien, zwłaszcza, jeżeli jest już w tych latach, w jakich jest wasz syn. Rozumna wolność to największy skarb człowieka; kto tego pozbawia, popełnia zbrodnię.

--- Dawniej przecież tak było --- bronił się stary.

--- Dawniej była także niewola, poddaństwo, a dziś dzięki Bogu nie ma już tego. Prawodawcy usamowolnili ludzkość --- czyż więc godzi się, aby tyrania przechowywała się w stosunkach rodzinnych jeszcze?

--- To co innego, a to co innego.

--- Nie, mój Jakubie, to wszystko jedno. Ojciec, który syna pozbawia wolności obrania sobie stanu, robi go na całe życie niewolnikiem. Jest to tak samo, jakby go sprzedał.

Jakub spojrzał tak przerażająco i trwożliwie na księdza, że ten uważał za stosowne złagodzić swój sąd i, chcąc go uspokoić, mówił dalej:

--- Tutaj nie ma tego przypadku. Na szczęście syn wasz w upodobaniu swoim zszedł się z waszą wolą. Z radością i zamiłowaniem mówił mi nieraz o tym, jak chętnie zostanie księdzem.

--- Mówił to? --- spytał Jakub gwałtownie.

--- Nieraz to mówił i dlatego możecie być spokojni w sumieniu swoim. Ale pomyślcie, gdybyście tak byli go skłonili do obrania sobie stanu, do którego by nie czuł powołania, gdyby obowiązki, do których przyjęcia zmusilibyście go, były mu wstrętne --- jakież by to życie jego było? Życie człowieka w niewoli, i może nieraz gorzko zapłakałby na was. Są nawet dzieci, które mając w ten sposób skrzywione życie przez rodziców, przeklinają ich pamięć...

--- Przeklinają! --- powtórzył Jakub ponuro, jak echo wśród ruin.

--- Toteż powinniście dziękować Bogu, że się tu inaczej stało. Syn wasz będzie dobrym księdzem, i wy będziecie mieli z niego pociechę, i ludzie. No, na pomyślność jego!

To mówiąc, wziął lampeczkę ze stołu i trącił się z Jakubem. Ten podniósł także lampkę do ust, ale ręka mu drżała, a spojrzenie miał błędne, niespokojne.

Słowa księdza zburzyły do reszty spokój Jakuba, skłóciły go z sumieniem jego, bo przedstawiały mu czyn jego w ohydnej postaci; czuł się zbrodniarzem, bo nie mógł zaprzeć tego przed sobą, że syna swego zaprzedał w niewolę, w niewolę straszną, z której nie będzie mógł wydobyć się przez całe życie. Te myśli prześladowały go wciąż, szły za nim wszędzie, a szczególniej opadały go jak szarańcza w chwilach samotności. Toteż bał się zostać sam na sam z myślami, szukał towarzystwa, chciał się ogłuszyć, oszołomić, próbował nie myśleć.

Odtąd coraz częściej widywano go w gospodzie, grywał zapamiętale w karty, a że nie zawsze miał towarzystwo do mariasza, bo służba z pałacu tylko wieczorami mogła mu dotrzymywać placu, więc starał się czas zabijać gawędką z tymi, co nawiedzali gospodę; traktował ich, a gdy nie było nieraz z kim pić, to sam pił na fantazję, dla zakropienia robaka, co go gryzł w głębi:

Czasem przebrał miarkę, a wtedy wygadywał dziwne rzeczy, to klął kogoś i odgrażał się, to płakał i narzekał.

Nagła ta zmiana w życiu jego dziwiła jego znajomych; przypisywano ją samotnemu życiu.

--- Nie ma żony, nie ma rodziny, to i rozwlókł się, rozbisurmanił i stał się nałogowym. U starych wojskowych to się często zdarza.

Tak sobie starali wytłumaczyć Jakuba ci, których to dziwiło. Więcej jeszcze zdziwiło ich, że gdy pułkownik na kolędę obdarował Jakuba pięknym kożuszkiem z krymskich baranów, on przyjął tak kosztowny dar dość obojętnie, schował go do szafy i nie pochwalił się nawet przed ludźmi. Była to rzecz niezwyczajna u Jakuba. Byli tacy, którzy przypuszczali, że Jakub ma jakieś skryte zmartwienie, odgadywali nawet, że syn jest tego powodem, że podobno rozłajdaczył się i uciekł z seminarium, bo go widziano włóczącego się gdzieś w Wiedniu czy w Berlinie. Wielu uwierzyło tej pogłosce, tylko ksiądz wierzyć nie mógł, bo znał Antoniego lepiej niż ktokolwiek, i nie odważył się posądzać go o coś podobnego. Dziwiło go jednakże, że w spisie kleryków w seminariach ani na liście słuchaczów wydziału teologicznego nigdzie nazwiska jego nie wyczytał. Było to dla niego niepojętym. Zapytywał parę razy o to Jakuba, ale ten zbywał go zawsze krótkimi odpowiedziami, że nie wie, gdzie się syn jego znajduje, bo do niego wcale nie pisał, a gdy ksiądz radził mu zająć się tym na serio i dowiedzieć się, gdzie jest Antoni i co porabia, gdy go nie ma w żadnym seminarium, stary zbywał go obojętnymi obietnicami, że porobi starania --- i nic nie robił.

To obudziło pewne podejrzenie w księdzu, tym bardziej, że na zakończenie starego roku Jakub nie przyszedł do niego do spowiedzi, jak to zwykł był co rok robić, ale wybrał się do ojców Bernardynów, do miasteczka.

Wszystko to pokazywało, że stary coś ukrywa przed ludźmi, że coś ciężkiego ma na sumieniu, co go dręczy i w nałóg wtrąca.

Przez przyjaźń, jaką miał dla Antoniego, ksiądz proboszcz postanowił wybadać tę rzecz i przyjść z pomocą lub pociechą Jakubowi. Szukał tylko do tego stosownej pory, ale z początkiem nowego roku miał więcej niż zwykle zajęcia, to ze spowiedzią, to z księgami kościelnymi, więc odkładał to z dnia na dzień. Aż naraz w Trzech Króli dowiedział się, że Jakub zniknął bez wieści. Dzień przedtem był jeszcze na kartach w gospodzie, siedział dosyć długo i pił trochę więcej niż zwykle. Kucharz chciał go odprowadzić do domu, ale nie przystał na to i wyszedł sam; odtąd nikt go nie widział ani w jego domu, ani we wsi.

Wiadomość ta przykre wrażenie zrobiła na księdzu. Przeczuwał coś złego. Przeczucie to sprawdziło się, bo w kilka dni później rybacy o pół mili od przewozu znaleźli. ciało topielca. Było to ciało Jakuba.

Z papierów, które znaleziono u niego w mieszkaniu, pokazało się, że śmierć nie była przypadkową, ale obmyślaną, bo zostawił rozporządzenie ostatnie. Z tego rozporządzenia pokazało się, że oszczędny Jakub na kilkunastoletniej dzierżawie przewozu uzbierał do trzynastu blisko tysięcy. Sumę tę zapisał synowi, a wykonawcą testamentu mianował pułkownika.

Ksiądz, który zajmował się pogrzebem, opieczętowaniem pozostałości po zmarłym i papierów, przeczytawszy ostatnią wolę dał znać o tym pułkownikowi i przy tej sposobności objaśnił mu, że trudno będzie mu odnaleźć spadkobiercę, gdyż od jakiegoś czasu nawet ojciec nie miał o nim żadnej wiadomości, radził przy tym, że może trzeba będzie ogłosić i wezwać go przez pisma publiczne. Ale pułkownik oświadczył, że tego nie potrzeba wcale, że on dołoży starania, aby odszukać Antoniego.

To oświadczenie pułkownika, ten brak zakłopotania o to, co robić, zwrócił uwagę księdza i naprowadził go na domysł, że pułkownik wie, gdzie się znajduje Antoni, że musiał to wiedzieć wspólnie z ojcem, gdyż ten nie byłby go zrobił egzekutorem testamentu.

Ale wraz z tym przypuszczeniem nasuwało się pytanie, dlaczego Antoni tai się tak starannie z miejscem swego pobytu? Dlaczego ojciec ukrywał to także przed nim? Wszystko to wydawało mu się bardzo zagmatwanym i obudziło jego czujność i uwagę. Postanowił wyśledzić i rozwiązać tę zagadkę, nie tyle przez próżną ciekawość, ile z powodu skłonności, jaką miał do Antoniego. Odtąd zwracał większą uwagę na dwór i chciał się przede wszystkim dowiedzieć, jaką drogą pułkownik prześle Antoniemu spuściznę po ojcu.

Niedługo czekał na to. Może w miesiąc po śmierci Jakuba pułkownik wyjechał na parę tygodni z Zarzecza. Po powrocie swoim przy widzeniu się z księdzem wspomniał mu, że sprawa testamentowa załatwiona, i wręczył mu nawet pokwitowanie z odebranej sumy, pisane ręką Antoniego, prosząc, aby to na przypadek zachował w księgach kościelnych. A gdy ksiądz go spytał, w jaki sposób odszukał Antoniego, odpowiedział mu, że polecił to adwokatowi swemu, a ten zajął się odszukaniem spadkobiercy i załatwieniem całej tej sprawy.

Tu więc, gdzie ksiądz spodziewał się rozwiązania tajemnicy, spotkał znowu węzeł; pobyt Antoniego umyślnie trzymano w sekrecie przed nim. Ale czemu? Nie wątpił już teraz, że pułkownik ma udział w tej tajemnicy i że chodzi mu wyraźnie o utrzymanie jej. Więcej, pomimo głębokiego zastanowienia, domyślić się nie mógł. Przypadek pomógł mu w tym względzie.

W połowie maja wyjeżdżając do wód, ksiądz proboszcz wstąpił był po drodze do Drezna dla zwiedzenia znakomitych osobliwości tego miasta. Po obejrzeniu galerii obrazów, muzeum, skarbca i innych ciekawszych miejsc, chciał poznać trochę miasto samo i kościoły. Gdy dochodził do kościoła Świętej Zofii, jakieś towarzystwo wychodziło z niego i wsiadało do powozu. Towarzystwo to składało się z dwóch mężczyzn i jednej kobiety, która coś, jakby zawiniątko, trzymała pod szalem.

Zwrócili oni uwagę księdza dlatego, że rozmawiali po polsku, i przechodząc koło powozu z ciekawością spojrzał w szklane drzwiczki. Spojrzawszy, zatrzymał się nagle; w powozie zobaczył Antoniego --- tak mu się przynajmniej wydawało. Nie mógł jednak sprawdzić swego przypuszczenia, bo powóz w tej chwili ruszył z miejsca. Ksiądz patrzył jakiś czas za powozem zamyślony, a gdy zniknął mu z oczu, pomyślał sobie, że może mu się przywidziało, i wszedł do kościoła. Obejrzał nagrobki, ołtarze, a w końcu zajrzał i do zakrystii, gdzie zastał księdza, z którym, jako z kolegą duchownym, wdał się w rozmowę o pobożności ludu, zwyczajach odpustowych i tym podobnych rzeczach. Wśród rozmowy zbliżyli się do stołu, na którym leżała otwarta księga parafialna. Ksiądz mimo woli rzucił na nią okiem, ale wnet z zajęciem wielkim spojrzał powtórnie na ostatnie wiersze świeżo napisane, uderzony nazwiskami, które mu wpadły w oczy.

--- To księga metryk --- rzekł ksiądz miejscowy, widząc, że gościa zainteresowała.

--- A to zapewne niedawno wpisane? --- zapytał proboszcz, pokazując palcem ostatnie wiersze.

--- Przed chwilą; jakaś polska familia dawała ochrzcić dziecko.

Ksiądz pochylił się i przeczytał następujący napis po łacinie:

Roku pańskiego tysiąc osiemset sześćdziesiątego, dnia osiemnastego, miesiąca maja, A.R. Józef Sigfert, wikariusz miejscowy, ochrzcił Feliksa Jana, prawego potomka Antoniego Sikorskiego i Jadwigi z Lipskich, małżonków, urodzonego w Dreźnie przy ulicy Małgorzaty pod liczbą 552, dnia 20 kwietnia tegoż roku. Rodzicami chrzestnymi byli Tomasz Rybarski i Anastazja Kasewicz.

Ksiądz proboszcz nie wierzył oczom własnym, Antoni mężem Jadwigi, która, o ile wiedział, poszła za Zygmunta Sikorskiego i niedługo potem owdowiała? Tak przynajmniej mówiono w Zarzeczu. Od czasu jak przyszła tam nowina o śmierci męża Jadwigi, upłynęło zaledwie siedem miesięcy. Cóż więc znaczą te chrzciny? Dlaczego Antoni podał się za ojca tego dziecka?

Im więcej rozmyślał nad tym, tym bardziej plątał się w domysłach, z których nie mógł nic pewnego wyprowadzić. Wiedział tylko, że nagłe zniknięcie Antoniego pozostawało w ścisłym związku z tymi chrzcinami, że chrzest sam wchodził także w zakres tej mętnej tajemnicy, a przypuszczał to na tej podstawie, że na ojców chrzestnych wzięto zaufanych domowników, Tomasza, kamerdynera, i Nastusię, służącą Jadwigi.

Ksiądz miał nadzieję, że Antoni rozwikła mu tę tajemnicę, i postanowił się z nim zobaczyć. Numer domu, zanotowany w księgach metryk, ułatwił mu poszukiwanie. Wypisał go sobie, poszedł na ulicę Małgorzaty, szukając numeru 552. Nietrudno było znaleźć na małej uliczce dom, noszący ten numer. Był to niewielki dwupiętrowy domek, dość lichy i stary. Ksiądz zapytał odźwiernej, czy w tym domu mieszkają państwo Sikorscy z Polski?

--- Państwo Sikorscy? Nie --- odrzekła kobiecina, potrząsając głową.

--- To być nie może --- zaprotestował ksiądz --- wszak tu jest numer 552?

--- Tak.

--- A więc w tym domu mieszkają z pewnością państwo Sikorscy.

--- Ależ miły Boże, toż przecież znam wszystkich lokatorów jak własną kieszeń. Żadni państwo tacy tu nie mieszkają. Mieszka tu jakiś student, podobno także z Polski, ale sam.

--- Jak się nazywa?

--- Sikorski --- wykrztusiła baba z trudnością.

--- Antoni Sikorski? --- podchwycił żywo ksiądz.

--- Tak, tak; mieszka w oficynie.

--- Czy można się z nim widzieć?

--- Teraz go nie ma. Jacyś panowie byli u niego przed chwilą i zabrali go. Ale on przyjdzie niezadługo, bo on mało kiedy wychodzi.

--- Skoro wróci, oddacie mu tę kartkę.

To mówiąc, wręczył jej kawałek papieru, wyrwany z pugilaresu, na którym napisał adres mieszkania swego w Dreźnie i życzenie, aby Antoni był dziś u niego wieczorem koniecznie. Nie wątpił, że przyjdzie, i oczekiwał go u siebie.

Ale Antoni wcale się nie pokazał. To księdza zdziwiło. Następnego dnia rano udał się znowu na ulicę Małgorzaty. Spotkał we drzwiach odźwierną, która ujrzawszy go, rzekła:

--- Na próżno idziecie, waszego Polaka już nie ma.

--- Jak to?

--- Wyjechał dziś rano pociągiem wiedeńskim.

--- Wyjechał?... a czyście mu dali moją kartkę?

--- Dałam; przeczytał ją zaraz i mocno się czegoś przestraszył. Musiał coś przeskrobać przeciwko wam. A taki się zdawał poczciwy. No! Wierz tu ludziom.

--- I nic nie kazał powiedzieć? Nie zostawił jakiej kartki do mnie?

--- Nie, nic.

Ksiądz nie wiedział już, jak sobie to tłumaczyć. Nagła ucieczka Antoniego przed nim była dla niego czymś niezrozumiałym. Był prawie pewnym, że dowiedziawszy się o jego pobycie w Dreźnie, przybiegnie co prędzej; mógł się tego spodziewać, znając przychylność jego i dobre serce. Tymczasem Antoni po odebraniu jego kartki wyjechał albo prawdopodobnie ukrył się. Ale dlaczego?

Tu już urywały się wszelkie domysły; jedyny klucz, jaki mógł mieć do tych tajemnic, co się mnożyły koło niego, zginął z wyjazdem Antoniego. Dał więc za wygraną i w parę dni potem wyjechał do wód. Nowe wrażenia i zajęcia wybiły mu z głowy to zdarzenie.

Ale po powrocie do domu znowu mu się przypomniała ta historia. Jadwiga bowiem w tym czasie przyjechała także do Zarzecza do umierającej babki. Przyjechała z synkiem. O Antonim nie było wcale mowy.

Ksiądz zaczął podejrzewać, że Antoni użytym został przez pułkownika za narzędzie do jakiejś intrygi, której przyczyny zrozumieć nie mógł, a że szło mu bardzo o los tego chłopca, do którego szczerze się przywiązał, i obawiał się, iżby nie stał się ofiarą tej intrygi, przeto postanowił bądź co bądź wyjaśnić tą sprawę i w tym celu udał się wprost do pułkownika, prosząc go o adres Antoniego, gdyż, jak mówił, chce do niego pisać w ważnym interesie. Pułkownik odpowiedział mu dość szorstko, że nie wie wcale, gdzie się Antoni obraca, że go to wcale obchodzić nie może, gdzie mieszka i co robi syn jego byłego oficjalisty; że dziwi się, skąd ksiądz przychodzi do tego, by u niego zasięgać podobnych wiadomości.

Ta ostra odpowiedź oburzyła księdza, zwłaszcza, że wiedział, iż jest nieprawdziwą, i odrzekł pułkownikowi:

--- Syn oficjalisty mógłby być obojętną figurą dla pana pułkownika, ale mnie się zdaje, że Antoni jest czymś więcej dla pana.

--- Co ksiądz przez to rozumiesz? --- spytał pułkownik surowo.

--- To --- rzekł ksiądz, nie zmieszany groźną postawą pułkownika --- że Antoni jest mężem córki pana.

--- Skąd ksiądz wiesz o tym? Kto to powiedział? --- zawołał pułkownik gwałtownie, zrywając się ze stołka.

--- Czytałem w księgach chrztu kościoła Świętej Zofii w Dreźnie wyraźne nazwisko jego i nazwisko córki pańskiej. Nie wdzieram się w tajemnice domu pańskiego, ale jako przyjaciel Antoniego chcę wiedzieć, co się z nim stało?

--- Więc nic się ukryć nie może! --- mówił pułkownik do siebie, chodząc wzburzony po pokoju dużymi krokami --- prawda jak korek wychodzi na wierzch. To okropne! --- Nagle zatrzymał się przed księdzem i biorąc go za rękę, odezwał się tonem błagalnym:

--- Na Boga, księże, nie gub mnie, nie gub nas! Honor nasz w twoim ręku.

--- Nie rozumiem pana, panie pułkowniku, ja jeszcze nic nie wiem.

--- Powiem ci wszystko, wszystko, jak na spowiedzi, tylko nie gub nas.

I tu zaczął księdzu opowiadać wszystko, od nagłej śmierci narzeczonego Jadwigi, aż do owego chrztu w kościele Świętej Zofii w Dreźnie.

--- Oto masz całą prawdę --- rzekł kończąc. --- Widzisz sam, że to było koniecznym dla ratowania honoru naszego wobec ludzi.

--- I dla ocalenia się wobec ludzi nie wahaliście się splamić grzechem wobec Boga i zgubiliście człowieka, zrobiliście go niewolnikiem waszym na całe życie. Czyż to się godziło?

Pułkownik spuścił oczy ze wstydu przed księdzem i szepnął na swoją obronę.

--- On przystał.

--- Tak, przystał, ale pod groźnym naciskiem ojca; przystał, bo nie wiedział pewno, na co przystaje, nie wiedział, że się sprzedaje w niewolę. Czy pan pułkownik zapłaciłeś mu za tę przysługę?

--- Zapłaciłem.

--- I on wziął? --- spytał ksiądz z niedowierzaniem.

--- Wziął, ale po odebraniu spadku po ojcu wrócił mi tę całą sumę.

--- Więc ci tanio przyszedł niewolnik, panie pułkowniku --- rzekł ksiądz z goryczą.

--- Wszak ma zupełną wolność; my od niego nie żądamy nic więcej. Może robić, co mu się podoba. Nie rozumiem, co mówi ksiądz o niewolnictwie.

--- Więc nie rozumiesz pan --- odezwał się proboszcz z uniesieniem --- że odebraliście mu to, co każdemu człowiekowi jest najdroższym, co ma nędzarz największy, to jest prawo rozporządzania sobą?

Wszak i on człowiek, i w nim serce może upomnieć się o swoje prawa, może zechce kochać, a wtedy co? Wtedy ten człowiek przeklinać was będzie. Wyście o tym nie pomyśleli nawet, prawda?

--- Rzeczywiście, nie myślałem nigdy o tym.

--- Czy córka pańska nie żyła z nim wcale? --- spytał ksiądz po chwili.

Pułkownik spojrzał na niego zdziwiony i urażony tym zapytaniem.

--- Córka moja z nim? To przecież niepodobna; ona by nigdy nie przystała na to ani ja.

--- A jednak on ma prawo jako mąż zmusić ją do tego.

--- Nie zrobi tego, nie ośmieli się.

--- Ja wolę przypuścić, że nie chce, bo gdyby chciał, mógłby.

--- Na Boga, księże, nie poddawaj mu tej myśli, to by było straszne upokorzenie dla nas.

--- Raczej dla niego --- mruknął ksiądz pod nosem, a po chwili dodał głośno:

--- Nie obawiaj się pan, nie będę namawiał go na coś podobnego, owszem, gdyby chciał, odradziłbym mu. Ale chcę wiedzieć, gdzie się znajduje. On teraz bardziej niż kiedy potrzebuje może rady, dobrego słowa, przyjacielskiego uścisku. Pan wiesz, gdzie on jest.

--- Nie wiem.

A gdy ksiądz z niedowierzaniem spojrzał na niego, dodał:

--- Ręczę ci, księże, pod słowem honoru, że nie wiem.

--- A jednak był przy chrzcie dziecka.

--- Tak, ale na drugi dzień wyjechał z Drezna, nie uprzedziwszy mnie o tym.

--- I nie ma żadnego śladu?

--- Nic zgoła. Wspominał mi raz, że się uda na jaki uniwersytet niemiecki, ale nie powiedział, gdzie.

Ksiądz uważał dalszą rozmowę za zbyteczną i pożegnał pułkownika. Odchodzącego pułkownik zatrzymał jeszcze i rzekł:

--- Księże, pamiętaj, że w twoim ręku honor naszego domu.

--- Nie przyszedłem tu jako szpieg ani jako sędzia --- odparł ksiądz chłodno. --- Nie do mnie to należy, Bóg was osądzi.

To powiedziawszy, wyszedł.

Dowiedziawszy się w ten sposób o powodach, które Antoniego odsunęły od niego, tym troskliwiej teraz zajął się odszukaniem go. Przeglądał pilnie roczne sprawozdania akademickie, zapytywał się drogą urzędową w biurach policji miast, niemieckich, w których znajdowały się uniwersytety, czy nie wiedzą o pobycie Antoniego Sikorskiego --- ale daremne były wszystkie starania; Antoni przepadł jak kamień w wodzie.

XI

Jesteśmy w Wiedniu w początkach roku 1876, przy końcu karnawału. Miasto kipiało, szumiało wesołością i uciechą. Bawiono się wszędzie, począwszy od eleganckich salonów arystokracji pieniężnej, aż do ordynarnych knajpeczek przedmieść, każdy stosownie do swoich funduszów, a wielu nawet nad możność chciało użyć karnawału, pohulać "za swoje parę krajcarów", jak mówią Niemcy, i rozweselić się. W każdej knajpie, kawiarni, słychać było wieczorem muzykę, której piskliwe tony przez uchylone okna wyrywały się na ożywione ulice i wabiły przechodniów. Rogi ulic oblepione były gęsto afiszami wzywającymi to na bale, to na koncerty, to na teatry, i wzywały nie na próżno, bo wszędzie chciwi zabawy ludzie tłoczyli się, przepłacając bilety nieraz. Szczególniej teatry bywały przepełnione, a między godziną dziesiątą a jedenastą, w którym to czasie przedstawienia zwykle się kończyły, był niezwyczajny ruch na ulicach, które pełne były ludzi, rozmów, śmiechów, turkotu powozów, krzyków dorożkarzy i uliczników.

Jednego wieczora o tej porze, przed teatrem opery, wśród tłumu wychodzącego z przedstawienia, jakiś młody, elegancki człowiek, prowadząc pod rękę poważną damę i torując jej przejście, jak również dwom młodym damom, które w towarzystwie mężczyzny za nim postępowały, zawołał silnym głosem na dorożkę numer 149. Kilka razy powtórzyć musiał numer, zanim wśród hałasu, krzyku i wrzawy, jaka panowała przed teatrem, usłyszał go dorożkarz i nadjechał. Młody człowiek ulokował w powozie starszą damę i dwie jej towarzyszki z miną człowieka mającego już pewne prawo do takiej opieki, był bowiem narzeczonym jednej z młodych dam, jasnej blondynki o turkusowych oczach, a potem, zwracając się do drugiego mężczyzny, który pozostał w tyle, odezwał się:

--- A ty, Pawle, czemu nie siadasz?

--- Nie pomieścimy się --- odrzekł ten dyskretnie.

--- Ależ pomieścimy, pomieścimy --- odezwał się dźwięczny głosik z powozu --- jest dosyć miejsca.

--- Ja siądę na koźle, to się zabierzemy --- odezwał się ów pierwszy mężczyzna. --- No, siadaj.

Ulegając prośbie, usiadł ów, którego nazywano Pawłem, na przednim siedzeniu powozu, obok młodej blondynki, która go tak serdecznie zapraszała. Było to stworzenie zgrabne, ruchliwe, z figlarnymi, żywymi oczkami, wesołe i rozkoszne. Na imię jej było Ludwika. Podczas drogi trzpiotowała się ciągle, śmiała się i rozmawiała, zwracając się często z zapytaniami do Pawła. Starsza jej siostra, Emilia, narzeczona owego mężczyzny, który siedział na koźle, i matka, staruszka o ujmującej i łagodnej twarzy, z przychylnym pobłażaniem słuchały szczebiotania Luizy, a jej żywe zajęcie się Pawłem wcale ich nie gorszyło. Paweł bowiem cieszył się ich życzliwością, był dobrze widziany w ich domu, a matka Luizy wcale by nie była przeciwną, gdyby Paweł oświadczył się o jej córkę. Spodziewano się nawet tego, a lubo Paweł trzymał się z daleka od panny w granicach zwykłej grzeczności, to przypisywano tę oględność tylko nieśmiałości. Zresztą nie było się co śpieszyć; Luiza była jeszcze bardzo młodą, niedawno co skończyła pensję, a lubo umysł jej był rozwinięty, to usposobienie zachowała jeszcze dziecięce prawie. Mieli więc czas czekać, a tymczasem mógł Paweł wyrobić sobie pewne stanowisko. Dotąd bowiem był dopiero w początkach swego zawodu, praktykę lekarską miał jeszcze niewielką w mieście, a całe utrzymanie stanowiła pensja asystenta przy profesorze chirurgii, który był właśnie ojcem Luizy i Emilii, a mężem owej miłej staruszki w siwych loczkach i fiołkowym czepeczku. Stary profesor lubił i cenił nadzwyczaj swego asystenta, zapraszał go często do swego domu, nastręczał mu praktykę w mieście, wyręczał się nim nieraz, będąc pewnym, że go zastąpi godnie, i wyrażał się zawsze z wielkimi pochwałami o jego zdolnościach lekarskich, stawiając go o wiele wyżej od narzeczonego Emilii, który był także doktorem.

--- U dam --- mówił nieraz stary doktor --- Adolf (było to imię narzeczonego) będzie miał może więcej powodzenia, będzie je umiał leczyć na migreny i histerie, bo jest człowiek gładki, elegancki i uprzejmy. Ale kto będzie prawdziwie chory, temu bym radził Pawła. Rozwaga i bystrość tego chłopca, złączone z tak gruntowną nauką, wyrobią go kiedyś na dzielnego doktora.

Takie było stanowisko Pawła w domu starego doktora; nic więc dziwnego, że i matka, i córki, dla których rozum ojca był wyrocznią, podzielały sympatię dla młodego doktora, a Luiza ośmieliła się nawet przekroczyć tę granicę i z dziecinną szczerością objawiała to swoje uczucie. Może ta zbytnia szczerość bałamuciła sąd Pawła, bo zdawał się nie rozumieć doniosłości tych objawów i brał je po prostu za zwykłą uprzejmość, z jaką dorastające panienki bywają dla dobrych znajomych, których lubią. Lubił rozmawiać z Luizą, przenosił jej towarzystwo nad inne, ale w obcowaniu z nią zachowywał się raczej jak nauczyciel z uczennicą i nie przypuszczał nawet możebności innego stosunku, zwłaszcza, że różnica lat była między nimi dość znaczna: Luiza miała lat dopiero siedemnaście, on zaś kończył już trzydziesty drugi.

Potrzebne nam było to małe wyjaśnienie dla zrozumienia wzajemnego stosunku tych osób, siedzących w powozie i rozmawiających wesoło.

Najwięcej mówiła Luiza, była tego dnia rozmowniejszą i rozkoszniejszą niż zwykle, a mówiąc często bardzo zwracała się do Pawła i oczkami zalotnymi zaczepiała się często o niego. Rozmowa toczyła się o teatrze, o osobach, które tam widzieli, o karnawale, który się już kończył --- a propos karnawału Luiza zapytała Pawła:

--- Pan będziesz pojutrze na balu prawników, prawda?

--- Nie wiem.

--- Jak to? Pan byś nie miał być? Wszak my będziemy także.

--- Ależ Luizo --- odezwała się matka z uśmiechem --- to przecież nie obowiązuje pana Pawła być na

balu dlatego, że my tam będziemy.

--- Dlaczego nie? Przecież to przyjemność mieć na balu znajomych, a pan Paweł oprócz nas mało, kogo zna we Wiedniu.

--- Mężczyźni chodzą na bal właśnie, aby poznać nieznajomych --- wtrąciła Emilia.

--- Czy to prawda, panie? --- spytała zasmucona lekko tą uwagą siostry Luiza.

--- Nie umiem pani na to odpowiedzieć, nie bywałem nigdy na balach...

--- Pan nie byłeś jeszcze nigdy na balu?

--- Nie miałem nigdy na to czasu.

--- Ale pojutrze pan będziesz? --- spytała, a w pytaniu jej była taka zachęcająca prośba, tyle nadziei, życzenia, że Paweł nie wiedział, w jaki sposób wymówić się. Zaledwie zdobył się na powiedzenie, że będzie zbytecznym na balu, bo nie tańczy.

--- Pan nie tańczy?

--- Nie.

--- Nawet kadryla?

--- Nawet kadryla.

--- No to nic --- rzekło rezolutnie dziewczę --- to pan będziesz siedział przy mamie, będziesz trzymał mój bukiet, moją książeczkę z tańcami i będziesz pan robił mi uwagi, abym wiele nie tańczyła, dobrze? No, prędzej --- zawołała niecierpliwie, widząc, że Paweł nie może się zdecydować --- przyjdziesz pan?

--- Ale przyjdzie, przyjdzie, ja go sam przyprowadzę --- odezwał się z kozła Adolf.

--- Nie chcę, ja wolę, żeby z własnej woli przyszedł.

--- Jeśli mię coś bardzo pilnego nie zatrzyma.

--- Cóż może zajść? Dyżuru pan nie masz pojutrze. Pytałam już o to ojca.

--- Jaka przezorna --- odezwał się Adolf.

Na tym rozmowa się urwała, bo powóz zatrzymał się przed domem doktora, za mostem Elżbiety. Adolf zeskoczył z kozła i pomógł paniom wysiąść z powozu. Nastąpiły pożegnania.

--- Więc do widzenia, do jutra --- rzekła Luiza, podając Pawłowi rączkę na pożegnanie.

--- Jeżeli...

--- Nie chcę wiedzieć o żadnym "jeżeli", do widzenia na balu, pamiętaj pan.

I nie czekając na odpowiedź, frunęła na schody.

Adolf odprowadził panie na górę i niebawem wrócił do Pawła, stojącego w zamyśleniu przed domem.

--- Odwiozę cię, dobrze?

--- Jeżeli nie masz nic innego do roboty. Wsiedli do powozu.

--- Alsergrund, Neugasse --- powiedział Adolf głośno woźnicy, a gdy powóz ruszył z miejsca, przysunął się do swego towarzysza i rzekł, uderzając go poufale w kolano:

--- No, zdaje mi się, mój Pawle, że będziemy kiedyś szwagierkami.

--- Jak to? --- spytał Paweł, jakby przestraszony tymi słowami.

--- Naiwny jesteś, mój kochany, z tym zapytaniem. Przecież nie mogłeś nie wiedzieć tego, że Luiza ci sprzyja, i to bardzo.

--- Nie przypuszczałem nigdy, żeby to miało być coś więcej nad prostą życzliwość.

--- W takim razie byłeś bardzo niedomyślny.

--- Ależ Luiza jest prawie jeszcze dzieckiem.

--- I zostanie nim, gdy będzie miała lat czterdzieści, ze swoim usposobieniem żywym, roztrzepanym, i jeżeli zechcesz czekać, aż spoważnieje, tak jak ty, to się nigdy nie doczekasz; to motylek...

--- I ja tak uważam i dlatego nie przypuszczam...

--- Żeby się zakochać mogła? Czy sądzisz, że motyle się nie kochają? Nie umieją kochać?

--- To tylko tobie się tak uroiło.

--- Drażnisz mnie tym uporczywym niedowierzaniem i zmuszasz, abym powiedziała wszystko.

--- Co takiego?

--- Że była już mowa o twoim małżeństwie z Luizą.

--- Rozmowa? Z kim?

--- Mówiliśmy z jej matką i Emilią i one znajdują to bardzo naturalnym.

--- Tak? --- spytał Paweł, wpadając w ponure zamyślenie --- w takim razie...

--- W takim razie oświadczyłbym się --- podchwycił Adolf.

--- Nie; w takim razie musiałbym przestać bywać w domu doktora.

--- Czy masz co tej familii do zarzucenia?

--- Uchowaj Boże! Owszem, okazali mi tyle przychylności, że ja, co nigdy nie znałem rodzinnego szczęścia, wśród nich ożyłem dopiero; toteż przylgnąłem do nich całym sercem.

--- Więc nie pojmuję, dlaczego nie chcesz bywać w ich domu.

--- By nie wprowadzać ich w błąd, co do celu mego bywania. Z wdzięczności za tę życzliwość, jaką mi okazywali, jakby własnemu synowi, gotów byłbym na największe poświęcenie dla nich --- ale mężem Luizy być nie mogę.

--- Czy tak ci się nie podoba?

--- Nie pytaj mnie o to, drogi Adolfie, mnie nie wolno na takie pytania odpowiadać.

--- Więc kochasz inną? Masz inne zobowiązania?

--- Być może.

--- W takim razie pozwolisz, że dam pewne wyjaśnienie w tym względzie matce Luizy. Idzie tu o spokój dziewczęcia.

--- Rób, jak uważasz, że będzie lepiej dla nich. Nie oszczędzaj mnie wcale, byle tylko nikt nie cierpiał z mego powodu.

Adolf nic nie odpowiedział. Objaśnienie, jakie mu dał Paweł, zasmuciło i zaciemniło jego różowe myśli.

Paweł nie próbował przerwać milczenia, zajęty własnymi myślami.

Tak dojechali do Neugasse, przed dwupiętrowy dom, otoczony ogródkiem. Tu mieszkał Paweł. Dorożka zatrzymała się. To obudziło obu doktorów z zamyślenia. Paweł podał rękę Adolfowi na pożegnanie.

--- Kiedyż się zobaczymy? --- spytał Adolf. --- Czy będziesz na balu?

--- Po tym, coś mi powiedział, to wątpię.

--- I mnie się tak zdaje, iż lepiej, żebyś nie szedł. Nieobecność twoja posłuży mi do powiedzenia prawdy matce, a może i pannie. Będzie to środek może za gwałtowny, rodzaj amputacji, ale nie można zwlekać tu, gdzie jest obawa gangreny.

--- To twoje przywidzenie.

--- A ty nie dowidzisz, bo nie chcesz. No, dobranoc.

Rzucił się w głąb dorożki niekontent i kazał się odwieźć do domu.

Paweł zadzwonił do kamienicy, w której mieszkał. Odźwierna, otwierając mu, oświadczyła, że podczas jego nieobecności parę razy przysyłano po niego od jakiejś urzędniczki z przeciwka, która nagle zachorowała. Jeszcze nie skończyła mówić, kiedy jakaś służąca zbliżyła się ku nim z latarką.

--- A oto właśnie ona --- rzekła odźwierna, wskazując na nadchodzącą.

--- To pan konsyliarz? --- zawołała uradowana służąca. --- Ach, to dobrze. Zbiegałam się tyle po doktorach i żadnego nie

zastałam, a tu pani moja taka chora.

--- Zaprowadź mnie więc --- rzekł doktor i zwrócił się do przeciwległego domu, a po drodze rozpytywał o objawy choroby.

Służąca, mimo zmęczenia, nie dała sobie powtórzyć zapytania i zaczęła żywo opowiadać, że jej pani jest ciągle chora, ciągle kwękająca. W nawiasowych zdaniach, których służąca miała zasób wielki, dowiedział się przy tym, że jest to wdowa po urzędniku, że utrzymuje siebie i dwoje dzieci ze skromnej emerytury, że panienka ma lat dziewiętnaście i ma wyjść za mąż za jakiegoś urzędnika bankowego, a synek ma dopiero lat sześć; że żyją bardzo oszczędnie i nie trzymają nawet służącej, gdyż ona tylko jest ich obsługaczką.

Te wszystkie objaśnienia wypowiedziała gadatliwa służąca jednym tchem prawie, prowadząc doktora przez schody i ciemne sionki. Nie skończyła jeszcze, gdy stanęli na drugim piętrze pod drzwiami, które za ich nadejściem zaraz się otworzyły, i w progu stanęła jakaś panienka ze świecą w ręku, którą zasłaniała dłonią, by lepiej przypatrzyć się, kto idzie. Spojrzenie miała bystre i rozumne. Twarzyczka jej była drobna, delikatna, ale pełna energii i sprytu, usteczka wąskie i blade, nosek z lekko rozdętymi skrzydełkami, a oczy ciemne, obok jasnych, płowych włosów, nadawały jej dużo życia i uroku. Była ubrana bardzo skromnie w jakąś ciemną, wełnianą sukienkę, na której przypięty był fartuszek, sięgający aż po ramiona.

--- Czy to ty, Agato? --- spytała głosem, w którym znać było, z jakim niepokojem i udręczeniem czekała.

--- Ja, panienko.

--- A doktor?

Nie dokończyła, bo spostrzegła doktora, stojącego tuż za Agatą.

--- Jest, panienko.

--- Ach, dzięki Bogu! Panie doktorze, matka moja zachorowała.

--- Mówiła mi już trochę służąca o rodzaju słabości. Czy nie polepszyło się?

--- Nie. Matka narzeka bardzo; musi jej być gorzej niż zwykle.

To mówiąc, poprowadziła go przez ciemny pokoik do drugiego, bardzo skromnie i ubogo umeblowanego, gdzie stało łóżko chorej.

Była to kobieta wątła, schorowana, już niemłoda. Leżała z oczami przymkniętymi, jęcząc i narzekając od czasu do czasu. Od czasu do czasu kaszel suchy wstrząsał jej wątłym ciałem. Wychudła jej twarz, ciemnego koloru, wydawała się prawie czarna na tle białej poduszki i przy słabym oświetleniu.

Doktor rozpoczął badanie chorej. Córka stała obok z lampą i odpowiadała za chorą, która nie miała sił do tego. W twarzy córki nie było miękkiego roztkliwienia, ale raczej zafrasowanie, w którym przebijała się roztropna przytomność; nie płakała, ale cała jej twarz wyrażała pragnienie ratowania matki. Odsunęła nawet dość szorstko małego braciszka od łóżka, by płaczem nie przeszkadzał w badaniu chorej.

Doktor, po rozpoznaniu choroby, zalecił przede wszystkim zimne okłady na piersi.

--- Zimne? --- spytała z niedowierzaniem i spojrzała bystro na doktora, jakby chciała badać jego zdolności lekarskie.

--- Zimne i to dość często; niech pani polega na mnie.

--- I nic więcej?

--- Zapiszę i proszki dla uspokojenia kaszlu. Podała mu papier, pióro, i przysunęła kałamarz. Przez ten czas, w którym doktor pisał, zajęła się zaraz urządzeniem okładów zimnych. Wysłała służącą po wodę, a sama

przygotowała kompresy i to ze zręcznością i wprawą, która doktora uderzyła. Energia jej i praktyczność zadziwiała przy delikatnej, filigranowej figurce. Obecność doktora wcale jej nie żenowała i gdy służąca przyniosła wodę, bez namysłu zakasała rękawy i drobnymi rączkami zanurzyła kompres w miednicy.

Doktor dał jej kilka wskazówek, jak ma urządzać okłady, pomógł jej nawet parę razy, potem oddał receptę i obiecał przyjść jutro rano, a gdyby się przypadkiem pogorszyło, kazał dać znać sobie niezwłocznie. Gdy odchodził, panienka żegnając go, podała mu honorarium, zawinięte w papier, ale doktor odsunął delikatnie jej rękę.

--- To później --- rzekł łagodnie.

Ta delikatność doktora zarumieniła panienkę; nie była na to przygotowaną. Doktor skorzystał z chwilowego jej pomieszania i wysunął się z pokoju.

Na drugi dzień rano zjawił się znowu. Panienka przyjęła go z oznakami żywego zadowolenia.

--- Ach, doktorze, jakże ci wdzięczną jestem!

--- Więc lepiej?

--- Nadspodziewanie polepszyło się; w tej chwili matka usnęła.

--- Nie trzeba jej budzić.

--- Nigdy nie sądziłam, że zimne okłady... Nie śmiała dokończyć.

--- Pomogą --- wyręczył ją doktor.

--- Tak, przyznaję, że z niedowierzaniem przyjęłam tę radę.

--- Pokazuje się, że pani masz także swoje zdanie w medycynie --- rzekł doktor z uśmiechem.

--- Nic dziwnego, mogłam nabyć trochę doświadczenia. Matka tyle już lat choruje. Na zimę zawsze jej gorzej. Ostry klimat nasz szkodzi jej. Miałam nadzieję, że tego roku będziemy już mieszkać we Florencji; mój narzeczony miał tam być przeniesiony w interesach banku, ale nie przyszło do tego. To by było dla niej zbawiennym, nieprawdaż?

Doktor przyświadczył i uspokoił ją. Mógł to uczynić z całą sumiennością, z badania bowiem chorej przekonał się, że lubo słabość jej jest nieuleczalną, chroniczną, ale że z tą słabością przy szanowaniu się będzie mogła żyć bardzo długo.

Nadejście brata, który z płaczem domagał się od siostry śniadania, uwolniło go od dalszych wyjaśnień względem chorej; zalecił tylko, aby jej nie przerywano snu, który w takich słabościach jest bardzo wzmacniającym, i odszedł, obiecując przyjść nad wieczorem.

Panienka była widocznie zakłopotana tą obietnicą doktora, bo bała się, że za tyle wizyt nie będzie mogła mu dostatecznie wynagrodzić, a nie miała odwagi dać mu teraz zapłaty i podziękować za dalsze odwiedzanie chorej, które jej się zbytecznym wydawało. Nie wiedziała więc, co robić, i zanim się na coś zdecydowała, doktor już był na schodach. Uspokoiła się trochę tą myślą, że narzeczony jej załatwi tę sprawę, co mu nierównie łatwiej przyjdzie niż jej.

Tak się też stało, i kiedy wieczorem przyszedł doktor odwiedzić chorą, zastał tam jakiegoś młodego bruneta, ze szkiełkami na nosie, z arogancką miną, rozpartego niedbale na kanapie, którego córka chorej przedstawiła jako swego narzeczonego. Młody ów brunet podniósł się na powitanie doktora i, zbliżając poufale, odezwał się:

--- A, to pan? Ja pana już miałem przyjemność poznać pewnego razu.

--- Nie przypominam sobie --- odrzekł doktor dość chłodno, by ostudzić trochę poufałość bruneta.

--- W kawiarni Dauma, nie pamiętasz pan? Byłeś pan razem z Adolfem Schmidtem.

--- To być może, bo znam się z nim dobrze.

--- No, a ja jestem jego kolegą szkolnym; to wyborny chłopak.

--- A tak --- odrzekł doktor, aby coś powiedzieć, i zdjąwszy rękawiczki, zbliżył się do chorej.

--- No, podajcież panu doktorowi krzesło --- rzekł brunet dość szorstko do swej narzeczonej. --- Kto wejdzie na drugie piętro, to przecież potrzebuje odpocząć sobie.

Ten szorstki ton uraził delikatność doktora, chciał wynagrodzić swą grzecznością postępek narzeczonego, i widząc, że panienka chciała mu podać stołek, uprzedził ją i wziął go sam spod ściany.

Rozpoczęło się badanie chorej, które dziś mogło już być dokładniejsze. Doktor pukał, nadsłuchiwał, badał, zapytywał. Chora odpowiadała mu tonem kwękającym. Narzekała przed nim, że nie ma żadnych wygód, że dawniej, za życia męża, opływała we wszystko, bo mąż ją kochał i dogadzał jej, ale teraz wszystko się zmieniło i tym tłumaczyła przyczynę swej choroby.

--- Człowiek nie ma teraz nikogo --- mówiła chora, stękając --- co by pamiętał.

--- Wszak pani masz dzieci --- odezwał się doktor, zdziwiony tym narzekaniem.

--- E, co tam dzieci, to już nie to, co mąż.

Dzisiaj dzieci nie mają już tego uczucia dla rodziców, jak dawniej.

Doktora zdziwiła ta skarga. Z tego co widział, nie mógł córki posądzać o nieczułość. Ta jednak widocznie przyzwyczajona być musiała do narzekań matki, bo zdawała się nie zwracać na to uwagi, zajęta robotą. Doktor uważał za słuszne ująć się za córką i odezwał się:

--- Pani zdaje się nie masz powodu skarżyć się. Jesteś pani otoczona staranną tak opieką.

--- To wszystko nie z przywiązania, tylko z obowiązku, ot tak, na zimno, aby zbyć. Jestem im ciężarem, ja to wiem, ja to czuję, i może kontenci by byli, żebym oczy zamknęła.

Doktora zaczęło już trochę oburzać, że chora przed nim, obcym człowiekiem, mówi takie rzeczy i to wobec

córki. Choćby to nawet prawdą było, co mówiła, to sądził, że nie powinna tak od pierwszej chwili odsłaniać przed nim tajemnic domowych. Chora nie domyśliła się przykrego wrażenia, jakie swoją gadaniną zrobiła na doktorze, i mówiła dalej:

--- Wczoraj na przykład nie mogłam doprosić się doktora, powiedzieli, że nie ma żadnego. Kto temu uwierzy, proszę pana? Gdzieżby we Wiedniu doktora nie było! Ale im się nie chciało, myśleli, że się obejdzie.

Tu już doktor nie mógł powstrzymać oburzenia. Po tym jednak przekonał się, że wszystko, co mówiła chora, było przesadą i nieprawdą, wiedział bowiem, jak starano się o doktora, jak posyłano na wszystkie strony; teraz dopiero poznał, z kim miał do czynienia; chora należała do tych samolubnych istot, które męczą drugich przesadnymi wymaganiami, żądając Bóg wie jakiego poświęcenia i uczucia, a same nic kochać nie umieją prócz siebie. Miał ochotę zganić jej takie postępowanie, ale wstrzymał się przez wzgląd na jej zdrowie. A przy tym nie miał prawa robić jej podobnych uwag, to nie należało do niego. Córka chciała prawdopodobnie oszczędzić mu przykrości słuchania narzekań matki i zbliżyła się do niej z zapytaniem, czy nie przygrzać potrawki z kurczęcia.

--- Na co mi jeść! Czy mi to idzie na zdrowie? Gdzie tam, wszystko w żółć się obraca.

--- Więc nie przygrzewać?

--- Zresztą przygrzej; przecież choć czymś posilić się muszę; z czego będę miała siły, jeżeli nic jeść nie będę?

Doktora już niecierpliwiły te lamenta i wstał, żeby odejść.

--- Pan doktor już odchodzi?

--- Odchodzę; pani forsujesz się mówieniem, a to źle.

--- Owszem, to mi pomaga, gdy mogę się przed kim wywnętrzyć z tym, co mnie boli. Tu w domu nie mam przed kim; nikt nie pożałuje nawet, nikt nie zapłacze nade mną. Choć kamień, to by powinien zapłakać.

--- Uspokój się pani, spokój pani bardziej potrzebny niż wszelkie pożałowania i płacze.

--- Ale pan doktor będzie łaskaw zajrzeć do biednej wdowy?

--- Będę za parę dni.

--- Polecam się pamięci, bo ja tu sama, opuszczona jak palec; nikogo, ale to co się zowie nikogo!

Doktor porwał za kapelusz.

--- Pan konsyliarz pozwoli się odprowadzić --- rzekł narzeczony i począł się także ubierać.

--- I pan idziesz? --- spytała chora.

--- Odprowadzę tylko pana doktora i wrócę.

--- Niechże Janina choć przyjdzie. Nie zostawiajcie mnie tak samej, przecież wiecie, żem chora.

--- Powiem Janinie; jest w kuchni; zdaje mi się, że przygrzewa potrawkę.

--- Wynajduje sobie tylko sposoby, żeby nie być przy mnie.

Doktor nie mógł już doczekać się, aż narzeczony wdzieje palto, i wyszedł wcześniej, uciekając przed narzekaniem chorej. W sieni spotkał się z Janiną, która niosła matce w tygielku potrawkę z kuchni. Była cała czerwona od ognia, przy którym się opiekła, przygrzewając potrawkę.

--- Pan doktor odchodzi już? --- spytała.

--- Będę za parę dni.

--- Czy pan doktor uważa, że jeszcze jest coś niebezpiecznego? --- spytała przestraszona i pobladła lekko.

Doktor spojrzał na nią ze współczuciem i rzekł:

--- I mama panią posądza o nieczułość?

--- Moja matka jest chora, to jej wiele wybaczyć potrzeba --- odrzekła skromnie.

Ta skromność jeszcze więcej ujęła doktora. Nie chcąc zatrzymywać jej dłużej, rzekł:

--- Niebezpieczeństwa nie ma, ale będę choćby dlatego, żeby czasem pomóc pani w przykrych obowiązkach pielęgnowania mamy.

--- My kobiety przyzwyczajone do tego --- rzekła z łagodnym uśmiechem i weszła do pokoju właśnie w chwili, gdy narzeczony otwierał drzwi.

--- No uważaj! --- zawołał tenże --- lecisz, jakbyś oczu nie miała. Byłabyś mi splamiła całkiem nowe palto. Cóż to za nieuwaga!

--- Przepraszam cię mocno, Auguście --- rzekła słodko, nie zrażona wcale tonem jego mowy, i wbiegła do pokoju.

August tymczasem, obejrzawszy starannie swoje nowe palto, pośpieszył za doktorem.

--- Pan konsyliarz daruje --- rzekł --- że się spóźniłem. Ta stara nudziła mnie pytaniami. Prawda, panie, to nie bardzo miła matka? Nudna, zrzędna, wymagająca...

--- Chciałaby, żeby każdy serce nosił na wierzchu dla niej jak bukiet, żeby uczucia tych, co ją otaczają, bezustannie popisywały się przed nią z akrobatycznymi sztukami --- rzekł doktor.

--- Jak Boga kocham, pan ją scharakteryzowałeś, jakbyś z nią żył od dawna. Pan jesteś doskonały fizjognomista. Żebyś pan wiedział, co my od tej baby mamy do znoszenia.

--- Najwięcej, zdaje mi się, narzeczona pana.

--- Janina? A tak. No, bo ja też nie dałbym sobie grać na nosie, a stara się mnie boi. Nawet parę razy chciałem zerwać z panną z tego powodu.

--- Cóż panna winna?

--- Panna nic; jest potulna, pracowita, twarzyczka niczego, no i kocha mnie --- dodał z dumą, poprawiając szkiełka na nosie --- ale widzisz pan, żeniąc się z nią, musiałbym wziąć sobie niepotrzebny kłopot na głowę, a na co mi to? Mam nadzieję, że stara klapnie niezadługo i dlatego odwlekam to małżeństwo, dopóki się da. Byłbym może całkiem zerwał, bo przecież człowiek taki jak ja mógłby dostać pannę równie ładną i z posagiem, ale idzie mi o ludzkie gadanie. Człowiek przecież ma punkt honoru. A przy tym dyrektor naszego zakładu bardzo sobie życzy tego małżeństwa i nieraz mi mówi:

"Goldstein, ty byłbyś wielkie nic dobrego i wielki głupiec, gdybyś ty z tą dziewczyną się nie ożenił. To skarb prawdziwy". Nie wiem ja, co on pod skarbem rozumie; ale to wiem, że dla nas, ludzi spekulacyjnych, to ładna żona wiele znaczy. Spytaj się pan, przez co bankier Probestein przyszedł do takiego majątku? Przez to tylko, że miał ładną żonę, w której kochał się szalenie minister.

Żona była dla niego najlepszym telegrafem kursu papierów.

--- I pan chciałbyś ze swej żony zrobić taki telegraf? --- spytał pogardliwie doktor.

--- Tego nie powiem, bo nie każda żona może podobać się panu ministrowi, ale zawsze musi mi pomagać w moich interesach; inaczej nie wiem, dlaczego bym się miał żenić; ona nic nie ma.

Doktor nie miał ochoty dłużej słuchać zwierzeń przyszłego kapitalisty i chciał go pożegnać. Mieli się już rozejść, gdy pan August coś sobie przypomniał,

--- Za pozwoleniem, konsyliarzu --- odezwał się, zatrzymując doktora --- o małom nie zapomniał wręczyć panu tej bagatelki.

To mówiąc, wsunął mu jakiś papier w rękę.

--- Co to jest? --- spytał doktor.

--- Bagatelka, honorarium za wizyty. Janina dawała panu podobno przy pierwszej wizycie guldena, a pan nie wziąłeś. Bardzo naturalnie, bo guldena płaci się, jak się idzie do doktora, a nie, kiedy go się wzywa do siebie, i to jeszcze w nocy. Ona o tym nie wiedziała, bo ona nie bywa w świecie, to nic nie wie, co wypada, a co się należy.

--- Mylnie pan sądziłeś --- rzekł doktor, oddając pieniądze Augustowi. Nie przyjąłem honorarium, bo wiem, że są to osoby nie dość zamożne, a w takim wypadku nie zwykłem brać pieniędzy.

--- Ale to ja płacę, ja; one by i tego dać nie mogły; ja wszystko prawie płacić muszę za nie, bo one nic nie mają.

--- Tym bardziej nie wezmę.

--- Ale nie rób się pan dzieckiem, panie doktorze. Pan przecież nie masz jeszcze takiej praktyki, żebyś się mógł bawić w takie wspaniałomyślności.

--- Właśnie dlatego dbam więcej o licznych klientów niż o pieniądze. Bądź pan łaskaw schować te pieniądze.

--- Szczególny z pana doktor, takich w Wiedniu niewielu byś pan naliczył i jestem pewny, że pańscy koledzy śmieliby się z pana, gdyby się o tym dowiedzieli. Jak będę chorym, to się będę tylko u pana leczył; to mnie nie zrujnuje.

Doktorowi wydał się ten żart trochę niesmacznym i nie mając ochoty być dłużej w towarzystwie nadętego ajenta bankowego, pożegnał go co prędzej.

Wracając do domu, rozmyślał nad tym, jak mogła Janina pokochać takiego człowieka? Było to także poświęcenie dla matki? Zapewne, August był człowiekiem zamożnym, a przynajmniej na drodze do zrobienia fortuny. On, jak sam przyznał się do tego, utrzymywał biedną rodzinę Janiny i płacił za nią długi, Janina więc prawdopodobnie robiła to dla rodziny. Był to więc także rodzaj niewolnictwa, w które się zaprzedała. To położenie budziło w nim współczucie. Co szczególniej podziwiać musiał, to ten brak wszelkiego pozowania na męczeństwo, tę naturalność i pozorną swobodę, z jaką Janina znosiła swoje przykre położenie. Uważała to jako rzecz zwyczajną całkiem, jak obowiązek, jak zatrudnienie swoje, bez najmniejszej pretensji wywołania podziwu lub współczucia. To budziło w nim uwielbienie dla tej dziewczyny; wydawała mu się w białym fartuszku i z tygielkiem glinianym nierównie tragiczniejszą niż niejedne heroiny smutnych romansów, które więcej cierpią w słowach niż w życiu.

XII

Doktor Hoffer siedział w swoim gabinecie, pracując nad jakimiś preparatami anatomicznymi, gdy ktoś zapukał do drzwi.

--- Proszę wejść! --- rzekł doktor, ale takim tonem, jak gdyby chciał powiedzieć: kogóż tam znowu licho niesie?

Widocznie wizyta była mu nie bardzo w porę. Ale skoro otwarły się drzwi i zobaczył wchodzącego, twarz jego rozjaśniła się życzliwym uśmiechem, którym powitał gościa.

--- A, to ty Pawle? Myślałem, że nie przyjdziesz dzisiaj pomagać mi.

--- Skąd to profesor wnosiłeś?

--- Myślałem, że sobie robisz wakacje dzisiaj z okazji balu.

--- Nie wybieram się wcale na bal.

--- Nie? A cóż mi moje panie mówiły, że idziesz? Luiza nawet ułożyła dla ciebie cały program zabawy, jako dla nietańcującego. Opowiadała właśnie matce, czym cię będzie chciała zająć.

--- Żałuję mocno, że panna Ludwika raczyła się tym trudzić, gdyż stanowczo nie mam zamiaru być na balu.

--- Wcale ci tego nie ganię. Człowiek pracujący, dobijający się stanowiska, nie ma czasu na podobne rzeczy. W takim wieku jak w czasie wojny, miesiąc liczyć się powinien za rok; każda chwila jest drogą, nie powinno się jej lekkomyślnie tracić. A bal to tylko strata czasu, zdrowia i pieniędzy. Inna rzecz, kobiety. To dla nich miejsce do popisu z pięknością, zręcznością, toaletą, to ich wystawa. My inne pole mamy do popisu, nieprawda? Ja także, gdy byłem w twoim wieku, nie chodziłem po balach. Dziś muszę chodzić dla żony i córek. I ciebie to nie minie.

--- Kto wie? --- rzekł z przymuszonym uśmiechem Paweł.

--- No, przecież starym kawalerem zostać nie myślisz. Nie znam nic obrzydliwszego nad starego kawalera; to coś tak nienaturalnego, potwornego. Kto w życiu nie umiał się do nikogo przywiązać, ten albo samolubem być musi, albo rozpustnikiem.

--- Za ostro sądzisz profesorze i zbyt bezwzględnie. Bywają czasem takie okoliczności, które człowieka skazują na osamotnienie.

--- Być może, tylko nie u ciebie. Jesteś młody, przystojny, masz los w rękach, przyszłości bać się nie potrzebujesz, i dlatego, bratku, musisz się ożenić i to niezadługo. Ja sam gotów jestem wyszukać ci jaką bogatą bankierównę z ringów i wyswatam.

To mówiąc, poklepał z serdeczną poufałością Pawła po ramieniu. Paweł nic na to nie odpowiedział, z twarzy jego można było nawet wyczytać, że przedmiot rozmowy nie był mu miłym, i dlatego skwapliwie wziął się do porządkowania narzędzi i preparatów w gabinecie. Po chwili doktor Hoffer coś sobie przypomniał i zagadnął go nagle:

--- Ale, ale, co będziesz robił dziś wieczór, skoro na bal nie idziesz? Czy masz jakie ważne zajęcie?

--- Wiesz profesorze, że pracuję teraz nad okulistyką.

--- Nie mówię o pracy, ale czy nie masz jakiego specjalnego pilnego zajęcia? A pytam się dlatego, bo mam dla ciebie pacjenta. Dziecko jakiejś hrabiny czy coś podobnego zachorowało na krup. Wzywano mnie parę razy, prawdopodobnie trzeba będzie zrobić operację, a ty to lepiej zrobisz ode mnie; jesteś młodszy, masz pewniejszą rękę...

--- Profesorze, żartujesz sobie ze mnie.

--- Bynajmniej; co młody, to młody; młodość ma odwagę, natchnienie, a to wiele znaczy, nawet w medycynie.

--- Czy więcej niż doświadczenie? --- podchwycił Paweł z uśmiechem.

--- O, kiedy ty zaraz wyciągasz na dysputę.

--- Bo profesor nie najlepszy obrałeś argument dla upozorowania właściwej przyczyny.

--- Jak to "upozorowania"? --- czego "upozorowania"?

--- Przyczyny, dla której nastręczasz mi tę praktykę.

--- No, no, i ciekawym, co mógłbym mieć za powód? --- spytał doktor, trochę zakłopotany.

--- Spytaj się o to, profesorze, własnego serca --- rzekł Paweł biorąc go za rękę i całując w ramię. --- Przykro ci, że nie mam praktyki dużej i nastręczasz mi ją przy każdej sposobności.

--- No, a choćby i tak było? My się już dosyć napraktykowali, wzbogacili nawet, czas byłoby ustąpić wam, młodszym miejsca, a szczególniej takim jak ty. Ale cóż, kiedy ciebie to gwałtem ciągnąć trzeba do chorego.

--- Mam dosyć pacjentów.

--- Tak, biedaków po przedmieściach, których leczysz za "Bóg zapłać". Do tych to biegniesz na wyskok, a do bogatego, gdzie byś mógł zyskać pieniądze i rozgłos, to cię namówić nie można.

--- Tacy mają i mieć będą doktorów do zbytku.

--- Najczęściej blagierów, szarlatanów, którzy się umieją pchać wszędzie. Toteż to mnie gniewa, że ci, co nie warci butów czyścić tobie, zaczynają już wyrabiać sobie imię, a ty siedzisz w kącie. Zbyteczna skromność to także grzech i graniczy z dumą.

--- Więc, byś mnie profesor nie posądzał o dumę --- rzekł Paweł z uśmiechem, chcąc uległością uspokoić rozdąsanego profesora --- gotów jestem wziąć z poręki profesora tego pacjenta.

--- Otóż tak, to lubię. Co się tu bawić w jakieś wspaniałomyślności. Pracowałeś, uczyłeś się, wydawałeś czas

i pieniądze, to teraz ten kapitał powinien ci się procentować; inaczej byłbyś marnotrawcą.

--- Jedźmy już, bo profesor gotów mi jeszcze dowieść, że jestem zbrodniarzem.

--- Co tam; co mówię, to mówię. Ty wiesz dobrze, że gdybym miał syna, tobym chciał, żeby do ciebie był podobny --- rzekł doktor.

--- Z marnotrawstwa? --- spytał Paweł wesoło. Doktor zamiast odpowiedzi przycisnął Pawła do piersi i pocałował w czoło.

--- Kiedy jedziemy tam?

--- Powóz miano przysłać wieczorem o siódmej.

--- Więc będę wieczorem. Teraz idę odwiedzić moich pacjentów.

To powiedziawszy, podał rękę doktorowi i wyszedł.

Wieczorem o siódmej godzinie stawił się punktualnie. Powóz już czekał przed bramą. Wsiedli i pojechali do jednego z hoteli na ringach. Dama owa, której dziecię chore było, mieszkała na pierwszym piętrze, gdzie zajmowała kilka pokoi.

Lokaj czekał już na nich w sieni i zaprowadził ich do pokoju, w którym leżało dziecię.

Przy mdłym świetle lampy, którą zasłaniała zielona umbrelka, widać było na białej i delikatnej pościeli rozpromienioną silną gorączką twarz chorego. Jakaś kobieta siedziała przy nim. Za wejściem lekarzy podniosła się.

--- Gdzie pani? --- spytał Hoffer.

--- Pani śpi. Parę nocy bezsennych wyczerpało zupełnie jej siły i musiała położyć się trochę. Pójdę ją obudzić, bo kazała, skoro pan doktor przyjdzie.

--- Nie potrzeba --- rzekł Hoffer, zatrzymując kobietę --- powinna wypocząć trochę. Napiszę do niej tylko słów kilka.

Kobieta przyniosła z drugiego stolika przybory do pisania, Hoffer tymczasem poprowadził swego asystenta do łóżka chorego dla zbadania jego stanu. Dziecko spało. Oddech jego był ciężki, syczący, powietrze ze świstem dobywało się przez gardło. Hoffer uważnie nadsłuchiwał, badał puls i rzekł, zwracając się do Pawła:

--- Choroba trochę pofolgowała; znalazłem pacjenta teraz znacznie lepiej niż rano. W każdym razie jednak będziesz musiał zostać; noc bywa najgorszą. Gdyby wypadła potrzeba operacji, ta kobieta posłuży ci za asystenta. Jest to dawna szpitalna posługaftzka.

Potem usiadł przy lampie, napisał kilka słów na listowym papierze, zwinął go i wręczając kobiecie, rzekł:

--- Tę kartkę oddasz pani, skoro się obudzi. Napisałem tu --- dodał zwracając się do Pawła --- kilka słów o tobie, dla uspokojenia tej damy. No, do widzenia. Ja wracam do domu, bo tam pewnie damy moje umierają z niecierpliwości i obawy, że bal gotów bez nich się rozpocząć.

Po odejściu doktora Hoffera Paweł jeszcze raz zbliżył się do łóżka dla zbadania chorego, wypytał służącą o szczególne objawy choroby i jej przebieg, a potem, oświadczywszy jej, że może udać się na spoczynek, gdyż on będzie czuwał przy dziecku, przysunął fotel do stolika, gdzie stała lampa, i wyjął z kieszeni gazety.

Służąca z kartką doktora Hoffera weszła po cichu do pokoju, w którym spała matka chorego.

Doktor począł czytać sprawozdania lekarskie. Czasami, gdy oddech dziecka przechodził w głośne charczenie, wstawał, zbliżał się do łóżka, obserwował chorego i znowu wracał na dawne miejsce i czytał.

W pokoju było cicho, na wpół ciemno, co sprawiało wrażenie posępne, uroczyste, sprzeczne z tym gwarem, ruchem i turkotem, jaki dolatywał z ulicy. Na kominku pod szklanym dzwonem zegar odbił jedenastą. Niezadługo lekkie skrzypnięcie drzwi zwróciło uwagę doktora. Spojrzał w tę stronę i zobaczył wchodzącą do pokoju kobietę imponującej postawy, w ciemnym ubraniu, które tak zlewało się z mrokiem, jaki panował w pokoju, że tylko blada twarz alabastrowa silniej występowała na tym ciemnym tle, jak na Rembrandtowskich portretach. Rozmarzonemu snem lekarzowi chwilowo się zdawało, że to sama głowa płynie w ciemnym pokoju, i na widok ten doznał rozkosznej trwogi. Twarz alabastrowa zbliżała się do łóżka z wyrazem niepokoju i troskliwości. Doktor tymczasem wytrzeźwił się ze swego złudzenia i domyśliwszy się, że to zapewne matka chorego dziecięcia, zbliżył się ku niej, by jej dać pewne wyjaśnienia, gdyby tego zażądała.

I rzeczywiście, dama postawszy czas jakiś w pochylonej i nasłuchującej postawie nad łóżkiem, zwróciła się potem do doktora i spytała o stan zdrowia swego syna. Stała tak, że matowe światło oświecało jej twarz. Doktor, spojrzawszy na nią, cofnął się tak nagle przed tym widokiem, że omal nie przewrócił parawanu. Dama z poważnym zdziwieniem obserwowała ten gwałtowny przestrach doktora. Czarne, duże jej oczy rozszerzyły się jeszcze więcej w tej chwili i wyglądały jak dwa bezdenne otwory na śnieżnej twarzy. To spojrzenie poważne, chłodne i zdziwione, jeszcze więcej zdawało się mieszać doktora. Chciał coś odpowiedzieć, ale język mu się plątał i bąkał tylko niezrozumiałe słowa. Szczęściem dla niego, chłopiec zakaszlał w tej chwili i równocześnie zerwał się z wysileniem, chwytając rączkami powietrze, szukając podpory, oparcia, gdyż kaszel począł nim szarpać. Doktor podbiegł ku niemu, chwycił go wpół i silnie do siebie przycisnął. To ułatwiło chłopcu kaszlanie. Trzymając się konwulsyjnie rączkami doktora, krztusił się, że aż oczka wyszły mu na wierzch rozpłomienionej twarzy, usiłując wyrzucić flegmę, która go dusiła. Nareszcie udało mu się odchrząknąć i odetchnął swobodnie. Tym wysileniem jednak tak był zmęczony, że ledwie doktor ułożył go na pościeli, przymknął oczy.

--- Zemdlał! --- wyszeptała dama, która dotąd stała nieruchoma, jakby skamieniała z przestrachu, z rękami wyciągniętymi naprzód, otwartymi ustami, a w oczach jej, nad którymi zbiegły się i pomarszczyły łuki brwi, malowało się przerażenie i trwoga śmiertelna.

--- Usnął ze zmęczenia --- rzekł doktor, uspokajając ją.

Był już w tej chwili spokojny; zajęcie się chorym oprzytomniło go. Miał czas ochłonąć z wrażenia, jakie nań zrobił widok damy, i przyjść do siebie.

--- Więc niebezpieczeństwo minęło?

--- Przynajmniej teraz go nie ma.

--- Doktor Hoffer jednak wspominał mi, że skoro błonki odejdą, operacja nie będzie potrzebną.

--- Jeżeli na teraz obejdzie się bez niej, może obejdzie się zupełnie, ale tego teraz z pewnością powiedzieć nie można jeszcze.

--- Ach, ta niepewność jest zabijająca! --- rzekła dama i rzuciła się znękana w krzesło.

Po chwili odezwała się znowu błagalnym głosem:

--- Doktorze, użyj całej twojej sztuki, gorliwości, pracy, byle ono żyło. Wynagrodzę hojnie; bo to dziecko jest wszystkim teraz dla mnie. Zapłacę, ile będziecie chcieli, tylko niech ono żyje, musi żyć!

--- I bez tej obietnicy --- rzekł z cierpką ironią doktor --- będziemy go ratować, o ile to w naszej mocy. A tam, gdzie możność ustaje, nawet obietnica pani, choćby największa, nic nie pomoże. Nie wszystko można kupić.

Ostatnie słowa powiedział z naciskiem, patrząc z surową powagą w twarz damy. Ale ta nie uważała tego wcale; uwaga jej zwróciła się znowu cała na śpiące dziecko. Parę razy przez noc zrywało się ono w duszącym kaszlu i wtedy wyciągało ręce i zwracało oczy do doktora, nauczone już doświadczeniem, że pomoc jego była skuteczną. Doktor brał je w objęcia i przyciskając silnie do piersi, szarpane gwałtownym kaszlem uspokajał. Po każdym takim ataku następował sen. Ostatni raz dziecko usnęło na rękach doktora i upadło na poduszki tak, że przygniotło sobą jego ręce. Ażeby go nie obudzić, doktor nie wyjmował rąk i pozostał tak czas jakiś, przyklęknąwszy przy jego łóżku. W twarzy jego było tyle miłości, troskliwego zajęcia się śpiącą dzieciną, delikatności i starania w obchodzeniu się z nią, że matka, patrząc na to, nabierała ufności, iż taki lekarz z pewnością uratuje jej dziecko. Troskliwość jego chwyciła ją za serce i przejęła wdzięcznością, która przebijała się przez jej twarz dumną i chłodną, jak światło przez marmurową powłokę. Doktor wyczytał to na niej, gdy wysunąwszy delikatnie spod ciałka dzieciny ścierpnięte ręce, powstał i spojrzał na nią. Wzrok sympatyczny, jakim w tej chwili na niego spojrzała, zarumienił go.

--- Pan musisz być także ojcem? --- spytała dama.

--- Nie pani, nie jestem nim i wątpię, czy kiedykolwiek będę mógł cieszyć się tym szczęściem, jakie daje pożycie rodzinne --- rzekł głosem, w którym czuć było wzruszenie i smutek.

--- Cóż panu każe tak wątpić?

--- Żona moja.

--- Pan masz żonę?

--- Mam i nie mam.

--- To znaczy, że żona pańska żyje, ale nie żyjecie ze sobą.

--- Tak; nie żyliśmy nigdy.

--- Jak to? Nigdy? --- spytała dama, podnosząc zdziwione oczy na mówiącego.

--- Rozłączyliśmy się zaraz po ślubie.

--- Dlaczego więc pobraliście się?

--- Ona tak chciała.

--- A pan zdecydowałeś się na to, nie kochając jej?

--- Owszem, zdecydowałem się dlatego, że ją kochałem, ubóstwiałem! --- rzekł z zachwytem.

--- Więc dlaczegóż rozłączyliście się? To nie do uwierzenia.

--- Prawda, że to trudno pojąć, a jednak tak się stało. Ona była wysokiego rodu. Duma nie pozwoliła jej żyć ze mną.

--- Dlaczegóż więc poszła za pana?

--- Potrzebowała mego nazwiska.

Na te słowa dama ruszyła się niespokojnie na krześle, jakby ją coś zakłuło. Wstała i przeszła się po pokoju, by doktor nie zobaczył na jej twarzy pomieszania. Doktor patrzał za nią wzrokiem rozgorączkowanym i mówił dalej:

--- O nazwisko chodziło jej tylko, resztę odrzuciła, jak się rzuca pestkę brzoskwini, bez żalu i żadnego względu. A jednak ta reszta miała duszę, miała swoje pragnienia, miała prawo do szczęścia, do życia, nie zważano na to.

Dama słuchała słów doktora z widocznym niezadowoleniem, co zdradzały zaciśnięte usta i zmarszczone brwi. Zdawała się być obrażoną zbytnią poufałością doktora, którą sama wywołała swymi pytaniami, i dlatego, chcąc przerwać rozmowę niemiłą, odezwała się ze sztywną sprzecznością.

--- Nie chcę wdzierać się w tajemnice pańskie; za mało znam pana, aby mnie to obchodzić co mogło.

Chłód tych słów ostudził doktora. Umilkł, ale spojrzenie, jakie rzucił na damę w tej chwili, wypowiadało wyraźnie jego oburzenie i pogardliwą dumę. Miał taką minę, jak ten, co mając prawo zabić w pojedynku rozbrojonego przeciwnika, rzuca wspaniałomyślnie broń na ziemię i gardząc, przebacza.

Dama nie widziała tej gry uczuć na twarzy doktora; uwaga jej zajęta była własnymi myślami, które, wnosząc z zachmurzonego i przykrego wyrazu twarzy, musiały być niewesołe i tak ją zajęły, że na chwilę zapomniała o chorym dziecku. Chód jej był niespokojny, w ruchach znać było rozdrażnienie.

W takim stanie zastał ją jej ojciec, który nad ranem wszedł do pokoju.

Był to mężczyzna średniego wzrostu, nieco otyły, o twarzy imponującej i pewnej siebie, a przy tym dystyngowanej, szpakowaty już mocno, ale jeszcze pełen życia, lubo w tej chwili wczesne wstanie i turecki szlafrok rozleniwiły go nieco i zrobiły ociężałym. Ujrzawszy córkę, chodzącą w zupełnym ubraniu po pokoju, zdziwił się nieprzyjemnie i odezwał się: --- Ty nie śpisz?

--- Niedawno wstałam, ojcze.

--- Powiedz raczej: nie kładłam się. To ubranie cię zdradza.

--- Nie rozbierałam się.

--- I czemu? Czyż nie masz się kim wyręczyć? Jak ty wyglądasz! Jak cień; twarz bledsza od opłatka. Niedobre dziecko. W zbytniej troskliwości o dziecię twoje zapominasz całkiem o sobie. Chcąc ratować twoje dziecko, niszczysz moje, a ja na to pozwolić nie mogę.

--- Niepewność więcej mnie męczy niż czuwanie. Wziął ją za rękę i gładząc po włosach, prosił:

--- Idź do siebie, odpocznij, prześpij się trochę, ja będę czuwał przy Jasiu.

To rzekłszy, odprowadził ją ku drzwiom jej pokoju. Pozwoliła odprowadzić się, była bowiem w istocie znużona nocnym czuwaniem i bezsilna. W drzwiach zatrzymała się i rzekła:

--- Ale mię obudzisz przed odejściem doktora?

--- Dobrze, dobrze.

Gdy się drzwi za nią zamknęły, wrócił do łóżka chorego dziecka. Ujrzawszy doktora, którego twarz dość wyraźnie oświetlona była światłem lampy, zatrzymał się osłupiały i zmienionym głosem odezwał się:

--- Antoni!

Doktor powstał i ukłonił się poważnie.

--- Co tu robisz?

--- Pilnuję twego wnuka, panie pułkowniku.

--- I Jadwiga pozwoliła na to? --- spytał pułkownik z rosnącym zdziwieniem, do którego przymieszało się zakłopotanie i niepokój.

--- Córka pańska nie wie, kto jestem, nie poznała mnie.

--- Jaki miałeś cel, wchodząc w nasz dom podstępem? Wszak przysiągłeś nie znać nas, unikać.

--- I nie szukałem was --- odrzekł doktor z godnością i urażoną dumą. --- Wszedłem tu jako doktor, nie wiedząc wcale kogo zastanę. Przypadek, a raczej dziwne zrządzenie zrobiły, że połączyły znowu tych, których wola ludzka rozłączyć chciała.

--- Więc pan chcesz --- zaczął pułkownik, ale mu doktor żywo i dość gwałtownie przerwał słowami:

--- Ja niczego nie chcę, niczego nie żądam, choćbym miał prawo ku temu, ale sądziłem, że pan, panie pułkowniku, trochę inaczej przywitasz mnie, że ty i twoja córka będziecie względniejsi dla człowieka, któremu skrzywiliście życie całe.

Pułkownika zawstydził ten delikatny wyrzut. Wyciągnął rękę do doktora i rzekł:

--- Daruj mi doktorze, źle się znalazłem. Wiem, że ci wiele winni jesteśmy, ale właśnie dlatego spotkanie nasze stawia mnie w przykrym położeniu, bo przypomina mi to, o czym chciałbym zapomnieć. Szczególnie idzie mi tu o Jadwinię; jej oszczędzać trzeba.

--- Będę umiał zachować się tak, aby się niczego nie domyśliła, i skoro tylko uratuję jej syna, nie pokażę się więcej w waszym domu. Wszak w ten sposób możesz pozwolić pułkowniku zemścić się? --- spytał ze smutnym uśmiechem doktor.

--- Zemsta szlachetna, która nas jeszcze więcej upokorzy --- rzekł pułkownik zakłopotany i kręcił niespokojnie wąsa, co oznaczało u niego niezadowolenie lub namysł i niepewność. Po chwili, jakby sobie coś przypomniał, podniósł głowę w górę i spojrzawszy bystro w twarz doktora, spytał podejrzliwie:

--- Ale jak to się stało, że ani pan nie wiedziałeś, do kogo idziesz, ani Jadwiga nie dowiedziała się o pańskim nazwisku? Wszak doktor Hoffer musiał równie pana, jak i Jadwinię objaśnić w tym względzie, dać adres, list rekomendacyjny.

--- Doktor Hoffer sam mię tu przywiózł. Co zaś do córki pańskiej, ta nie mogła dowiedzieć się o moim istotnym nazwisku, bo go tu nikt nie zna.

--- Jak to?

--- Przebyłem studia uniwersyteckie pod nazwiskiem jednego z moich zmarłych kolegów. Miałem jego papiery, metrykę, co mi ułatwiło przemianę. Pożyczyłem nazwisko zmarłego, by nazwisko moje własne mogło umrzeć. Sądziłem, że to będzie wygodniej dla was i dla mnie.

--- Zacnie sobie postąpiłeś, panie Antoni --- rzekł pułkownik i żywo uścisnął dłoń doktora.

Czas jakiś rozmawiali jeszcze ze sobą. Pułkownik pytał doktora o koleje jego życia, zdawał się interesować szczegółami, które mu ten opowiadał, przynajmniej słuchał go z wielkim zajęciem.

Skoro już dzień biały się zrobił, doktor opuścił mieszkanie pułkownika, by odwiedzić innych swoich pacjentów. Odchodząc, zostawił swój adres, aby w razie niebezpiecznego pogorszenia się choroby wiedziano, gdzie go szukać.

Zaledwie drzwi za doktorem zamknęły się, weszła do pokoju żywym krokiem Jadwiga. Była bledszą niż przedtem i mocno wzburzoną. Zbliżyła się do ojca, przestraszonego tym jej nagłym zjawieniem się, wzięła go za rękę i spytała zniżonym, ale dosadnym głosem:

--- Więc to był on?

--- Skąd wiesz?

--- Słyszałam wszystko stamtąd --- rzekła, wskazując ręką na drzwi. --- Podsłuchiwałam, bo sądziłam, że będziecie rozmawiać o Jasiu. Chciałam wiedzieć prawdę. Tymczasem dowiedziałam się czegoś innego, dowiedziałam się, że stokroć większe nieszczęście zagrażało memu dziecku.

--- O jakim mówisz nieszczęściu?

--- Jak to? Nie domyślasz się ojcze, w jakim celu zakradł się w nasz dom?

--- Mówił, że nie wiedział, że nas tu zastanie.

--- I ty wierzysz temu, ojcze?

--- Dlaczegóż miałbym nie wierzyć? Jakiż miałby cel w tym?

--- Jaki? Zemścić się za mnie na moim dziecku, zabić je w sposób nie wzbroniony żadnym kodeksem.

--- Ależ Jadwiniu! --- upominał ją ojciec.

--- Czyż nie słyszałeś, ojcze, co mówił o swoim skrzywionym życiu, o prawach swoich? Zna swoją przewagę i zechce nas eksploatować albo mścić się.

--- A ja go o to nie posądzam --- odrzekł pułkownik ze stanowczością --- w głosie jego i spojrzeniu była szczerość, której wierzę.

--- A ja nie wierzę, a choćbym wierzyła nawet, to nie mogłabym się zgodzić, aby człowiek, który ma do nas urazę, który uważa się za pokrzywdzonego, przykładał nóż do gardła mego dziecka. Nigdy na to nie pozwolę; umarłabym ze strachu w takiej chwili, bo w doktorze musiałabym widzieć kata. Nie chcę, nie chcę --- powtarzała uparcie, . widząc, że ojciec chciał jej coś tłumaczyć --- nie dopuszczę go więcej do mego dziecka!

Od postanowienia tego nie dała się odwieść żadnymi perswazjami i zaraz uwiadomiła o tym doktora Hoffera, prosząc o innego asystenta.

Żądanie to zadziwiło i uraziło niemile starego doktora. Nie mógł odgadnąć przyczyny podobnego żądania i sądził, że mu to Paweł sam najlepiej wytłumaczy. Toteż spotkawszy się z nim w południe w gabinecie anatomicznym, spytał, co zaszło między nim a matką owego chorego dziecięcia, do którego zawiózł go wczoraj?

Pytanie to, tak niespodziewane, zmieszało Pawła. Doktor Hoffer nie mógł tego nie widzieć i dlatego, uderzając go poufale po ramieniu, rzekł z uśmiechem:

--- Młodość, płochość; widocznie mi coś przeskrobałeś chłopcze u młodej wdówki. Bo przecież nie mogę przypuścić, że co innego skłoniło ją do zażądania innego asystenta.

--- Jak to? Zażądała innego? --- spytał Paweł, a twarz jego spłonęła żywym rumieńcem. Był to rumieniec oburzenia.

Doktor Hoffer oddał mu list. Paweł wziął go pośpiesznie w drżące dłonie i czytał, a wzrok jego stawał się coraz groźniejszy i surowszy. Skończywszy czytać, zmiął list w dłoni i zagryzł wargi zębami.

--- I cóż ty na to? --- spytał doktor Hoffer --- czy nie domyślasz się przyczyny?

--- Nie --- odrzekł krótko Paweł, tonąc w ponurym zamyśleniu.

--- Może byłeś zanadto poufały; Polki nie lubią tego, bo nie wiem, czy wiesz, że ona Polka.

A kobiety z tego kraju są dumne i nieprzystępne; nie mogą zapomnieć, że każdy z ich mężów kiedyś miał prawo zostać królem.

I po królewsku głowy noszą do góry.

--- Być może, że byłem za śmiały --- wyszeptał z przymusem Paweł, chcąc uniknąć dalszych pytań profesora, i niedługo potem wyszedł z gabinetu.

Wrócił do siebie wzburzony i rozgorączkowany. Czyn Jadwigi wydawał mu się tak niegodnym, że nie mógł uwierzyć, aby zdolną była do czegoś podobnego, i wolał przypuścić, że to stało się pod wpływem pułkownika, że on, odsłaniając przed Jadwigą jego incognito, przedstawił go w złym świetle i przez to skłonił do takiego postępowania. Musiał uwierzyć w taki domysł, nie chcąc posądzać Jadwigi o niewdzięczność i złe serce. Pod tym wrażeniem usiadł i napisał list do pułkownika w tych słowach:

Panie pułkowniku!

Ktoś zdradził tajemnicę naszą. Dwóch nas tylko o niej wiedziało; mam więc wszelkie prawo przypuszczać, żeś pan to uczynił. W jakim zamiarze i w jaki sposób, nie wiem, że jednak w niebardzo korzystnym dla mnie, to widzę po skutkach. List córki pańskiej do doktora Hoffera pokazuje, że wie, kto jestem, ale dlaczego wskutek tego zamyka przede mną drzwi swojego domu, tego zrozumieć nie mogę, chyba muszę przypuścić, że pułkownik przedstawiłeś mnie w taki sposób, który usprawiedliwia to oburzające postępowanie córki pańskiej, a w takim razie godność moja nie pozwala mi zostawić tak tej sprawy. Potrzebuję koniecznie widzieć się i rozmówić z moją żoną; chcę się naocznie przekonać, które z was dwojga więcej zawiniło względem mnie, chcę wiedzieć, do jakiego stopnia kobieta w obronie urojonej herbowej dumy umie zaprzeć się uczuć ludzkich? To przekonanie będzie może lekarstwem skutecznym dla mnie. Proszę więc o to, proszę bardzo, choć miałbym prawo żądać --- bo jako mąż mógłbym zmusić żonę moją do powrotu do domu mego. Nie chcę korzystać z tego prawa, przypominam je tylko, aby cię panie pułkowniku zrobić powolniejszym do zadośćuczynienia mojej prośbie. Wybacz mi ten ton ostry. Dotkliwe postępowanie wasze ze mną powinno mię usprawiedliwić. Nie umiem być łagodnym, boście nadużyli łagodności mojej. Czekam na odpowiedź.

Tu podpisał swoje przybrane nazwisko:

Paweł Szczerba.

List ten, włożywszy w kopertę, wysłał przez swego służącego do hotelu i oczekiwał z bijącym sercem

odpowiedzi. Służący jednak bez niej powrócił.

--- Dlaczego? --- spytał doktor.

--- Kazano mi powiedzieć, że odpowiedź będzie później posłaną.

--- Kto ci to mówił?

--- Jakiś pan niemłody.

--- Czy on odebrał list? On sam?

--- Nie, odebrała służąca i zaniosła pani. Ten pan dopiero później nadszedł.

--- Więc wie o moim liście i czytała go pewnie --- powiedział sobie w duszy doktor i to go uspokoiło nieco. Wierzył, że Jadwiga w tej sprawie jest najmniej winną, że działała dotąd nie z własnego natchnienia, i był przekonany, że rozmowa wzajemna zbliży ich i pojedna.

--- Więc powiedziano ci --- spytał, zwracając się do służącego --- że odpowiedź będzie później?

--- Tak.

--- Adres mój wiedzą --- pomyślał sobie --- więc łatwo im będzie odpowiedzieć.

W tej nadziei czekał dzień jeden, drugi, trzeci. Zwłokę tłumaczył sobie chorobą dziecka. Być może, iż mu się pogorszyło. Miał ochotę zapytać o to Hoffera, ale nie śmiał. Nie chciał pytaniem takim poruszać drażliwej dla niego kwestii i dawać profesorowi pole do domysłów. Czekał więc cierpliwie znowu dni parę. Każdy szmer na schodach, każde skrzypnięcie drzwi działało jak iskra elektryczna na jego nerwy, zrywał się pełen oczekiwania i nadziei. Odpowiedzi nie było. Nareszcie po tygodniu zdecydował się sam iść i upomnieć się o odpowiedź, a raczej o widzenie się z Jadwigą. Oburzenie i gniew dodały mu odwagi.

Wszedłszy do hotelu, zapytał portiera, czy są w domu państwo Sikorscy, i nie czekając na odpowiedź, szedł dalej na schody. Ale portier zatrzymał go słowami:

--- Nie ma tego państwa.

--- Nie ma? --- spytał zdziwiony Paweł. --- Może pani sama jest w domu?

--- Nie ma ani pani, ani pana, wyjechali już.

--- Ależ to niepodobna; wszak z chorym dzieckiem puszczać się w drogę nie mogli.

--- Dziecko przed trzema dniami umarło.

--- Umarło --- powtórzył jak echo doktor i jak automat machinalnie zwrócił się do wyjścia. Myśl jego w tej chwili była gdzieś daleko.

XIII

Na drugi dzień po balu Luiza przygotowywała obrażoną minkę na przyjęcie Pawła. Układała sobie w głowie mnóstwo planów ukarania go za to, że nie był na balu i popsuł jej przez to całą zabawę; to chciała udawać, że to ją nic nie obeszło, że nawet nie uważała jego nieobecności, to znowu postanowiła się dąsać, nie mówić do niego, to robić mu wyrzuty i dać porządną burę; a że nie umiała zachować sekretu i zwykła była myśleć głośno, więc z planów swoich wyspowiadała się przed matką i siostrą. One obie wiedziały dobrze, dlaczego Paweł nie był na balu, Adolf bowiem powtórzył im rozmowę, jaką miał z nim przed balem, ale żadna z nich nie miała odwagi odsłonić smutnej prawdy przed dziewczęciem i zimną refleksją dmuchnąć na rozkwitające pierwiosnki uczuć. Słuchały więc z pobłażliwą cierpliwością i udaną wesołością ptaszka, nie wiedząc, co ją za smutne czeka rozczarowanie.

Paweł przez kilka dni nie pokazywał się wcale w ich domu. Luizie przyszło na myśl, że może jest chory i że może dla tego samego powodu nie mógł być na balu, i poczęła wyrzucać sobie, że go zbyt pośpiesznie może posądzała o niegrzeczność. Już nie myślała go teraz karać ani wyrzucać mu niczego, byle tylko był zdrów i przyszedł do nich. Ale po kilku dniach dowiedziała się od ojca, że Paweł wcale nie jest chory. To poplątało jej domysły. Teraz już nie wiedziała, jak tłumaczyć sobie to, że u nich tak dawno nie był. Ojciec objaśnił jej to po swojemu, że Paweł zajęty zapewne bardzo praktyką i przygotowywaniem się do egzaminu na fizyka miejskiego. Ale to Luizy nie przekonało wcale, bo zdawało się jej, że przy największym zajęciu mo żna przecież znaleźć trochę czasu dla odwiedzenia dobrych znajomych. Co ją najwięcej dziwiło, to to, że nikt w domu, ani siostra, ani matka, ani Adolf nie dziwili się wcale temu, że Paweł tak dawno u nich nie był, i starali się różnymi powodami wytłumaczyć jej tę nieobecność. To się jej w głowie pomieścić nie mogło. Wszyscy go przecież tak lubili, tak byli przyzwyczajeni do jego częstych wizyt, tak często mówiono o nim, a teraz nikt nie wspomniał nawet jego nazwiska, unikano wyraźnie rozmowy o nim. W tym milczeniu upatrywała wreszcie jakąś tajemnicę, którą starano się ukryć przed nią. Domysły te tym większej nabrały pewności, gdy na kilka dni przed imieninami matki, na zapytanie jej, czy Paweł wie o tych imieninach i czy będzie na wieczorze u nich, siostra odpowiedziała jej wymijająco i niepewnie. Tu już nie mogła wątpić, że coś ważnego zajść musiało, skoro wątpiono, czy Paweł będzie na uroczystości familijnej, on, co należał prawie do rodziny.

--- Jak to? Paweł by nie był? --- spytała zdziwiona Emilii. --- Trzeba go będzie koniecznie zaprosić.

--- Ależ, moja droga, nie wypada ciągnąć kogoś gwałtem do domu, gdy sam nie chce.

--- Nie chce? Więc on sam nie chce?

--- Tego nie wiem; być może, iż będzie, jeżeli będzie miał ochotę.

Luiza jednak nie chciała spuszczać się na taką niepewną nadzieję i postanowiła w sekrecie przed wszystkimi zaprosić Pawła na imieniny matki. Liścik był krótki. Donosiła w nim o imieninach i dodała życzenie, że byłoby jej miło widzieć go tego wieczora u siebie. Wymówki i burę schowała aż do widzenia się z nim; by go nie odstraszyć. Napisawszy bilecik, złożyła go i wsunęła w kopertę. Serduszko jej mocno biło przy tej czynności, pierwszy to bowiem raz odważyła się robić coś w sekrecie przed matką i siostrą. Ta tajemniczość niepokoiła ją trochę, ale miała zarazem dla niej pewien urok. Z zapłonioną i uśmiechniętą twarzyczką zapieczętowała list, który miał jej sprowadzić Pawła, nie wątpiła bowiem, że przyjdzie, a ta nadzieja iskierkami świeciła w jej żywych oczkach. Gdy jednak przyszło jej pisać adres, pokazało się, że nie wiedziała, gdzie Paweł mieszka. Trzeba było zapytać się o to ojca i to tak ostrożnie i zręcznie, aby się nie domyślił, dlaczego o to pyta. W tej dyplomatycznej misji wybrała się wieczorem do jego pokoju. Przebiegając przez salon, zobaczyła w nim matkę, Adolfa i siostrę, którzy za jej nadejściem niespodziewanym nagle przerwali rozmowę. To ją zastanowiło. Przeczucie szepnęło jej, że mówili o Pawle, i chciała się dowiedzieć, co mówić będą, gdy wyjdzie. Dlatego spiesznie przywitawszy Adolfa, oddaliła się z salonu, mówiąc, że ma interes do ojca. Nie poszła jednak do ojca, ale przymknąwszy drzwi od salonu zatrzymała się za nimi i przyłożyła uszko do szpary. Nie omyliła się, mówiono o Pawle. Poznała to z pierwszych słów matki, która po jej odejściu odezwała się do Adolfa:

--- Powinieneś mu to wytłumaczyć, że bytność w naszym domu do niczego jeszcze go nie obowiązuje. Szczególniej w dniu tym, w którym wszyscy znajomi będą, nieobecność jego byłaby uderzającą, a szczególniej zdziwiłoby to Luizę.

--- Już mnie pytała o to --- wtrąciła Emilia.

--- Trudno by jej było to wytłumaczyć. Trzeba będzie całą smutną prawdę odsłonić przed biednym dziewczęciem.

Luiza słuchając tych słów zbladła i zatrzymała oddech. Dlaczego litowano się nad nią? Dlaczego matka nazwała ją biedną? Złe przeczucie ukłuło ją w serduszko. Emilia, kontynuując myśl matki, mówiła dalej:

--- Powinien bywać choćby rzadko, choćby dla świata, dla oczu ludzkich, a od jego postępowania zależeć będzie wyperswadowanie Luizie, aby się nie łudziła daremnie. Jestem przekonaną, że będzie miał na tyle taktu i sprytu, by naprawić to zło, które zrobił.

--- Niesłusznie go obwiniasz, Emilio --- rzekła matka. --- Postępowanie jego z Luizą było zawsze oględne; że młoda dziewczyna nim się zajęła, nie jego wina.

--- Tak; to człowiek uczciwy i z charakterem --- rzekł Adolf.

--- Jakiż jest powód jego wstrętu do Luizy? --- spytała znowu Emilia.

--- Wstrętu nie ma, owszem, wyrażał się zawsze z wielką życzliwością i sympatią o niej.

--- A jednak nie chce jej.

--- Jest to dla mnie niewytłumaczone.

--- Łatwo sobie wytłumaczyć, kocha inną.

--- Wątpię; nie bywa nigdzie.

--- Czyż koniecznie ma się kochać tutaj? Może zostawił kogoś w swoim kraju.

--- W takim razie pisywałby, dostawałby listy; wiedziałbym o tym, bo przecież kilka lat mieszkaliśmy razem. Nigdy nie odbierał żadnych listów, ale to żadnych, tak że to zwróciło nawet moją uwagę. Gdym mu raz wypowiedział moje zdziwienie z tego powodu, odpowiedział mi ze smutnym uśmiechem:

--- Znasz podanie o tych ludziach, co powstawali z kamieni, rzucanych przez Deukaliona? Otóż ja jestem jeden z takich. Rzucono mnie w świat bez rodziny, bez przeszłości; jestem sam, jak ci ludzie z kamienia, tylko serce mam niekamienne.

--- A ja bym i to przypuściła, bo jeżeli gardzi miłością takiego dziewczęcia jak Luiza, to nie musi grzeszyć zbytnią miękkością serca.

--- Ostro go sądzisz, Emilio.

--- Bo mam żal do niego za Luizę.

--- Inaczej byś go sądziła, gdybyś była słyszała, z jakim smutkiem wyrzekał się tego szczęścia.

--- I jakże ci mówił o tym? --- spytała matka.

--- Mówił, że przez wdzięczność za tę życzliwość, jakiej doznał od was, gotów by był największe poświęcenie, ale mężem Luizy być nie może. A gdy się spytałem, czy kocha inną, czy ma jakie zobowiązania, odpowiedział krótko: być może, i prosił ze łzami prawie, bym go nie pytał o nic więcej.

--- A więc kocha inną --- odezwała się znowu Emilia --- wszak sam się przyznał.

--- A jednak mówił mi także, że jest sam, że nie ma nikogo na świecie. Jakże to pogodzić? Trzeba by chyba przypuścić jaką nieszczęśliwą miłość, która go złamała.

--- Tym bardziej zasługuje na nasze współczucie i szacunek --- rzekła matka --- dlatego powinieneś go zaprosić i uspokoić jego obawy względem naszych zamiarów. Nie wymagamy od niego nic, tylko żeby nam pomógł wyleczyć Luizę z tej nieszczęśliwej miłości.

--- Jutro będę chciał z nim się widzieć i powiem mu to.

Całej tej rozmowy Luiza wysłuchała do końca, nie chciała stracić ani jednego słówka. Gdy zaczęto mówić o czym innym, odeszła od drzwi, ale niedaleko zajść mogła. Zawróciło się jej w głowie i musiała się chwycić poręczy stolika, aby nie upaść. Usiadła i długi czas przesiedziała tak w ciemnym pokoju, mając twarzyczkę ukrytą w dłoniach. Ruch w salonie ocucił ją z tego odrętwienia, wstała prędko i wyszła, by nie zobaczono jej tutaj. Nie poszła już do pokoju ojca, ale przez sień przeszła do siebie. List zapieczętowany leżał na stole. Wzięła go w rękę, zapaliła od świecy i wrzuciła do popielnika. Oparłszy główkę i rękę o ścianę, przypatrywała się w milczeniu, jak ogień niszczył jej litery, jak wyrazy gięły się, wykrzywiały, a papier przemieniał się w zwęglałe warstewki, których iskierki przelatywały i ginęły. Tak była zamyślona, że nie słyszała wejścia siostry.

--- A ty co robisz? --- spytała ją Emilia, widząc wpatrującą się w popielnik.

Niespodziewane zapytanie przestraszyło ją, ale wnet wróciła do spokojnej powagi i odrzekła, przymuszając się do uśmiechu:

--- Wróżyłam sobie.

--- A to jak? Z popiołu?

--- Nie; wzięłam kawałek zapisanego papieru, zapaliłam i pomyślałam sobie: jeżeli ten papier spali się całkiem, to ja nigdy nie pójdę za mąż.

--- Oryginalna wróżba; i nie spalił się? --- Owszem, do ostatniego proszku.

--- Dziecinna jesteś z twoimi wróżbami. Zapaliłaś papier i chciałaś, żeby się nie spalił. To się na tysiąc razy nie przytrafi.

--- Toteż ja umyślnie wybrałam tak trudną wróżbę, bo ja nie wróżyłam sobie na byle jakie małżeństwo. Moje marzenia były niepodobieństwem prawie i dlatego też mi nie wyszło.

--- I to cię tak zasmuciło i zrobiło poważną? Wstydź się, jesteś zabobonną.

--- Zabobonną jestem, ale to mię nie zasmuciło wcale, że nie pójdę za mąż. Czy to tak źle być starą panną? Można do końca życia spodziewać się czegoś, czego pragniemy, mieć nadzieję, że ten, którego kochamy, będzie mógł kiedyś ożenić się z nami. To stokroć przyjemniej, niż iść za mąż za człowieka, którego kochać nie można.

--- Skądże ci dziś takie myśli przyszły do głowy?

--- Z tego papieru --- rzekła poważnie Luiza, wskazując na zetlały papier.

Siostra nie pytała się już więcej, nie chcąc poruszać drażliwego tematu, który mógłby był sprowadzić znowu rozmowę na Pawła, czego się obawiała, wiedząc, jak Luiza lubiła o nim mówić. Ale nad jej spodziewanie ani tego wieczora, ani przez kilka dni następnych Luiza ani razu nie wspomniała Pawła. Dziwiło to matkę i Emilię, szczególniej gdy zauważyły przy tym, że zmizerniała i spoważniała.

Nadszedł nareszcie dzień imienin. Paweł był w południe z wizytą. Luiza przywitała go spokojnie, nie pytała wcale, dlaczego nie był u nich tak długo, nie dotykała całkiem tego przedmiotu i rozmawiała z nim tak, jakby wczoraj dopiero był u nich. Parę razy nawet uśmiechała się wesoło. Kto by jednak uważniej był się jej przypatrzył, byłby zauważył pewien bolesny przymus, jaki sobie zadawała, usiłując być wesołą.

Paweł zabawił krótko i usunął się za przybyciem innych gości. Zaproszono go na wieczór. Przybył z Adolfem,

stosując się do życzenia pani Hoffer. Odnośnie do tego, zachował się względem Luizy grzecznie, ale zimno. Zaledwie kilka słów przemówił do niej na powitanie, a potem unikał zejścia się z nią przez cały wieczór. Zrobiwszy to, co uważał za konieczne dla oczu ludzkich, to jest że pokazał się na wieczorze, chciał przed kolacją opuścić towarzystwo. Przysunął się więc nieznacznie do okna, gdzie leżał jego kapelusz, i wziąwszy go, niby bawiąc się nim, przechadzając po salonie, zmierzał powoli ku wyjściu. Już był blisko drzwi, gdy spotkał się z Luizą. Zdawało mu się, że była bardzo blada. Spojrzała badawczo na niego, na kapelusz i rzekła: --- Pan już odchodzi?

Pytanie to zmieszało go, nie wiedział, co odpowiedzieć.

--- Czy panu tak przykrym jest pobyt w naszym domu?

--- O, pani, jak można myśleć coś podobnego?! Mam jednak zajęcia...

--- W nocy?

--- I w nocy pracować muszę, bo dzień zajmują mi pacjenci.

--- Gdybym jednak chciała zaliczyć się do pańskich pacjentów i prosiła pana o poradę lekarską, czy odmówiłbyś mi pan?

--- Byłbym na usługi pani.

--- Niech się więc panu zdaje, że jestem chora, i poświęć mi pan trochę czasu.

Weszła do salonu, zapraszając go spojrzeniem, by szedł za nią. W twarzy jej była smutna, ostra jakaś powaga i stanowczość, której nigdy przedtem u niej nie widział. Ten niezwykły nastrój budził w nim pewną obawę; przeczuwał, że zamyśla coś ważnego.

--- Usiądźmy --- rzekła, siadając na krześle w kącie salonu i wskazując mu miejsce obok siebie.

Usiadł posłusznie.

--- Odłóż pan kapelusz na bok, bo z nim masz pan minę człowieka, który chce odchodzić, a to mi sprawia niepokój. Ja chciałabym spokojnie, swobodnie pomówić z panem.

--- Słucham panią --- rzekł Paweł, odkładając kapelusz na stronę.

--- Powiedz mi pan --- odezwała się, przymknąwszy powiekami oczy --- ale powiedz mi pan szczerze, dlaczego przestałeś bywać w naszym domu?--- Przygotowuję się do egzaminów.

Luiza ruszyła się niecierpliwie na krześle, otwarła oczy i spojrzała bystro, z pewnym nawet wyrzutem na niego.

--- I dla tego samego powodu --- rzekła żywo --- unikałeś pan dzisiejszej ze mną rozmowy, co? Po cóż takie wymówki? Ja prosiłam pana o szczerość. Trudno panu powiedzieć, co chciałbyś? Mów pan, ja ci pomogę; boisz się pan, bym życzliwości twojej nie wzięła za coś więcej, prawda?

--- Posądzasz mnie pani o zarozumiałość?

--- Nie mogę o to pana posądzać, bo pan nie dorozumiałeś się sam tego, że...

Tu zarumieniła się i zawahała, nie wiedząc jak się wyrazić, ale wnet przemogła się i rzekła:

--- No, że pana kocham; pan się tego nie domyśliłeś, panu to powiedziano.

--- Jeżeli pani wiesz o wszystkim, musisz także wiedzieć, jakie powody skłaniają mnie do takiego postępowania, jakiego się trzymam obecnie.

--- Mówiono mi o jakichś zobowiązaniach, które pan masz dla kogoś. Szanuję je i nie chcę pana odwodzić od nich; nie chcę nic od pana, nic, tylko żebyś pan bywał u nas, żebym czasem mogła porozmawiać z panem jak z przyjacielem, bratem; ja nic więcej nie chcę od pana. Czy możesz mi pan zrobić tę łaskę? --- spytała głosem stłumionym, drżącym.

--- Zważ pani, jakby to świat uważał, co by powiedziano na to?

--- Jeżeli ja nie będę uważać na to, cóż panu szkodzić może?

--- Rodzice pani również inaczej by to sobie tłumaczyli.

--- Uprzedzę ich, że wyprosiłam sobie u pana nic więcej, tylko przyjaźń. Będziesz pan moim najlepszym przyjacielem, doradcą --- nawet gdybyś mi pan doradzał iść za mąż --- dodała ze smutnym uśmiechem --- poszłabym za tego, którego byś mi pan wyznaczył, pod warunkiem jednak, żebyś nie rozrywał węzła naszej przyjaźni. Czy zgadzasz się, pan na to? Ja nie żądam wiele; raz na tydzień, raz na tydzień parę godzin darujesz mi, dobrze?

--- Dobrze --- odrzekł Paweł, patrząc ze współczuciem na biedną dziewczynę, która z taką pokorą wpraszała się do jego przyjaźni. Nie kochał jej, a jednak w tej chwili cierpiał, że za takie przywiązanie nie może jej odpłacić czymś więcej jak przyjaźnią.

--- A teraz uwalniam pana. Nie chcę go zbyt męczyć na początek, byś się pan nie przestraszył i nie uciekł --- mówiła dalej, żartując trochę. --- Byłoby mi jednak przyjemnie bardzo, gdybyś pan mógł zostać, dopóki nie wstaniemy od kolacji.

Gdy domawiała tych słów, stara Hofferowa weszła do salonu, szukając jej właśnie. Ujrzawszy rozmawiającą z Pawłem, chciała przejść, nie przeszkadzając im, ale Luiza zatrzymała ją, podbiegłszy ku niej pocałowała ją w rękę i rzekła z twarzą na pozór żartobliwą, wskazując na Pawła:

--- No, mamo, powinszuj mi; zawarłam z panem Pawłem przymierze.

--- Cóż to będzie za figiel? --- spytała matka, ciesząc się dobrym humorem córki.

--- To nie figiel, mateczko, to prawdziwe przymierze, przymierze przyjaźni. Jest to wprawdzie mniej, niż chciałam, ale zawsze więcej, niż dawał pan Paweł, dlatego nie wahałam się przyjąć.

--- Luizo, co ty mówisz? --- upominała łagodnie matka, słysząc ją tak swobodnie mówiącą. Nie dostrzegła,

że w swobodzie tej była nienaturalność i gorączka.

--- Jak to? Nie rozumiesz mamo? Zwerbowałam pana Pawła do naszej rodziny --- na brata.

Ruch osób, idących do kolacji, przerwał tę dziwną rozmowę. Paweł podał ramię pani Hoffer.

--- Co to ma znaczyć, co Luiza mówiła? --- spytała, idąc z nim do stołu.

--- To ma znaczyć, że nieporozumienie wyjaśnione i zostaniemy z panną Luizą, jak dawniej, dobrymi przyjaciółmi.

--- Spodziewam się, że nie tylko z Luizą --- rzekła z dobrocią.

Paweł zamiast odpowiedzi pocałował ją w rękę.

Usiedli do stołu. Pani Hoffer między starszymi damami, Paweł przy końcu stołu. Luiza, ujrzawszy go siedzącego, ożywiła się, i przechodząc koło niego, szepnęła:

--- Dziękuję panu.

Od tego wieczoru Paweł bywał dość częstym gościem w domu państwa Hofferów i pomimo że bywał w innym charakterze niż przedtem, to jednak wkrótce wróciła dawna swoboda w tym kółku. Luiza odzyskała znowu wesołość i figlarność dziecięcą; żartowała i pustowała jak dawniej, może nawet więcej jeszcze; nieraz wpadała w szalony humor. Matka i Emilia cieszyły się bardzo z tego, że Luiza tak szczęśliwie przebyła kryzys miłosny, że umiała zadowolić się przyjaźnią Pawła. Ale Paweł innymi na to patrzał oczami; znając z poufnej rozmowy owego wieczoru imieninowego lepiej niż inni tajemnicę dziewczęcego serca, odczuwał łatwo bardzo fałszywy ton w jej wesołości, widział, że w obecności jego była w stanie nienaturalnym i gorączkowym; widział także to, czego domowi, jako ciągle przebywający z Luizą, nie uważali, że twarzyczka jej co dzień mizerniejsza, że kosteczki na rękach coraz wyraziściej występowały. To odkrycie zaniepokoiło go. Nie mógł wątpić, że Luiza żywi dla niego silniejsze uczucie niż to, do którego się wzajem zobowiązali; poznawał to po tych przelotnych, gorących, błyskawicznych spojrzeniach, które nieraz ukradkiem z boku rzucała na niego. Tajemniczy ich ogień przestraszał go; zdradzał chorobę duszy, która silnie oddziaływała na wątły organizm. Nieraz w krótkich przerwach między jednym żartem a drugim, wśród śmiechu i wesołości, twarz jej nagle zastygała w chwilowym zamyśleniu, rysy ostrzały i przybierały wyraz tragiczny; coś tam nurtowało w głębi duszy. Stan ten coraz się pogarszał.

Położenie Pawła stawało się coraz trudniejsze. Nie mogąc jej nic więcej ofiarować prócz chłodnej przyjaźni, czuł się dłużnikiem wobec niej, upokorzony był jej względami, jej miłością, na którą niczym nie zasługiwał, do której nie miał żadnego prawa, i, jako człowiek honoru, uważał każdą bytność swoją w domu Hoffera za rodzaj przestępstwa. Rad by był wyplątać się z tego męczącego stosunku, a nie miał odwagi. Litował się nad Luizą. Czasem znowu tłumaczył sobie, że mu się tylko tak zdaje, że to jego własne przywidzenia być muszą, skoro tego nikt prócz niego nie spostrzega. I tym się uspokajał. Ale Luiza sama wyprowadziła go z tego błędu.

Jednego dnia, gdy byli sami, wśród rozmowy o potocznych rzeczach, którą prowadziła z nim bez zapału i uwagi, wzięła go za rękę i patrząc mu w oczy owym gorącym wzrokiem, spytała:

--- Powiedz mi pan, czy tę, względem której masz owe zobowiązania, kochasz.

Paweł nie był przygotowany na to pytanie; zakłopotał się i nie wiedział, co odpowiedzieć.

--- Kochasz ją pan? --- dopytywała się gwałtownie, namiętnie, a ręka, którą trzymała jego rękę, była zimna jak lód. --- Wahasz się pan powiedzieć mi prawdę?

--- Dlaczego pani chcesz to wiedzieć? --- spytał Paweł mierząc ją badawczym spojrzeniem.

Teraz Luiza się zmieszała. Wnet jednak zamaskowała pomieszanie jałowym uśmiechem i rzekła:

--- Prosta ciekawość kobieca.

--- I dla zaspokojenia tej ciekawości poruszasz pani zabliźnione rany mego serca?

--- Więc nie ciekawość, ale przyjaźń pyta --- rzekła poważnie. --- Pan kochasz?

--- Nie --- odrzekł Paweł ze stanowczością. Słowo to jak iskra elektryczna wstrząsnęło nią.

Pochwyciła jego rękę i przycisnęła ją do rozpalonych ust swoich.

--- Co pani robisz? --- spytał zmieszany Paweł. Spuściła przed nim oczy, zarumieniona cała i nic nie odpowiedziała.

Wychodząc tego wieczoru z domu Hoffera, Paweł postanowił nie przychodzić tam więcej i dotrzymał słowa. Pod różnymi pozorami wymawiał się od odwiedzin. Ile razy Adolf przyszedł po niego, aby razem tam poszli, zawsze umiał wynaleźć sobie jakie zajęcie ważne; czasami, słysząc kroki jego na schodach, zamykał się, udając, że nie jest w domu. W ten sposób zdołał przez cały miesiąc uchronić się od bywania w domu Hofferów.

Luiza domyślała się, dlaczego, tylko źle wytłumaczyła sobie powód; to, co robił jako człowiek honorowy, przypisywała wstrętowi do niej, i ta myśl dręczyła ją i gryzła. Jeżeli dawniej wyglądała mizernie, to teraz formalnie w oczach nikła. Stary Hoffer ujrzawszy ją raz rano, przeląkł się jej widoku i spytał:

--- Co tobie jest Luizo? Tyś chora?

--- Nie --- odrzekła z przykrym uśmiechem. Wybadał ją, opukał i rzeczywiście nie znalazł żadnych zboczeń w organizmie, tylko bezkrwistość i brak sił. Sądził, że powietrze miejskie i brak ruchu spowodowały tę chorobę, i dlatego zalecił żonie, aby na parę miesięcy wyjechała do Eger, gdzie miała siostrę za dyrektorem kopalni.

--- Na świeżym powietrzu --- mówił --- Luiza przyjdzie do siebie.

--- Daj Boże! Ale mnie się zdaje, że ją co innego lepiej by uzdrowiło. Ona się martwi i to rujnuje jej zdrowie.

--- Martwi się? A to co? Czy jej jest źle? Czy jej odmawiamy czego?

--- Są jednak rzeczy, których jej dać nie możemy. Biedaczka kocha się.

--- W kim?

--- W Pawle.

--- Czy Paweł wie o tym?

--- Wie i dlatego prawdopodobnie przestał u nas bywać.

Starego zasmuciła ta wiadomość.

--- Czyż mówiła o tym z Pawłem?

--- Adolf mówił.

--- Jakiż daje powód odmowy?

--- Po cóż tu szukać powodów. Nie kocha jej, to wystarcza.

--- Wystarcza może u głów rozromansowanych, lekkich, ale nie u człowieka prawego, z charakterem. Znam Pawła, wiem, że on nie pozwoliłby, żeby moje dziecko przez niego cierpieć miało.

--- Skoro jej nie kocha --- odezwała się znowu matka.

--- Kocha, kocha! Ileż to małżeństw pobiera się bez miłości i żyją potem najszczęśliwiej w świecie. Szacunek obopólny, poczucie obowiązków to grunt. Miłość później się znajdzie. Paweł, jako człowiek na serio, zrozumie mnie dobrze. Dlatego muszę sam, z nim pogadać o tym. Jestem pewny, że się porozumiemy. Nie jest to bardzo miło napraszać się kawalerowi z własną córką, ale cóż robić? Trzeba ratować dziewczynę.

Tego dnia jeszcze poszedł do Pawła pełen najlepszych nadziei. Za parę godzin powrócił do domu z twarzą zasępioną i smutną i rzekł do żony:

--- Trzeba będzie, żebyście wyjechały niezadługo do Eger.

Tak się też stało. W parę tygodni potem zaczęto się pakować do drogi. Matka z Emilią robiły te przygotowania; Luiza nie brała w tym żadnego udziału. Z obojętnością apatyczną przypatrywała się przygotowaniom do podróży; nie sprzeciwiała się wyjazdowi, ale nie pytała się, gdzie jadą i po co. Tak ją to mało obchodziło. Tylko dzień przed wyjazdem zażądała widzieć się koniecznie z Pawłem.

--- Muszę się z nim pożegnać --- rzekła. --- Bez tego nie wyjadę.

Posłano po niego, a raczej Adolf przywiózł go. Ujrzawszy wycieńczoną i bladą Luizę, Paweł nie umiał ukryć przykrego i bolesnego wrażenia, jakie jej widok na nim zrobił. Spostrzegła to i rzekła z bolesnym uśmiechem, wyciągając do niego chudą rękę.

--- Przestraszyłeś się pan mnie, nieprawda? Okropnie wyglądam. To brak ruchu i świeżego powietrza --- dodała z goryczą i ironią. --- Wieś ma mi pomóc. Obiecują mi, że wrócę utuczona i rumiana. Daj Boże. Do widzenia więc z panem!

Uśmiechnęła się znowu tym przykrym uśmiechem, który wykrzywiał jej usta, i podała mu rękę. Dotknął jej nieśmiało, bąknął niewyraźne życzenie powrotu do zdrowia i do Wiednia, i wyszedł.

--- Nie pocałował mnie nawet w rękę --- rzekła z westchnieniem --- muszę strasznie wyglądać, kiedy nawet nie chciał mnie w rękę pocałować.

Zażądała lusterka. Podano jej. Wpatrywała się w nie czas jakiś, potem odłożyła je na bok i rzekła:

--- Prawda, takiej jaką jestem, nie mógł pocałować, nie mógł --- powtórzyła z ciężkim westchnieniem.

Na drugi dzień rano wyjechały.

W niecałe dwa miesiące potem Paweł jednego dnia przyszedłszy do gabinetu anatomicznego, zastał doktora Hoffera mocno zajętego porządkowaniem papierów; przewracał je, odkładał, numerował, a wszystko to robił z gorączkowym pośpiechem i trochę nieprzytomnie.

--- Co profesor tak sortuje? --- spytał go Paweł, stanąwszy przy nim.

--- A, to ty? Porządkuję dla ciebie skrypta wykładowe. Będziesz mię musiał zastąpić przez kilka dni.

--- Czy profesor gdzie wyjeżdża?

--- Tak --- odrzekł krótko, a i to krótkie słowo z trudnością przeszło mu przez gardło i wyszło jakby łkanie. Paweł spojrzał na niego uważniej i teraz dopiero spostrzegł, że stary profesor trząsł się ze wzruszenia. Nie śmiał zapytać go o powód. Nagle oczy jego uderzyła kartka pogrzebowa, która leżała obok papierów. Przykre przeczucie ścisnęło mu serce i zaćmiło wzrok. Chwilę musiał przeczekać, zanim mógł na kartce wyczytać następujące słowa:

Luiza Hoffer, w ośmnastej wiośnie życia, po krótkiej a dolegliwej chorobie zasnęła w Panu.

--- Mam... muszę jechać --- mówił dalej Hoffer, siląc się wyrazy przecisnąć przez gardło --- bo... widzisz... Luiza...

Nie mógł dokończyć. Łzy pociekły sznurkiem po zmarszczonej twarzy i stary rozpłakał się na dobre. Nic boleśniejszego nad płacz mężczyzny.

Płacz ten tym boleśniejsze robił wrażenie na Pawle, że w nim czuł jakby skargę na siebie i wyrzut. Cierpiał okropnie z tego powodu.

Gdy wrócił do siebie tego dnia wieczorem, wydobył z biurka jakąś fotografię, owiniętą w zieloną woalkę. Czas jakiś jej się przypatrywał, a twarz jego przybrała wyraz ostry, pogardliwy i surowy. Zmiął fotografię w ręku i postąpiwszy parę kroków, rzucił ją w piec.

Była to fotografia Jadwigi.

XIV

W czasie, w którym rozgrywał się smutny dramat, opowiedziany w poprzednim rozdziale, Paweł był kilka razy wzywany do matki Janiny. Chora nie tyle potrzebowała jego rady lekarskiej, jak raczej chciała się przed nim wygadać ze swymi lamentami, bo pomimo że gderała ciągle na małego Józia, to na Janinę, a na tę najwięcej, to jednak było jej za mało jeszcze i wciąż narzekała, że nie ma do kogo słowa przemówić, użalić się na swoje cierpienia. Doktor, jako nowy słuchacz, był dla niej bardzo pożądanym; toteż przy lada sposobności wzywała go. Janina nie mogła odmówić tego matce, nie chcąc być posądzoną o nieczułość, o lekceważenie jej choroby, a z drugiej strony znowu żenowała się tak często fatygować doktora i nadużywać jego bezinteresownej pomocy. Paweł z kilku rozmów z nią domyślił się tego i ażeby uspokoić te jej delikatne skrupuły, zapewnił ją, że ma dosyć czasu wolnego, że mieszkając tak blisko, bez najmniejszej subiekcji wstępuje po drodze, a nawet dodał, że stan chorej wymaga rzeczywiście ciągłej opieki lekarskiej. Ta grzeczność jego stała się obowiązkiem, który mu wprawdzie ciążył trochę, ale od którego uwolnić się nie mógł przez wrodzoną delikatność; bał się bowiem, aby go nie posądzono, iż dlatego rzadko bywa, że mu nic nie płacą. Bywał więc często, parę razy na tydzień, a że chora miała zawsze z czymś poskarżyć się przed nim, więc wizyty przeciągały się nieraz z wielką stratą czasu dla doktora. Czasem musiał godzinę całą słuchać lamentów starej, co go nadzwyczaj męczyło. Jedyną osłodą tych przykrych chwil bywały krótkie rozmowy z Janiną. Były one bardzo krótkie, bo Janina była zwykle zajętą, i to bardzo, gospodarstwem, robotą, a jeżeli czasem na chwilę usiadła przy łóżku i chciała wziąć udział w rozmowie, matka wyprawiała ją po coś do kuchni, to do drugiego pokoju, tak przywykła była męczyć ją coraz nowymi żądaniami, skoro ją tylko widziała przy sobie. Doktor więc mógł z nią pomówić kilka słów zaledwie przy pożegnaniu lub gdy ją spotkał w przejściu czy to w sieni, czy na schodach. Krótkie te rozmowy miały dla niego pewien urok, szczególniej odkąd się dowiedział, że Janina jest Polką i mógł z nią rodzinnym mówić językiem. Dowiedział się o tym przypadkiem, słyszał raz, jak Janina mówiła do brata tym językiem. Zdziwił się bardzo przyjemnie tą niespodzianką i uważał za konieczne przyznać się, że i on rozumie ten język, że to jego język rodzinny. To ich zbliżyło do siebie. Dowiedział się przy tej sposobności, że ojciec jej był urzędnikiem w Galicji, że dłuższy czas mieszkali tamże, że matka jej jest Polką i dopiero od kilku lat mieszkają w Wiedniu. Kto zmuszony był przez dłuższy czas przebywać między obcymi, łamać sobie język nad obcymi wyrazami, myśleć przy tym swoim językiem, a tłumaczyć go na inny, w słowach krępować swobodę myśli stereotypowymi formułkami wyuczonymi za granicą, ten rozumie, jak pożądaną była dla Pawła teraz znajomość i rozmowa z rodziną Janiny, a szczególnie z nią samą. Rozmowa z nią sprawiała mu to samo wrażenie prawie, jakiego doznajemy, gdy w dusznym i ciemnym pokoju podniesiemy rolety i otworzymy okno. Przypływ światła i świeżego powietrza orzeźwia nas wtedy, czujemy przypływ życia i wesołości.

Sympatyczny głos Janiny stał się mu stokroć przyjemniejszym, odkąd nim w rodzinnej odzywała się mowie.

Tak więc powoli, powoli, coraz więcej przyzwyczajał się do jej towarzystwa, coraz częściej zaglądał do jej domu. Powód zawsze się znalazł: to przyniósł jej gazety, to książki, to wzory na kwiaty --- Janina zajmowała się wyrobem sztucznych kwiatów, co jej przynosiło pewien dochód, którym opędzała niektóre wydatki domowe --- to Józio zachorował na odrę, a matka Janiny także często go potrzebowała. W taki sposób wciągał się powoli w rodzinę i stał się jakoby jej członkiem.

W chwilach wolnych od zatrudnień, najmilej mu było tam czas przepędzać. Przyzwyczaił się do gderania starej, słuchał ją cierpliwie, bo nudy te nagradzała mu pogawędka z Janiną w godzinach wieczornych, gdy matka usypiała. Rozmawiali wtedy ze sobą. Paweł najczęściej coś czytał na głos, Janina robiła kwiaty, a mały Józio stawiał na papierze pierwsze niezgrabne litery.

Harmonię tę cichego życia psuła im tylko czasem obecność Augusta. Człowiek ten, płytki a zarozumiały i rażąco niedelikatny, był niemiłym dysonansem w tym kwartecie. Siedział zwykle nadęty, pewny siebie, podziwiając swoje różowe paznokcie, popisując się płaskim dowcipem, rezonując o wszystkim, bo miał pretensję znania się na wszystkim.

Ponieważ, według jego zdania, pieniądz był wszystkim, więc człowiek, który umiał robić pieniądze, stał wyżej od innych, i stąd z lekceważeniem traktował wszystkich i wszystko, co finansowo stało niżej od niego; uważał się za bardzo wykształconego i wartość ludzi sądził według grubości pugilaresu. To przeświadczenie nadawało mu arogancką pewność i złośliwą sarkastyczność, z którą się lubił popisywać. Pieniądz był dla niego Bogiem, a Heine prorokiem; toteż nawet wobec doktora, który chłodnym a taktownym obejściem trzymał go trochę na wodzy, starał się przybierać ton protekcyjny i przy każdej sposobności pokazać swoją wyższość.

Doktor mało zważał na to, więcej go obchodziło i bolało to, że August często wobec niego traktował Janinę lekceważąco i szorstko i nieraz w dotkliwy sposób dał jej uczuć, że łaskę jej robi, decydując się z nią ożenić. Ten brak delikatności oburzał go, zwłaszcza gdy po rumieńcach, jakimi wtedy oblewała się twarz Janiny, widział, że i ona to czuje, choć słowami nigdy nie dawała poznać tego, i owszem, nawet starała się zręcznie w żart obrócić lub zasłonić, o ile się dało, postępowanie narzeczonego przed nim. Toteż wszystkim było na rękę, skoro August na parę miesięcy wyjechał w interesach banku do Triestu. Odetchnęli swobodniej po jego odjeździe, a wieczorki nabrały większego jeszcze uroku.

Wieczorne te zebrania weszły w stały program codziennych zajęć Pawła i stały się tak dalece jego potrzebą, że gdy raz musiał wydalić się na kilka dni z Wiednia na wieś do chorego, czuł brak towarzystwa Janiny i tęsknotę za nią. To go zaniepokoiło i zaczął baczniej zastanawiać się nad stosunkiem swoim do Janiny, czy

przypadkiem nie stał się czymś więcej jak przyjaźnią. Ocenienie było trudne. Janina była obecnie jedyną kobietą, którą znał bliżej, nie miał więc żadnego porównania i nie mógł osądzić na ślepo, czy inna kobieta, z równą życzliwością jak Janina, nie dawałaby mu tego samego moralnego zadowolenia, jakiego doświadczał w jej towarzystwie. Ona mu zastępowała znajomych, przyjaciół i rodzinę, nic więc dziwnego, że przylgnął do niej, że mu źle było bez niej.

Ale to uczucie było ciche, beznamiętne i utrwalało go w przekonaniu, że to nie miłość. A choćby nawet była to miłość, choćby uczucia jego wybiegały za sferę przyjaźni, to któż o tym będzie wiedział? Znał dobrze swój charakter, wiedział, że nigdy nie odważyłby się zdradzić z takim uczuciem przed kobietą, która niezadługo miała zostać żoną drugiego. Było to dla niego wystarczającą przeszkodą, choćby nawet innych nie było. Mógł więc być spokojnym o siebie, a o Janinę także obawiać się nie potrzebował: wszakże była narzeczoną innego. Wprawdzie wśród tych refleksji przyszło mu na myśl, że może by lepiej było rzadziej bywać w domu Janiny, powoli odzwyczajać się od jej towarzystwa, i za powrotem do Wiednia próbował nawet wprowadzić to postanowienie w wykonanie; ale przekonał się, że to było niepodobnym. Nieobecność jego więcej zdziwiła Janinę niż częste bywanie i mogła dać pole do różnych domysłów. Musiał wynajdywać sztuczne sposoby usprawiedliwienia swojej niebytności i coraz to inne, aż wreszcie wszystkie się wyczerpały. Do tego jeszcze mały Józio utrudniał mu tę sprawę. Chłopiec ten nadzwyczaj przywiązał się do Pawła i pomimo wielkiego przywiązania, jakie miał do siostry, można było powiedzieć, że Pawła daleko więcej jeszcze lubił --- formalnie zakochał się w nim. Jego jednego słuchał najwięcej i gdy go nikt nie mógł poskromić nieraz w psotach, jakie broił, lub napędzić do książki, jedno słowo Pawła wystarczało i robiło go posłusznym. Częste bywanie Pawła jeszcze więcej rozbudziło w chłopcu to synowskie prawie przywiązanie. Nie mógł też długo obejść się bez niego i gdy go parę dni nie widział, biegał do jego mieszkania i gwałtem napierał się, by szedł do nich. Paweł oprzeć się nie mógł tym dziecięcym naleganiom i musiał porzucić myśl unikania towarzystwa Janiny i jej rodziny. Węzły znajomości coraz silniej się zaciskały, coraz więcej wspólnych łączyło ich ze sobą ogniw.

I matka Janiny przyzwyczaiła się do tych częstych odwiedzin Pawła i dłuższa nieobecność jego dziwną się jej wydawała.

Przywiązała się nawet do niego tym przywiązaniem, jakie mają pacjenci do doktorów, których pomoc była dla nich skuteczną. Idąc za jego poradą, przychodziła do zdrowia, czuła się nawet tak dobrze, że sobie przyobiecywała na wilię Bożego Narodzenia opuścić łóżko, na którym tyle miesięcy przeleżała. Na tę wilię był także Paweł zaproszony. Janina, prosząc go, usprawiedliwiła to zaproszenie tym, że bez niego byłoby nie do pary. Przyjść więc musiał koniecznie. Toteż stawił się punkt o szóstej według życzenia Janiny. Wieczór ten był odmienny od innych; wszyscy byli w uroczystym nastroju, więcej poważni niż zwykle. Matka Janiny ubrała się w popielatą, starą, jedwabną suknię i w czepek świeży z żółtymi wstążkami. Stroju tego od kilku lat nie miała na sobie; toteż wyglądała w nim niedobrze, jak w pożyczanym ubiorze. Za wejściem doktora ożywiła się trochę. Musiał biedak wysłuchać wszystkich jej wspomnień, odnoszących się do tej uroczystości; opowiadała mu o prezentach, jakie w tym dniu odbierała przy drzewku w domu rodziców, jak obchodziła wilię za życia męża, i skończyła jak zwykle na lamentach nad obecnym położeniem swoim. Paweł słuchał tego wszystkiego, ale niewiele słyszał. Myśl jego była zajęta czymś innym, oczy szukały Janiny i niespokojnie zwracały się ku drzwiom drugiego pokoiku, gdzie się znajdowała. I Józio niecierpliwie jej oczekiwał i często podchodził pod drzwi, zaglądając przez dziurkę od klucza i dopominając się, aby mu otworzyła. Ciekawość jego bowiem na ciężkie próby była narażoną, gdyż nie mógł wymiarkować, co Janina robi w zamkniętym pokoju. Nie ubiera się, bo ją widział już przed godziną ubraną. Chłopiec nóżkami przebierał z niecierpliwości. Nareszcie otwarły się drzwi i ukazała się w nich Janina na tle rzęsistego oświetlenia, zapraszając wszystkich z wesołym uśmiechem do drzewka, ubranego w mnóstwo zapalonych świeczek woskowych, w złocone jabłka, orzechy, cukierki i kwiaty.

Józio na ten widok począł skakać i klaskać w ręce z uciechy, z zajęciem obiegał drzewko, wydając okrzyki radości, a potem zaczął ściskać i całować siostrę i Pawła z takim zapałem, że pomiął ich ubranie, poburzył włosy Janinie i zdawało się, że ją zdusi z wdzięczności za tę niespodziankę, jaką mu przygotowała. Paweł był także rozrzewniony tą troskliwą i czułą, prawdziwie macierzyńską pamięcią Janiny o braciszku. Tylko matka jak zwykle gderała, strofowała córkę za rozrzutność, której sobie w obecnym położeniu pozwalać nie mogą.

--- To dla bogaczów takie wymysły --- powtarzała kilkakrotnie --- ale nie dla nas.

Janina delikatnie wytłumaczyła jej, że ta niespodzianka, która taką przyjemność sprawiła Józiowi, nie jest wcale tak kosztowną, jak się matce wydaje, że więcej na to poświęciła swojej pracy niż pieniędzy, a podarunki, które pod choinką leżały przygotowane dla brata, przysłał w sekrecie na jej ręce wuj Klemens. To mówiąc, podała Józiowi pudełko z zabawkami i parę książeczek z obrazkami, które chłopiec wziął z radosnym zakłopotaniem. Oprócz podarunków dla Józia były także podarunki pod choinką: dla matki czepeczek czarny, roboty Janiny, a dla doktora maleńki obrazek w ramce z orzechowego drzewa, rzeźbionego w liście. Doktor przyjął z wdzięcznością ten upominek i uścisnął za niego serdecznie rękę Janiny, która była trochę zażenowaną, że na taki skromny zdobyła się podarek.

Potem wrócili wszyscy do pierwszego pokoiku na wieczerzę. Na stole, obok kurzącej się wazy, leżała paczka opłatków.

--- To od wuja --- rzekła Janina, biorąc jeden opłatek w rękę i podchodząc do matki. --- Polskim opłatkiem łamać się będziemy.

Tu nastąpiły życzenia. Naprzód córka łamała się z matką i życzyła jej w słowach krótkich, ale serdecznych zdrowia, potem zbliżyła się do doktora i podając mu kawałek opłatka, rzekła głosem cichym i nieco drżącym:

--- Cóż panu życzyć?

--- Każde życzenie pani miłym mi będzie. Chcę nawet wierzyć, że się spełni, bo wierzę w szczerość tych życzeń.

--- A więc życzę panu dobrej żony.

--- To jedno życzenie opuść pani --- rzekł doktor przerywając jej nagle.

--- Dlaczego? --- spytała, robiąc duże oczy, bo ją zdziwił cierpki ton, z jakim wypowiedział te słowa. --- Więc pan odrzucasz to moje życzenie, czy pan wątpisz w jego szczerość?

--- Nie, ale wątpię w możność spełnienia się tego.

--- To znaczy, że pan wątpisz, czy są dobre kobiety. A to grzecznie.

--- Małżeństwo to loteria, a ja nigdy nie miałem szczęścia do loterii --- rzekł z udaną wesołością i aby odwrócić rozmowę od tego przedmiotu począł on teraz składać jej życzenia, które przeważnie tyczyły się jej bliskiego małżeństwa. Przyjęła te życzenia z wdzięcznością, ale bez zapału.

Nim usiedli do wieczerzy, Janina wybiegła jeszcze po coś do kuchni. Paweł przez ten czas oglądał obrazek, który w ręku trzymał. Przedstawiał on w miniaturowych kształtach widoczek okolicy lesistej, z chatą leśniczego, poszytą słomą, ze stawkiem otoczonym wierzbami, za którym widać było łan zbożowy. Przypatrując się uważniej temu obrazkowi, Paweł z wielkim zdziwieniem spostrzegł, że to nie był obrazek malowany, ale układany, nadzwyczaj misternie i zręcznie, z mchów, kwiatów i słomki.

--- Ależ to prawdziwe cacko! --- rzekł z uniesieniem do wchodzącej Janiny. --- Cóż to za mozolna praca, jaki artyzm w wykonaniu! Przyznam się pani, że nie spostrzegłem w pierwszej chwili, jak cennym mnie pani podarunkiem obdarzyłaś. To warto dać na wystawę.

--- Zanadto pan przeceniasz tę moją robótkę --- odrzekła zarumieniona jego pochwałami.

--- Jak to? Więc to pani robiłaś sama?

--- To jedyna może zaleta tego obrazka, że pracowałam nad nim sama. Obcej roboty nie ośmieliłabym się była dać panu.

--- Nie uwierzysz pani, jak mi będzie drogą pamiątką ten obrazek. Ileż czasu musiałaś pani poświęcić na tak żmudną i delikatną pracę!

--- Nie tak wiele; mam wprawę w podobnych robotach. Wszak pan wiesz, że robię kwiaty, a że fałszywych kwiatów nie chciałam dać panu --- dodała zniżonym głosem --- więc dałam prawdziwe. Sądziłam, że będą one miały pewną wartość dla pana, bo są z nadwiślańskich stron. Będąc dwa lata temu u wuja mego w Zarzeczu, sama zbierałam i suszyłam te mchy i kwiaty.

--- Pani byłaś w Zarzeczu? --- spytał Paweł.

--- Tak, pod Okolem. Pan zna te strony?

--- I pani ma w Zarzeczu wuja?

--- Brat mojej mamy, ksiądz Klemens Podchorski, jest tam proboszczem.

--- Więc ksiądz Klemens jest wujem pani? --- spytał Paweł, a twarz jego wyrażała silne wzruszenie.

--- Tak. Czy pan go znasz?

--- Zdaje mi się, że gdzieś słyszałem to nazwisko --- rzekł chłodniej już nieco, usiłując zapanować nad wzruszeniem.

Potrzebował nieco czasu, zanim oprzytomniał trochę i mógł się oswoić z wrażeniem, jakiego doznał, gdy się nagle dowiedział, że się znajduje w rodzinnym kółku tak dobrze znajomego księdza, o którym zawsze z wdzięcznością i miłością pamiętał. Nie śmiał tego nazwać prostym przypadkiem, mając zawsze jeszcze w pamięci słowa zmarłego swego kolegi, którego nazwisko dostało mu się w spuściźnie, a który przed śmiercią proroczo powiedział mu, że spotkanie ich nie jest przypadkiem, że przypadków nie ma w świecie, ale jest misterna tkanina zdarzeń, łącząca się ze sobą przyczynami i skutkami. Żywo powstały teraz w duszy jego wspomnienia tych czasów, które przebywał w towarzystwie proboszcza. Niezapomniane to były dla niego chwile, bo w nich kształtował i urabiał się duch jego; były to powtórne, bo duchowe narodziny, a nauki i rady księdza jak sternicze gwiazdy świeciły mu odtąd w życiu i jeżeli miał jakie moralne zalety, to w skromności przypisywał je swemu duchowemu ojcu. Toteż pamięć człowieka, któremu tyle zawdzięczał, była mu świętą, otaczał ją czcią i poszanowaniem. Gdyby był mógł, byłby już nieraz odwiedził go, żeby mu podziękować za dobrodziejstwa, jakimi go wyposażył na drogę życia; ale nieszczęśliwa przysięga, którą był związany, wstrzymywała go od tego. Wiedział, że wobec księdza nie mógłby kłamać, a prawdy powiedzieć nie śmiał. Zadawał więc gwałt swoim pragnieniom i myślą tylko nawiedzał cichą plebanię w Zarzeczu, oswajając się powoli z tą myślą, że już nigdy nie ujrzy swego zacnego mistrza, gdy naraz zobaczył się w kółku jego rodziny i to najbliższej! Ta gderająca, kwękająca staruszka była rodzoną jego siostrą, a Janina siostrzenicą. To odkrycie równocześnie sprawiło mu radość i niepokój. Ucieszyło go, że się coś dowie o księdzu proboszczu, że przez to niejako zbliży się do niego, a bał się znowu, by to zbliżenie nie nastąpiło rzeczywiście, bo to mogłoby zdradzić jego tajemnicę. Podczas kiedy tak rozmyślał, Janina coś sobie przypomniała i zagadnęła go:

--- A pan może będziesz mi mógł dać jakie wyjaśnienie w tym względzie.

--- Służę pani, o co idzie?

--- Pisze mi wuj, żebym się dowiedziała przez pana...

Tu zapłoniła się i urwała, a po chwili rzekła:

--- Niech to pana nie dziwi, że wuj wie o panu. Tyle doświadczyłyśmy od pana dobrego, że nie mogłam, pisząc do wuja o tym, co nas najbardziej obchodzi, nie wspomnieć i o panu.

--- Dziękuję pani bardzo za tę łaskawość --- rzekł Paweł z wdzięcznością. --- Ale cóż wuj pani chce się dowiedzieć przeze mnie? --- zapytał trochę zaniepokojony.

--- Pisze mi, że pan, jako żyjący z młodzieżą, mógłbyś się najlepiej dowiedzieć, czy na uniwersytecie lub politechnice, lub w innym jakim zakładzie nie znajduje się niejaki Antoni Sikorski?

Paweł zarumienił się mocno, gdy usłyszał swoje własne nazwisko wypowiedziane usteczkami Janiny. Nie miał odwagi zaraz na to odpowiedzieć. Kłamstwo przed nią wydawało mu się obrzydliwsze niż kiedykolwiek. Ale konieczność zmuszała go do popełnienia czynu, którym się brzydził, i odrzekł:

--- Nie znam takiego. Któż to ma być?

--- Jakiś młody człowiek, którym się wuj nasz mocno interesuje. Od kilku lat już dowiaduje się o niego. Nie ma może miasta w Europie, gdzie by się nie dowiadywał o pobycie tego młodego człowieka, który znikł bez śladu.

--- Prawdopodobnie umarł --- odezwała się matka --- i brat niepotrzebnie sobie tym głowę zaprząta i traci pieniądze; bo to kosztuje, panie.

--- I mnie się zdaje, że nie żyje, bo gdyby żył, to dałby przecież znak życia wujowi, który go tak kochał, choć nie był ani jego krewnym, ani jego powinowatym --- dodała Janina.

--- Kto tam wie? --- mruknęła staruszka pod nosem.

Paweł spojrzał na nią wzrokiem surowym, jakby jej chciał dać poznać, że całkiem nie podziela jej domysłów i nie pochwala ich.

Do końca wieczerzy już nie rozpogodził się; był małomówny, zamyślony, bo myśl o księdzu proboszczu zasępiła go i zajęła całą jego uwagę. Ciążyło mu to na sercu, gdy się dowiedział, że ksiądz tyle sobie zadawał pracy w celu odszukania go, a on ani jednym słowem nie dał znaku życia, żadnej wiadomości o sobie. Wyglądało to na niewdzięczność, choć w duszy był przekonany, że go o to posądzać nie można. Postanowił naprawić to i tego samego wieczoru, powróciwszy do domu, napisał list tej treści:

Drogi ojcze i mistrzu mój!

Żyję i pracuję; o tobie nie zapomniałem ani na chwilę, a rady i nauki twoje jak anioły stróże idą za mną. Jeżeli coś dobrego w życiu zdołam zrobić, to nie moja w tym będzie zasługa, ale twoja. Więcej ci nic o sobie donieść nie mogę. Przysięga krępuje mi pióro; łamiąc ją stałbym się niegodnym ciebie, a tego bym nie chciał. Dla tego samego muszę się wyrzec szczęścia oglądania ciebie. Ciężko odpowiedzą Bogu ludzie, którzy mię na te męczarnie skazali. Ja im przebaczyłem pogardliwym zapomnieniem. Wiem, że powiedziałbyś mi na to, że to za mało, że to nie po chrześcijańsku. Ale ja na więcej zdobyć się nie mogłem i nie mogę. Pomimo pracy nad sobą, duch mój nie mógł się jeszcze wznieść na te wyżyny chrześcijańskiej miłości, której mię uczyłeś, i po anielsku przebaczać. Ty, który jesteś tak pobłażliwy i wyrozumiały na ludzkie słabości, usprawiedliwisz mię w dobroci swojej i nie odmówisz pomimo to choć małego kącika w twym sercu temu, który nie przestanie kochać cię i czcić miłością syna i ucznia.

List ten podpisał swoim właściwym nazwiskiem i wysłał drugiego dnia pocztą do Zarzecza.

XV

Od czasu gdy Paweł dowiedział się, jakie węzły łączą rodzinę Janiny z księdzem proboszczem, stosunek jego do tego domu stał się jeszcze bliższym. Prosta znajomość i życzliwość zamieniła się w gorliwe zajęcie się losami tych osób, uważał się bowiem teraz za opiekuna ich i starał się polepszać ich dolę i pomóc im, w czym można było, nie obrażając ich miłości własnej i godności. Widząc na przykład ubogie i niewystarczające umeblowanie ich pokoików, poprosił jednego dnia, czy nie byłyby łaskawe przyjąć do siebie mebli pewnej familii, która wyjeżdża na czas jakiś za interesami i nie ma ich gdzie ulokować. Pod tym pozorem wprowadził do ich mieszkania piękny garnitur mebli, wygodny fotel dla matki, elegancki stoliczek do roboty dla Janiny, piękny stołowy zegar i kilka innych gracików. Stare sprzęty usunięto tymczasem do kuchni i mieszkanie przybrało całkiem inną postać. Potem doktor pod pozorem, że u niego kwiaty źle się trzymają, bo nie ma ich komu pielęgnować, przysłał Janinie kilka palm, dracen, fikusów i kamelii, którymi, jak utrzymywał, obdarzyli go pacjenci. Dalej, przez podstawioną trzecią osobę zaproponował, aby wyrób kwiatów urządziła na większe rozmiary, założyła pracownię i wysyłała wyroby swoje do Rosji i Polski.

Owa trzecia osoba ofiarowała na założenie tego interesu swój kapitał, a właściwie kapitał doktora, podjęła się dostarczać zamówień i wysyłać transporty. Interes ten w krótkim czasie znaczne zaczął przynosić dochody Janinie. Z początku dochody te wpływały właściwie z kieszeni doktora, on bowiem przez podstawione osoby nabywał większą ilość kwiatów, płacił z góry za transporty wysyłane za granicę. Ale niezadługo ta tajemnicza opieka okazała się zbyteczną, bo wyroby Janiny odznaczały się takim gustem, elegancją i artystycznym wykończeniem, że nie ustępowały wiele paryskim. Toteż wnet najpierwsze magazyny zasypywały ją licznymi zamówieniami i zakład Janiny rozwinął się na większe rozmiary i stał się głośnym, a co większa, stał się modnym i elegantki wiedeńskie wzięły go w swoją protekcję. Wiadomo, co znaczy w Wiedniu taka protekcja; jest to droga do robienia majątku. Toteż Janina przychodzić zaczęła do zamożności, a powodzenie zachęcało ją do pracy i dodawało jej energii i siły.

Wskutek tych zajęć wieczorne familijne zebrania ustać musiały, bo Janina często do późnej nocy zatrudnioną była w magazynie, i w ogóle cały tok życia się zmienił. Janina bowiem opuściła skromne mieszkanie na Heugasse i przeniosła się na Schottenring, gdzie wynajęła obszerne i wygodne mieszkanie w bliskości magazynu. To oddaliło ją trochę od doktora, na co szczególnie użalał się mały Józio, bo nie mógł jak dawniej tak często zabiegać do jego mieszkania.

A i doktor do nich teraz rzadziej przychodził i krócej bawił niż dawniej. Janiny bowiem prawie nigdy nie było w domu, a rozmowa z jej matką, lubo do niej już dosyć przyzwyczaił się doktor, nie była znowu tak zajmującą, by jej mógł dłuższy czas poświęcać. Przychodził więc tylko wtedy, gdy miał konieczny interes, i bawił zwykle krótko. Jeżeli wtedy przypadkiem zastał Janinę w domu, starała się go zatrzymać dłuższy czas i chętnie zajęcia swoje poświęcała przyjemności dłuższej z nim rozmowy; ale doktor nie chciał zwykle korzystać z tej uprzejmości (tym wyrazem tłumaczył sobie postępowanie Janiny względem siebie) i jedynie w niedzielę i święta, w których ona wolną była od pracy, przepędzał dłuższy czas w ich domu. Było to za mało dla wszystkich, szczególniej dla doktora, który nie mając we Wiedniu żadnych znajomości, jedynie w rodzinie Janiny znajdował przyjemne towarzystwo. Toteż nieraz wieczorami smutno mu było samemu i z tęsknotą wspominał sobie ciche wieczorki na trzecim piętrze; tęsknił za tymi wieczorkami, w których mu było tak dobrze, tak ciepło. Ale gdy sobie pomyślał, że burząc to własne, ciche szczęście, zbudował z ruin jego trwały gmach pomyślności dla Janiny i całej jej rodziny, z rozkoszą zrzekał się samolubnych pragnień szczęścia i chętnie składał je na ofiarę dla osób, które były mu drogimi. Cieszyło go, że za jego sprawą te osoby nie cierpią teraz niedostatku, że są niezależne od cudzej łaski i mogą żyć wygodnie.

Odtąd miał jedno tylko pragnienie: żyć dla szczęścia tych osób i ciągle choć z daleka czuwać nad nimi jak duch opiekuńczy, myśląc nad tym, co by jeszcze od niego potrzebować mogły, i zjawiał się u nich tylko wtedy, gdy zaszła tego potrzeba, to jest, gdy miał im w czym doradzić lub pomóc.

Wyjątek od tego stanowiły niedziele i święta. Wtedy już prawie całe popołudnia i wieczory przepędzał w domu Janiny albo też wyjeżdżali na spacery w okolice Wiednia lub szli do teatru. Wśród życia czynnego, jakie prowadzili, święta te były prawdziwymi oazami dla doktora i Janiny, która często w żartobliwy sposób wypowiadała swoją radość z tego powodu, mówiąc:

--- Jak to dobrze, że Pan Bóg ustanowił niedziele i święta; bez tego mogłabym zapomnieć, jak pan wyglądasz, i pan może byś zapomniał, że my żyjemy.

W słowach tych krył się lekki wyrzut, że ich teraz zaniedbuje trochę, zarzut, jak wiemy, bardzo niesłuszny, bo doktor więcej myślał o nich i zajmował się nimi, niż przypuścić mogli, więcej może nawet, niż sam chciał. Łudził się sam przed sobą, że to jest prosta życzliwość, którą powziął dla tej rodziny przez pamięć na swego dawnego mistrza, księdza proboszcza; tymczasem życzliwość ta wypłynęła więcej, a może jedynie tylko ze skłonności, jaką czuł dla Janiny, i gdyby był go ktoś zapytał, czy zajmowałby się z równą troskliwością losami rodziny Janiny, gdyby nie było w niej Janiny, pewnie by pytanie to otworzyło mu oczy. Ale nikt go o to nie pytał, on sam nie wpadł nigdy na myśl zadania sobie podobnego pytania, nie przypuszczał, żeby coś więcej jak życzliwość i przyjaźń przywiązywały go do Janiny.

I ona również nie posądzała go o nic więcej. Nie wiedząc ani nawet domyślając się, co dla niej zrobił doktor, a sądząc go jedynie ze skąpych słów i rzadkich oznak serdeczności, nie mogła przypuścić nic więcej nad prostą życzliwość dla niej, do której go skłaniała więcej jego wrodzona dobroć niż inne jakie uczucie. Takie

miała o nim przekonanie i to sprawiało jej pewną przykrość, gdyż pomyślała, że znajomość z nimi jest doktorowi więcej ciężarem niż przyjemnością. Toteż starała się mu osłodzić, jak mogła i umiała pobyt u nich, by nie żałował czasu, straconego w jej towarzystwie, a zrobiłaby była Bóg wie co, aby go stale przywiązać do swej rodziny, aby mógł być jej bratem lub krewnym i nie potrzebował nigdy rozłączać się z nią. Tak był jej potrzebnym do zupełnego szczęścia. Przyjście jego sprawiało jej nieopisaną radość, czuła w sercu wtedy pełność, jasność, zadowolenie; a gdy czasem spóźnił się trochę, to chwile oczekiwania wydawały się jej długie i nieznośne. To zajęcie się żywe doktorem przypisywała wdzięczności za grzeczność, jakiej od niego doświadczała ona, matka i mały Józio. Tak stały rzeczy, gdy jednego wieczoru Janinie powracającej ze spaceru wraz z matką, doktorem i Józiem wręczył stróż domu list z Triestu. Był to list od narzeczonego.

Janina wzięła go obojętnie, listy te bowiem, równie jak małżeństwo z Augustem, nie miały dla niej żadnych niespodzianek. Listy te były zawsze według jednego kroju. Kilka niesmacznych dowcipów, upolowanych po kawiarniach, parę nowości o teatrze lub koncercie, przytoczonych dla popisania się ze znawstwem sztuki, wreszcie interes jaki i usprawiedliwienie swojej długiej nieobecności stanowiły zwykle treść tych listów. Dawniej, do każdego takiego listu dołączona była pewna suma pieniędzy na konieczne wydatki dla Janiny; ale od czasu, jak ona sama mogła już zapracować na utrzymanie swej rodziny, podziękowała narzeczonemu za tę pomoc.

Czytanie listów i odpowiedzi na nie stały się dla niej pewnego rodzaju obowiązkiem, który spełniała zimno, obojętnie.

Pomimo takiego usposobienia nigdy nie przyszło jej na myśl zerwać z narzeczonym; małżeństwo z nim uważała jako rzecz nieuniknioną, ale jej to obojętnym było, czy ono nastąpi później, czy wcześniej. Przyzwyczaiła się już do czekania bez terminu określonego, do nieobecności narzeczonego, ten stan wcale jej się nie przykrzył. Toteż i teraz odebrawszy list, schowała go obojętnie do kieszeni, odkładając czytanie go na później. Żal jej było tracić na to czas w obecności doktora. Ale podczas kolacji matka zapytała ją o treść listu, chciała bowiem dowiedzieć się, czy August nie donosi co o Meranie, dokąd chciała się udać na zimę na kurację.

Janina dla zaspokojenia ciekawości matki oddała jej list do przeczytania, a sama kończyła rozpoczętą z doktorem rozmowę o Józiu, radząc się, czy chłopca należy posyłać do szkół publicznych, czy też dać uczyć w domu. Rozmowę ich przerywała czasami matka głośnymi uwagami nad listem.

--- Hm, ani słóweczka o Meranie; a możeś ty mu nic nie pisała o tym?

--- Owszem, mamo, pisałam.

--- To dziwne. Czemuż nic nie odpowiada? Przecież mu łatwiej dowiedzieć się było, niż nam, o różne szczegóły, które chciałyśmy wiedzieć. Mało dba o nas.

Naraz rozjaśniła zasępioną twarz i rzekła:

--- A, teraz rozumiem; pewnie chce mi sam o tym dać objaśnienie; tak, tak... pisze, iż przyjeżdża dwudziestego tego miesiąca.

--- Już? --- spytała Janina, zmieszana nieco tą niespodziewaną wiadomością.

--- Jak to, już? Toż to pół roku blisko, jak wyjechał, a miał wrócić za kilka miesięcy. Którego to dziś mamy?

--- Czternastego.

--- A więc za sześć dni, więc w sobotę tu będzie. No, chwała Bogu! Będzie chciał zapewne przyśpieszyć ślub. Żeby się to już raz skończyło!

Po tych słowach zapanowało w pokoju głębokie milczenie i ciężka atmosfera. Paweł i Janina na próżno usiłowali zawiązać rozmowę; brakowało im słowa, nie śmieli nawet patrzeć na siebie. On palcami zbierał skrzętnie okruszyny po obrusie, a ona mieszała bezustannie łyżeczką herbatę, nie uważając wcale, że jeszcze cukru do niej nie włożyła. Wiadomość o przyjeździe Augusta zrobiła na nich wrażenie takie, jakie sprawia gość, który nie w porę zjawia się w domu.

Nikt go nie oczekiwał, nie pragnął, a przybycie jego zepsuło harmonię, która panowała w towarzystwie. Podobnie i tutaj się stało. Przez dłuższą nieobecność odzwyczajono się od niego, nie znać było wcale braku jego, nikomu nie był potrzebny, chyba matce do dania objaśnień o Meranie. Zresztą na nic go nie potrzebowano, owszem, była obawa, że jego przybycie zepsuje ten miły nastrój, przyjazne pożycie, jakim dotychczas się cieszyli. A że nie byli bardzo biegli w sztuce udawania, więc August za powrotem, pomimo zarozumiałości, której miał sporą dozę, musiał poznać trochę to ich usposobienie i uczuł się obcym w domu swej narzeczonej.

Przypisywał to z początku temu, że przez dłuższą nieobecność i życie wśród innego towarzystwa sam innymi oczami patrzy teraz niż dawniej i był przekonany, że za parę tygodni wróci do dawnej poufałości z Janiną. Ale po dwóch tygodniach stosunek jego zupełnie się nie zmienił. Janina widocznie była dla niego nie chłodniejszą, bo miłość ich nigdy gorącą nie była, ale mniej uległą niż dawniej; w obejściu jej dostrzegł pewną poważną dumę, która zdawała się lekceważyć go. Tłumaczył to sobie po swojemu; pieniędzmi. Janina nie była teraz zależną od niego, miała dobre dochody, i dlatego, jak mówił, zadzierała nosa do góry. To odkrycie cieszyło go nawet po trochu, jako spekulanta, że Janina tak dobrze rozumie wartość pieniędzy i umie zachować się stosownie do nich; był bowiem tego przekonania, że człowiek powinien być barometrem własnych kapitałów, a żona bankiera tym więcej. Ale po pewnym przeciągu czasu przekonał się, że Janina nie dla każdego jest tak sztywną i imponującą, że szczególniej wobec doktora twarz jej zmieniała się do niepoznania i przyjmowała wyraz ujmującej serdeczności.

To poczęło drażnić jego miłość własną i obudziło w nim zazdrość. Kilka razy dał to odczuć Janinie w dotkliwy sposób kłującymi pytaniami i uszczypliwymi żartami. I tak na przykład raz zapytał Janinę ze złośliwym

uśmiechem, czy doktor zaabonował się u nich na wszystkie niedziele i święta, że tak regularnie wtedy ich odwiedza? Janina odpowiedziała mu z surową powagą, że tak miłego gościa rada by częściej jeszcze widzieć w swym domu, gdyby to było możebne.

Innym razem, podczas bytności doktora August próbował przetrzymać go. Zwykle tak się działo, że nie mogąc znieść życzliwości Janiny do doktora i ciągłej z nim rozmowy, brał wcześnie za kapelusz i żegnał się, zwracając dość wyraźnie uwagę doktora, że czas już odejść, bo pora spóźniona. Tego jednak wieczoru postanowił przetrzymać go i wyczekiwał. Doktor, przyzwyczajony, że on pierwszy dawał znak do odejścia, nie patrzał wcale na zegarek i nie domyślał się, że już jest tak późno. Zajęty żywą rozmową z Janiną, nie uważał, że matka, nie mogąc się doczekać jego odejścia, wyniosła się cichaczem spać, a mały Józio zasnął na dobre nad zabawkami przy stole. Jeden tylko August obserwował ich z boku szyderczym i zaiskrzonym zazdrością spojrzeniem, czekając z przymusową cierpliwością końca tej zajmującej rozmowy. Rozmowa ta tym bardziej go drażniła, że była prowadzona w języku, którego nie rozumiał. Paweł opowiadał Janinie o jakiejś chorej w szpitalu, która, jak mówiono, umierała z miłości, i przytaczał niektóre epizody z dziejów tej nieszczęśliwej miłości, które słyszał od jej rodziców. Janina słuchała go z zajęciem i całą uwagą. Gdy skończył mówić, spytała:

--- Z tego, coś mi pan mówił, widzę, że pan zdajesz się nie wierzyć, aby można umrzeć z miłości,

--- Owszem, przypuszczam, że boleść, zawód, rozpacz mogą również sprowadzić zamieszanie w organizmie i śmierć, podobnie jak gwałtowny upadek, uderzenie, zaziębienie lub coś podobnego.

--- Ach, jak pan zimno o tym mówisz, aż mróz mnie po kościach przechodzi. A przecież to rzecz tak niezwykła w dzisiejszych czasach umrzeć z miłości. Jak to nieskończenie smutne, a zarazem wzniosłe.

--- A mnie się zdaje, że trudniej jest żyć w takich warunkach, niż umrzeć.

Powiedział te słowa tonem poważnym, że aż podniosła na niego oczy. Spojrzenia ich spotkały się, chwilkę zatrzymały się na sobie nieruchomo i zarumienili się oboje, choć oboje z różnych powodów. On z obawy, czy nie powiedział za wiele, a ona z radości, że powiedział to, czego sama powiedzieć nie chciała.

Chrapanie Józia przerwało tę scenę i sprowadziło ich na ziemię. Paweł z przestrachem spostrzegł, że już tak późno, i pochwycił za kapelusz. August nie ruszył się z miejsca. Było to w jego planie pokazać doktorowi wyższość swoich praw w tym domu.

Paweł podał rękę Janinie na pożegnanie i postąpił ku drzwiom, pewnym będąc, że August idzie za nim, ale ten nie powstał wcale ze swego miejsca i tonem drwiącym odezwał się do odchodzącego:

--- Dobranoc panu, panie doktor.

Janina zmarszczyła brwi, a rumieniec oburzenia oblał jej twarzyczkę. Postępek narzeczonego, którego intencję odgadła, dotknął ją tym więcej, że stało się to wobec Pawła. Spojrzała więc groźnie na niego i rzekła z naciskiem:

--- Żegnam panów --- obydwóch.

To powiedziawszy, wyszła spiesznie do swego pokoju.

August, skonfundowany, rad nierad musiał wyjść. Plan jego w wykonaniu zrobił fiasko. Chcąc upokorzyć, został sam upokorzony. Nie spodziewał się takiego obrotu rzeczy, bo Janina nigdy dawniej nie stawiała mu się tak ostro. Ta niespodzianka zmieszała go, a bojąc się, by doktor nie poznał tego po nim, nadrabiał miną i rzekł:

--- Dziwne czasem kaprysy mają te kobiety.

Dawniej siadywała ze mną po całych prawie nocach, sam na sam, pozwalała się całować, no zwyczajnie, jak narzeczonemu, a dziś zachciało jej się chorować na przyzwoitość. Prawda, panie, że to śmieszne!

--- Ja w tym nic śmiesznego nie widzę. Może wtedy panna Janina była usposobioną, a dziś nie.

--- Nie to, panie, tylko wtedy bieda im siedziała na karku, to były pokorniejsze, i córka, i matka, a dziś obie zadzierają nosa. Ale ja na to nie pozwolę; albo bądź narzeczoną jak się należy i słuchaj, albo kwita z przyjaźnią.

--- Jak na człowieka mającego trochę pretensji do wykształcenia --- rzekł Paweł urażony tymi słowami --- wyrażasz się pan trochę za szorstko, panie Goldstein. O kobiecie, a szczególniej o narzeczonej, nie wolno tak mówić. Nie zaszkodziłoby więcej delikatności.

--- To może u was uchodziłoby to za grzeczność, u nas to rzecz bardzo naturalna. My z żonami nie przyzwyczajeni robić ceregieli takich jak wy, toteż większy u nas procent żon poczciwych, bo kobieta, panie, dotąd dobra, dopóki się boi.

--- Nie dowodzi to wielkiego bohaterstwa --- rzekł cierpko Paweł --- być tak odważnym wobec słabszych istot.

--- Toteż ja nie chcę wcale być bohaterem wobec mojej żony, ja chcę być tylko mężem bez rogów.

Ostatnie słowo powiedział z naciskiem i z przesadną grzecznością ukłonił się Pawłowi przy rozstaniu.

Tymczasem Janina po odejściu Pawła i Augusta wróciła do bawialnego pokoju rozbudzić Józia i położyć go spać. Chłopiec, zbudzony, przetarł oczy, spojrzał po pokoju, jakby kogoś szukał, i spytał siostry:

--- A gdzie pan Paweł?

--- Pan Paweł już dawno poszedł.

--- I nie pożegnał się ze mną, niedobry. On teraz tak mało się ze mną bawi; nie tak jak dawniej, a to dlatego, że teraz więcej z tobą się bawi, a ty przecież masz swego Augusta, to powinnaś z nim się bawić, a nie zabierać mi mego pana Pawła.

--- Chodź już spać --- rzekła Janina, chcąc przerwać mowę chłopca, i poczęła go rozbierać. Ale chłopiec

rozgadawszy się ciągnął dalej:

--- Tylko to prawda, że August bardzo niezabawny; z nim nie idzie jakoś zabawa. Jak zostanie twoim mężem, to będzie nam wszystkim okropnie z nim nudno.

--- Śpij już, bo już późno --- rzekła Janina, kładąc brata do łóżeczka.

--- Jakby to dobrze było, żeby pan Paweł był twoim mężem zamiast tego nudnego Augusta. Czy, on nie mógłby być twoim mężem?

--- Dobranoc ci, śpij! --- zawołała żywo mocno zarumieniona Janina i zamknęła ręką usta małemu gawędziarzowi, który pomruczawszy jeszcze coś niewyraźnie pod nosem, usnął na dobre. Janina długo jeszcze siedziała nad nim, mocno zamyślona.

Zegar bijący trzecią przypomniał, że trzeba i jej udać się na spoczynek. Wstała i poszła do swego pokoiku. Tu uklękła do wieczornego pacierza, ale odmawiała go bezmyślnie, machinalnie, bo w słowa pacierza plątały się jej inne myśli; przypominało się jej to, co Paweł powiedział dziś wieczór, że trudniej jest żyć, niż umrzeć z miłości... Myślała nad znaczeniem tych słów i rada by była wiedzieć, czy Paweł powiedział je bez znaczenia, czy też stosowały się one do kogo. Prawdopodobnie mówiąc to, miał na myśli kogoś, ale kogo... ją czy siebie...? Nie rozplątała tej zagadki i usnęła.

XVI

Ślub Janiny z Augustem postanowiono na dzień 28 września. August sam naznaczył ten bliski termin, postępowanie bowiem Janiny zaczynało wzbudzać w nim pewne obawy, podejrzenia, które chcąc usunąć, postanowił przyśpieszyć ślub.

Szło mu teraz bardzo o to, aby małżeństwo jego z Janiną przyszło do skutku. Dawniej było mu to obojętne, a nawet spełnienie tego zobowiązania uważał więcej za konieczność niż szczęście. Teraz położenie się zmieniło. Miłość jego własna i próżność były podrażnione. Nie mógł nie widzieć różnicy w postępowaniu Janiny z nim i z doktorem; była ona zbyt widoczna. Z nim rozmawiała z przymusem, traktowała go nieco pogardliwie, podczas gdy dla lekarza okazywała uprzejmość serdeczną, a zarazem pełną szacunku. Bodło go to tym bardziej, że umysłowa wyższość doktora, jego takt i godność w postępowaniu imponowały mu. Na próżno wobec niego nadymał się, sadził na arogancką zuchwałość i pewność; wydawał się przy nim zawsze małym i trywialnym.

Pomimo zarozumiałości, czuł tę różnicę między nim a sobą i to go do wściekłości doprowadzało. Chciał przeto co prędzej pozbyć się go. Jako narzeczony nie mógł tego żądać od Janiny, aby doktor nie bywał w ich domu, ale jako mąż miał prawo. W taki sposób chciał odnieść nad nim przewagę, dokuczyć mu i upokorzyć. Bo przypuszczał, że doktor żywi pewną sercową skłonność do Janiny. Małżeństwo jego miało być zarazem triumfem nad rywalem. To go skłoniło do przyśpieszenia dnia ślubu. Bał się tylko, czy teraz Janina nie będzie chciała odwlekać, bo ją podejrzewał o sympatię do doktora. Ale Janina nad spodziewanie jego, lubo chłodno, jednak bez oporu przyjęła tę wiadomość i zgodziła się na jego żądanie.

Miała ona w duszy inne pragnienia; nieraz może nawet marzyła o tym, jak byłaby szczęśliwa, gdyby zamiast Augusta, Paweł oświadczył się o jej rękę; ale marzenie to wydawało się jej tak niepodobnym, że nigdy nie myślała na serio, aby się urzeczywistnić mogło. Wpatrywała się w nie, jak się wpatruje nieraz człowiek w gwiazdy, które wiszą w niedostępnych dla nas wysokościach, i roi sobie, aby mógł się do nich dostać. Tak i ona marzyła bez nadziei. Paweł stał tak wysoko w jej myślach, że w skromności swojej nie przypuszczała, aby kiedy mógł być jej mężem.

August nie mógł się domyślać takiej skromności i tłumaczył sobie to po swojemu, prozaiczniej, to jest, że jest rozsądną i dlatego woli człowieka będącego na drodze zrobienia fortuny, niż iść za doktora niepewnej przyszłości. To przekonanie wróciło mu pewność i zarozumiałość, zhardział znowu, stał się względem Janiny jak dawniej szorstkim, wymagającym. I tak raz żądał od niej, aby przed pójściem za mąż starała się zbyć komu swój handel kwiatów, gdyż to mu by ubliżało, gdyby poślubił kwiaciarkę. Żądanie to postawił tonem rozkazującym i to w obecności Pawła. Janinę przejęło to wielkim zdziwieniem i odpowiedziała spokojnie, z godnością, że nie widzi słusznego powodu porzucać zatrudnienia, które jej przynosi dochody.

--- Jakie dochody? --- spytał opryskliwie August. --- Cóż ty z tych głupich kwiatów możesz mieć za dochody?

--- Mam dochody takie, które mi wystarczają na przyzwoite utrzymanie rodziny.

--- I na to musisz po całych dniach pracować. Czy to warto? Gdy tymczasem ten kapitalik, który byś mogła wziąć za sklep przy szczęśliwych operacjach giełdowych, może ci przynieść sto, dwieście razy tyle.

--- A przy nieszczęśliwych? --- spytała ironicznie Janina.

--- Kto nie ryzykuje, ten nic nie ma. Gdyby tak wahał się każdy kapitalista, żaden z nich nie zostałby milionerem. Jeżeli innym się udało, dlaczegóż nam nie miałoby się udać, i czy chcesz, czy nie chcesz, zrobię cię milionerką --- dodał wesoło, klepiąc ją po ramieniu.

Janina odsunęła się od niego i rzekła:

--- Nie namówisz mnie do takich eksperymentów; wolę małe a pewne dochody.

--- Jak to? Więc chciałabyś dalej trzymać ten handel?

--- Czemu nie?

--- Ależ to nie uchodzi, ja na to pozwolić nie mogę, to byłoby ubliżeniem dla mnie, dla mego nazwiska.

--- Uczciwa praca nie hańbi nikogo, czyż nieprawda, panie Pawle? Jakież jest pańskie zdanie w tym względzie?

--- Ja podzielam w zupełności zdanie pani.

--- Byłem tego pewny --- rzekł drwiąco August. --- Pan zawsze trzymasz przeciw mnie.

--- Trzymałbym z panem, gdyby zasady jego zgadzały się z moimi --- odrzekł surowo Paweł.

--- A o taką zgodę między nami trudno. Pan należysz do zbyt idealnych.

--- W tym przypadku nazwa ta niewłaściwie mi się należy, staję bowiem wraz z panną Janiną na gruncie daleko praktyczniejszym niż pan. Pan wierzysz w los, przypadek, my w pracę. Trzeźwość więc jest po naszej stronie, po pańskiej hazard.

--- A jednak ja z moim hazardem zajdę dalej, niż pan ze swoją pracą. Ja zrobię fortunę, a pan..

Ruszył pogardliwie ramionami. Doktor nie zauważył tego gestu i mówił spokojnie, z powagą:

--- Nie na tym polega szczęście ludzkości, aby tworzyło milionerów, bo milionerzy tworzą się kosztem nędzy i stanowisko ich nadweręża równowagę ekonomiczną. W czasach powstawania największych fortun panuje zwykle największa nędza, bo kilku bogaci się kosztem wielu.

--- Pan powinieneś mieć prelekcje o tym --- rzekł uszczypliwie August --- miałbyś pan może dużo słuchaczy, tylko że żaden nie poszedłby za pańskim zdaniem, bo dziś ze świecą trzeba by szukać takiego, co

by wolał mieć mniej, mogąc mieć więcej.

--- Pan nie znałeś takich? --- spytał doktor.

--- Być może iż są, ale ja takich nie spotkałem.

--- Żałuję pana --- rzekł doktor.

August zaperzył się; chciał odciąć się doktorowi, ale Janina zagadała w tej chwili doktora, dziękując mu z uprzejmym uśmiechem, że tak energicznie stanął w jej obronie.

--- Stanąłem w obronie wszystkich tych kobiet --- odrzekł doktor --- które w pracy szukają dla siebie oparcia, samodzielnego stanowiska. Dotąd były one niewolnicami lub kupującymi. Bogate kupowały sobie mężów, biedne sprzedawały się temu, co je żywić mógł i odziewać. Szły za mąż często bez przywiązania z obawy nędzy i staropanieństwa. Nic bardziej bolesnego nie znam nad związek małżeński dwóch istot, z których jedna kochać nie może lub nie chce. To niewola okropna. Kwestia pracy kobiecej, poruszona w obecnych czasach, skoro będzie rozwiązaną praktycznie, uwolni kobiety z tej niewoli.

Mówiąc o niewoli małżeńskiej, doktor miał przed oczami własne położenie; czuł dobrze to, co mówił, i dlatego był wymowny i nawet trochę rozgorączkowany.

Janina jednak inaczej sobie to wytłumaczyła; w słowach jego dopatrywała aluzji do siebie. To, co Paweł mówił o kobietach, sprzedających się za pieniądze, wzięła wprost do siebie i uczuła się zawstydzoną, upokorzoną. Dotąd nigdy jej na myśl nie przyszło, że idąc za Augusta, popełnia czyn niemoralny. Nie kochała go, to prawda, ale nie wątpiła, że będzie wierną żoną. Majątkowe położenie Augusta było rzeczywiście najgłówniejszym powodem, że się zgodziła na małżeństwo z nim. Nikt inny się nie oświadczył, on przedstawiał się jej jako wcale dobra partia i przyjęła jego oświadczyny. Nie widziała w tym nic poetycznego, ale też i nic złego. Tysiące kobiet to samo robiły; ona nie uważała się za lepszą od innych i zrobiła to, co tamte. Wychowanie praktyczne, jakie odebrała, nie przedstawiało jej życia z idealniejszej strony; wyrosła wśród zasad tuzinkowych, codziennych, nie przypuszczała wyższych, idealniejszych motywów w życiu; idąc za Augusta, szła za głosem rozsądku i nie doznawała z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia. Owszem, doświadczałaby ich może wtedy dopiero, gdyby była mniej korzystny zrobiła wybór.

Miała wprawdzie nieraz inne pragnienia, szczególniej po poznaniu się z Pawłem, ale pragnienia te, jak widzieliśmy, nie wychodziły poza kres fantazji; bawiła się nimi, ale nie brała ich nigdy na serio. Uważała się już prawie za żonę Augusta, a uczciwość wrodzona nie pozwalała jej myśleć o łamaniu danego słowa. Małżeństwo swoje uważała jako obowiązek, który z trudnością spełnić musiała.

Słowa Pawła rzuciły światło na te ciemności, wśród których szła dotąd spokojna; małżeństwo jej przedstawiało się teraz ze strony szpetnej, ohydnej. Uważała się winną wobec Pawła. Przypomniało się jej teraz, jak nieraz wśród najserdeczniejszej rozmowy Paweł nagle stygnął i poważniał, "przybierał ton chłodny, surowy. Nie rozumiała wtedy tej nagłej zmiany humoru jego; teraz sobie to wszystko wytłumaczyła. Prawdopodobnie przypominał sobie wtedy, z kim rozmawia: z kobietą niegodną jego serdeczności, z kobietą, którą gardził. Było to tłumaczenie całkiem fałszywe; Pawłowi nigdy ta myśl nie przeszła przez głowę; cofał się nie ze wstrętu, ale z obawy, aby stosunek jego z Janiną nie przekroczył granic, w jakich go przykry los jego zamknął; ale Janina nie mogła domyśleć się tych powodów i była najmocniej teraz przekonaną, że Paweł był dla niej dobrym tylko z litości, że w duszy gardził nią. Ta myśl do rozpaczy ją przyprowadzała. Pod wrażeniem słów Pawła rozmyślając nad swym położeniem, przychodziła do coraz szlachetniejszych, idealniejszych pojęć o małżeństwie, a wtedy małżeństwo z Augustem budziło w niej wstręt i obrzydzenie. Gdy patrzała na niego, przypominał się jej handlarz niewolników, i z każdym dniem odczuwała większą niechęć do niego.

Wskutek tej zmiany wewnętrznej stało się, że wtedy, kiedy August był najpewniejszy, że nie ma już żadnej przeszkody do zawarcia małżeństwa, dowiedział się ze zdziwieniem ód Janiny, że ślub w oznaczonym dniu odbyć się nie może. Nie mając dosyć odwagi zerwać to małżeństwo, chciała jej odwlec przynajmniej. Powodów tej zwłoki nie podała żadnych. Na próżno matka lamentami swymi i utyskiwaniami starała się przełamać jej niewytłumaczony upór; Janina stanowczo oświadczyła, że teraz małżeństwo jej jest niemożebnym?

Stara, przyzwyczajona do uległości córki, rozdrażniła się tym uporem, a August podniecał w niej to rozdrażnienie, odwołując się do danego przyrzeczenia; groził nawet zupełnym zerwaniem,, jeżeli Janina będzie robiła takie trudności. Ta pogróżka tak dalece przestraszyła matkę Janiny, która nie mogła oswoić się z tą myślą, aby małżeństwo Janiny miało nie przyjść do skutku, że pogorszyła stan jej zdrowia. Wezwano Pawła. Staruszka przed nim wypowiedziała wszystko, co miała na sercu, i prosiła go, aby starał się wpłynąć na córkę i odwieść ją od nierozsądnego postanowienia.

--- Na co ona chce czekać? Na co? --- mówiła stara. --- Czy myśli, że się jej trafi lepsza partia? A toż inna na jej miejscu z pocałowaniem ręki przyjęłaby taki los. August jest człowiek porządny, stateczny, pracowity, ma już swój kapitalik i z czasem będzie miał majątek duży, bo to człowiek z głową. I matce byłoby przy nich dobrze. Toż już dosyć się nacierpiałam biedy, czas by było wypocząć wygodnie.

--- Panna Janina się stara, ile może --- wtrącił doktor, chcąc zwrócić delikatnie uwagę starej, że niesłusznie narzeka na brak wygód i biedę teraz, gdy dzięki staraniom córki ma byt zabezpieczony.

--- Stara się, stara, to i cóż z tego starania? To wszystko niepewne, gdy przeciwnie, idąc za mąż, poprawiłaby los i mnie, i sobie. Pan powinieneś wpłynąć na nią, przedstawić jej to; ona pana słucha, to może więcej będzie miała uwagi na to, co powiesz, niż ja. Głos matki u niej nic nie znaczy, całkiem nic. Powiedz jej pan, że tym uporem dobije mnie do reszty, że mnie do grobu doprowadzi.

Na wspomnienie grobu rozpłakała się, a płacząc, lamentowała dalej:

--- Widzisz, konsyliarzu, czy to słyszane rzeczy, żeby matka na własne dziecko płakać musiała? Oj, doczekałam się, doczekałam!

Doktora niecierpliwiły te narzekania, których niesłuszność widział dobrze. Chcąc się od nich uwolnić, przyrzekł, że będzie z Janiną mówił o jej małżeństwie i zrobi, co może, aby ją skłonić do tego.

Nie poprzestał na samej obietnicy i skoro tylko znalazł się raz sam na sam z Janiną, poruszył tę kwestię.

Powtórzył przed nią to wszystko, co mówiła matka, i dodał ze swej strony także kilka słów, namawiając Janinę do zadośćuczynienia woli matki. Nie znając pobudek, które Janinę do zwłoki ślubu skłaniały, był pewny, że jakieś małe nieporozumienie, kaprys chwilowy, były tego przyczyną i dlatego przemawiał za małżeństwem, choć nie bardzo był za nim. Skłaniała go do popierania tego małżeństwa jeszcze inna okoliczność. Z każdym dniem spostrzegał w sobie rosnące coraz bardziej przywiązanie do Janiny; na próżno starał się przed sobą samym oszukiwać się co do tego i skłonność tę nazywał to przyzwyczajeniem, to braterską miłością, to przyjaźnią; w głębi duszy czuł dobrze, że to silniejsze uczucie, że to uczucie coraz więcej owłada nim. Zdawało mu się, że gdyby przestał bywać w domu Janiny, wyleczyłby się z tej sercowej choroby. Ale przestać bywać było niepodobna. Zanadto wżył się w tę rodzinę, związał się z nią mnóstwem drobnych interesów, które jak nitki przytrzymywały go tam. Zerwać je nagle, bez dania powodu, było niepodobieństwem. Jedynie małżeństwo Janiny z Augustem mogło to zrobić. Więc, choć o tej chwili myślał z przestrachem, oczekiwał jej z rezygnacją. Ślub Janiny miał być dla niego rodzajem operacji, której poddać się trzeba było, choćby z niebezpieczeństwem życia, byle się ratować. Zwłoka ślubu przedłużała tylko jego śmiertelne obawy. Dlatego podjął się przykrej misji namawiania Janiny do związku z Augustem, a namawiając ją do tego, był nawet wymownym.

Janina wysłuchała go spokojnie, nie przerywając mu wcale. Na twarzy jej nie znać było żadnego wzruszenia, nie można było poznać, jakie wrażenie robią na niej jego perswazje; tylko usta wąskie pobladły trochę i lekko drżały. Gdy skończył mówić, podniosła na niego oczy i spojrzała tak dziwnie jakoś, poważnie i głęboko, że się zmieszał. A potem spytała głosem drżącym:

--- I to pan mi radzisz? Pan?

--- W czym pani upatrujesz niewłaściwość?

--- A wiesz pan, dlaczego małżeństwo to chcę zerwać?

--- Rad bym wiedzieć.

--- Przypominasz pan sobie, coś mówił kilka dni temu, gdy się zgadało o pracy kobiet, o moim magazynie?

--- Tak, pamiętam, mówiłem o tym, ale nie rozumiem.

--- Mówiłeś pan wtedy, że kobieta, która idzie za mąż bez przywiązania, ale tylko dla poprawienia losu, jest niewolnicą, tym sromotniejszą, że nie ją sprzedają, ale sama się sprzedaje. Toś pan sam mówił i dziś mi radzisz, abym szła za mąż.

--- Więc pani sądzisz, że mogłem myśleć wtedy o pani?

--- Być może, że mówiłeś pan ogólnie, ale ja nie mogłam nie wziąć tego do siebie. Położenie moje jest takie samo...

--- Nie widzę tego. Tu są zupełnie inne okoliczności.

--- Te same, te same --- rzekła żywo --- nie usprawiedliwiaj mnie pan, bo ja sama czuję dobrze, jak poniża się kobieta, uważająca małżeństwo jako interes. Wina to otoczenia mojego, wychowania, pojęć, w których wzrosłam, żem nie przyszła wcześniej do tego przekonania, że trzeba było dopiero kogoś, co by mi oczy otworzył. I pan chcesz teraz popsuć to, coś zrobił?

--- Jest czasem smutna konieczność, która na zmusza działać wbrew popędom serca.

Mówił to na swoje usprawiedliwienie; ona wzięła to do siebie i rzekła:

--- Teraz jestem wolną od tej konieczności. Położenie moje obecne nie zmusza mnie, abym szła za człowieka, którego nie kocham. Dlatego chcę zerwać to małżeństwo.

--- Zerwać? --- spytał Paweł z radością, a zarazem z przestrachem.

--- Tak, zupełnie. Rozmyślałam długo nad tym i po głębokiej rozwadze zrobiłam to postanowienie. Wole złamać słowo, niż życie swoje i cudze. Nie chce nikogo oszukiwać.

Po takim szczerym i stanowczym wyznaniu, Paweł nie miał już nic do powiedzenia. Postanowienie Janiny zasępiło go jednak. Niebezpieczeństwo stawało się dla niego znowu groźniejsze, fatalność wikłała go coraz silniej. Janina spostrzegła tę chmurę na jego czole i spytała:

--- Pan zdajesz się nie pochwalać mojego kroku.

--- Źleś mnie pani zrozumiała. Wszystko, co pani robisz, budzi we mnie szacunek dla pani. Gdybym miał córkę, pragnąłbym, żeby była do pani podobną. Byłbym wtedy bardzo, bardzo szczęśliwy.

Janina spuściła oczy --- oboje milczeli czas jakiś. Po chwili ona znowu spytała:

--- Dlaczego pan podjąłeś się tej misji?

--- Matka pani życzyła sobie tego.

--- Pan jednak przemawiałeś nie jakby od matki. Mówiłeś jakby z własnego przekonania. Każdy inny mógłby mi to mówić, tylko nie pan, to byłoby mniej przykrym dla mnie. Pan jeden nie powinieneś był tego mówić, pan powinieneś mnie znać lepiej jak wszyscy.

--- Chciałem tylko pani szczęścia; sądziłem, że pani kochasz Augusta.

--- Pan tak sądziłeś? --- spytała, patrząc mu badawczo w oczy.

Paweł nie mógł wytrzymać spojrzenia tego, spuścił oczy i zarumienił się.

--- Dlaczego pan jesteś ze mną tak nieszczery?

Ton głosu był taki rzewny, serdeczny, pociągający, że Paweł przeląkł się o siebie. Czuł, że słabnie. Chciał przerwać tę rozmowę niebezpieczną i spytał drżącym, stłumionym głosem:

--- Cóż mam powiedzieć mamie na usprawiedliwienie postanowienia pani?

--- Powiedz jej pan prawdę; powiedz jej pan, że nie kocham Augusta.

--- Ona wie o tym, ale to jej nie wystarcza. Utrzymuje, że miłość przyjść może potem, że pani się przywiążesz.

--- Więc powiedz jej pan wszystko --- rzekła z rezygnacją --- powiedz jej, że kocham innego.

Rumieniec szkarłatny oblał jej twarz. Zakryła ją rękami i wybiegła do drugiego pokoju.

Paweł stał jak przykuty do miejsca, oczy miał utkwione w drzwi, za którymi zniknęła Janina, a w głowie zamęt, chaos, szaleństwo prawie. Radość i rozpacz równocześnie uderzyły w niego. Nie mógł już wątpić teraz; Janina go kochała. Szczęście rzucało mu się w ramiona, a on ich nie mógł otworzyć na jego przyjęcie. Musiał być głuchym i myśleć o ucieczce z miejsca, gdzie chciałby był pozostać na wieki.

Opuścił dom Janiny z myślą niewracania do niego. Postanowienie było okropne, ale okropniejsze wykonanie. Cały tydzień męczył się, aby nie widzieć Janiny. Tydzień ten wydał mu się długim jak lata. Szukał ratunku w pracy, w gorączkowym zajęciu się, ale to niewiele pomagało. Postanowił więc całkiem wyjechać z Wiednia. Odległością chciał sobie utrudnić możność widywania Janiny.

Przypadek mu usłużył. Jednego dnia spytał go profesor Hoffer, czyby który z jego kolegów nie chciał przyjąć posady nadwornego lekarza starej księżny R. w Galicji. Hoffer dodał, że to posada bardzo korzystna, bo z roczną pensją dwóch tysięcy guldenów, wszelkimi wygodami i z gratyfikacją po trzech latach lub po śmierci księżny, w kwocie pięciu tysięcy guldenów.

Paweł oświadczył, że on sam z radością przyjmie tę posadę.

--- Tobie bym nie radził. Posada ta wprawdzie korzystna, ale nie dla ciebie. Ty masz przyszłość przed sobą; nie powinieneś opuszczać stolicy. Tu możesz wyrobić sobie świetną karierę. Zresztą księżna postawiła za warunek, żeby doktor był kawalerem, a o tobie Adolf mi wspominał, że się masz żenić.

--- Ja? --- spytał Paweł ze zdziwieniem.

--- Tak; z córką jakiejś wdowy po urzędniku. Panna podobno już była narzeczoną innego, kolegi Adolfa, ale przeniosła ciebie.

--- Kto to mówił?

--- On sam, ten narzeczony. Więc to miałoby być nieprawdą?

--- Bajka wierutna! --- rzekł Paweł z oburzeniem. --- Najlepszy dowód w tym, że chcę przyjąć tę posadę i proszę cię o nią, profesorze. Potrzebuję koniecznie wyjechać.

Mówił te słowa z taką gorączkową natarczywością, że profesor nie próbował odradzać mu, domyślając się, że zapewne jakieś ważne powody skłaniają Pawła do powrotu do kraju. Napisał mu więc jeszcze tego samego dnia list polecający do księżny, adres jej, i wręczył mu pieniądze na drogę.

Paweł chciał niezwłocznie wyjechać, nie widząc się całkiem z Janiną. Takie rozstanie wydawało mu się łatwiejszym. Ale byłoby to potarganiem wszelkich form towarzyskich, grubą niegrzecznością, tak się rozstawać z osobami, od których doznawał tyle życzliwości, pod których dachem tyle miłych chwil spędził. Uzbroił się więc w odwagę i poszedł tam.

W pierwszym pokoju zastał Janinę samą. Była smutną i zmienioną. Gdy go ujrzała wchodzącego, zarumieniła się, wstała na jego spotkanie i podała mu rękę, nie patrząc na niego. Ręka jej była zimna i wilgotna.

--- Sądziłam --- rzekła głosem, w którym łzy czuć było --- że pana nie zobaczymy więcej, żeś pan ó nas zapomniał.

--- To ostatnie posądzenie było bardzo niesprawiedliwym --- odrzekł Paweł.

--- Tyle dni pana nie widziałyśmy, że mogłam to przypuszczać.

--- Byłem mocno zajęty.

--- Nie usprawiedliwiaj się pan. To, żeś przyszedł, wystarcza mi i każe zapomnieć o tym, co było.

Podała mu znowu rękę i uśmiechnęła się przez łzy.

--- Nam tu było bardzo źle, bardzo smutno bez pana.

Paweł nie miał odwagi powiedzieć jej, że przyszedł się pożegnać. Rozmawiali czas jakiś o rzeczach obojętnych, o których nie myśleli wcale, bo tego, o czym myśleli, wypowiedzieć nie chcieli lub nie mogli. Potem Paweł poszedł do matki i tej wprost już oświadczył, że przyszedł pożegnać się, bo wyjeżdża na długo. Mały Józio usłyszawszy to, zaczął płakać, objął doktora za szyję, mówił, że go nie puści, i narobił takiego hałasu, że aż siostra przyszła spytać się o przyczynę.

--- Widzisz, doktor chce nas opuścić, chce odjechać --- wołał mały, trzymając ciągle doktora. --- Nie pozwól mu, on musi, on powinien pozostać z nami. My go tak kochamy, mama i ja, i ty. Prawda, że ty go kochasz? No powiedzże mu to, on cię usłucha.

Janina usiłowała się uśmiechnąć, ale doktor widział, że stawała się coraz bledszą. Musiała się oprzeć o komodę, aby nie upaść. Powiedziała kilka słów do Józia dla uspokojenia jego żalu i wyszła z pokoju krokiem chwiejnym, osłabionym.

Paweł czas jakiś zabawił jeszcze przy chorej staruszce, która także lamentowała, że ją opuszcza; uspokoił Józia, że wyjazd jego nie tak prędko nastąpi, że może jeszcze się coś zmieni --- i wyszedł.

W przedpokoju spotkał się z Janiną. Czekała tam na niego. Była blada jak ściana. Rozpalonymi rękami

chwyciła go za rękę i spytała głosem zadyszanym:

--- Czy to prawda, że pan odjeżdżasz?

--- Tak.

--- Na długo?

--- Może na zawsze.

--- Na zawsze! Jakiż powód?

--- Muszę --- odrzekł z udręczeniem. Spojrzała mu surowo w oczy. W twarzy jej była rozpacz, obłąkanie.

--- Nic pana nie wstrzyma?

--- Nic.

Podniosła dumnie w górę głowę.

--- Żegnam --- wyszeptała z trudnością i odwróciwszy się szybko od niego, wróciła do pokoju.

Pawłowi zdawało się, że słyszał za drzwiami łoskot upadającego ciała. Nie miał już odwagi wrócić tam i przekonać się. Odwaga jego już wyczerpała się. Mógłby był zostać na zawsze. Tego się bał i dlatego nie wrócił. Na drugi dzień rannym pociągiem wyjechał do Krakowa.

Janina spokojniej zniosła to, niż się spodziewać było można. Obrażona duma dodała jej sił i odwagi do przetrzymania tego ciosu. Była bowiem przekonaną, że Paweł uciekł przed jej miłością, że nią wzgardził. A choć zbyt skromną była, aby mogła żądać od niego wzajemności, to jednak takie nagłe zerwanie z jego strony dotknęło ją do żywego. Usiłowała o nim zapomnieć. Praca była dla niej najlepszym lekarstwem.

Z gorliwością zdwojoną zajęła się teraz swoimi interesami. Przede wszystkim chciała stanąć niezależnie od swego przedsiębiorcy, który jej użyczył kapitału na rozpoczęcie handlu. Dotąd płaciła mu procent od niego, teraz chciała spłacić i kapitał, aby mieć zupełnie wolne ręce i nie być zależną od nikogo. W tym celu udała się do niego.

Był to już niemłody człowiek, poczciwej i sympatycznej powierzchowności. Niegdyś miał swój majątek, który wierzyciele wystawili na licytację. Chodził potem dzierżawami, na których mu się nie wiodło, a wreszcie osiadł we Wiedniu i otworzył na Alsergrund dom komisowy. Paweł poznał się z nim lecząc jego żonę, za co według swego zwyczaju nie chciał przyjąć żadnego wynagrodzenia, czym zobowiązał sobie bardzo starego komisjonera. Toteż jego pośrednictwa użył, gdy chciał przyjść w pomoc Janinie, i polecił mu zająć się jego interesami, za co darował mu procent od owego kapitału, niby przez niego pożyczonego. Komisjoner wzbraniał się przyjąć takie wynagrodzenie, utrzymując, że sam jest dłużnikiem doktora, ale doktor nie przystał na tak bezinteresowną usługę i dał mu wolność rozporządzania tymi pieniędzmi.

--- Za twoją pracę --- mówił mu --- należy ci się wynagrodzenie. Nie powinieneś być tak wspaniałomyślnym, bo masz żonę i dzieci.

Komisjoner nie mógł nie przyjąć tej pomocy, ofiarowanej mu z taką życzliwością, i procenta, jakie brał od Janiny, składał w kasie oszczędności na posag dla swej córeczki.

Odkąd Janina nie potrzebowała już pomocy i opieki Pawła, komisjoner widywał go bardzo rzadko. W ostatnich czasach nie widział go przez kilka miesięcy. Był więc mocno zakłopotany, gdy Janina zjawiła się u niego z zamiarem spłacenia pożyczonej sumy. Nie wiedział, czy ma przyjąć, czy nie. Ulegając jednak jej żądaniu, przyjął pieniądze i wystawił kwit na odebraną kwotę.

Po jej odejściu udał się do doktora, ale już go nie zastał. Powiedziano mu, że wyjechał do Galicji. Adresu nie zostawił. Dowiedział się tylko, że nie wróci więcej. Wiadomość ta wprawiła poczciwego człowieka w niemały ambaras. Nie wiedział, co mu wypadało robić teraz z pieniędzmi. Zatrzymać ich nie chciał, bo nie były jego własnością, a nie wiedział, gdzie je przesłać właścicielowi. Po dłuższym namyśle zdecydował się odnieść je Janinie, dla niej bowiem były one pierwotnie przeznaczone i tam powinny pozostać, skoro właściciel ich nie dał żadnego w tym względzie rozporządzenia.

Tak sobie wyrozumował komisjoner i w tym celu udał się następnego dnia do Janiny, aby odkryć przed nią całą prawdę i oddać jej pieniądze.

Janina niepomału zdziwiła się tym wyznaniem. Z początku uważała komisjonera za pozbawionego zmysłów. Gdy jednak jasno jej wytłumaczył, że był tylko podstawionym i działał w imieniu trzeciej osoby, uwierzyć musiała, że w istocie jakiś nieznajomy, tajemniczy opiekun zajmował się jej losem. Chciała wiedzieć koniecznie jego nazwisko; komisjoner wzbraniał się powiedzieć, gdyż przyrzekł to zachować w tajemnicy. Gdy jednak Janina nie chciała przyjąć pieniędzy, dopóki nie będzie wiedzieć, komu ma je zwrócić, zdecydował się odsłonić tajemnicę i powiedział jej nazwisko doktora.

Janina osłupiała. Ten, którego podejrzewała o brak serca, zarozumiałość, stanął teraz przed nią w aureoli szlachetności i czułości. Wtedy, gdy sądziła, że gardzi nią, on czuwał nad nią i był jej dobroczyńcą w sposób tak delikatny i skromny. Schował się poza innych, aby móc jej pomóc.

To rozrzewniło ją i napełniło nadzieją, że Paweł kochał ją, że może właśnie dla uwolnienia jej od małżeństwa z Augustem chciał zapewnić jej niezależność. Ale dlaczego wyjechał? Była to zagadka, której sobie wytłumaczyć nie umiała.

Myśląc nad tym wszystkim zapomniała całkiem o obecności komisjonera, który siedział przed nią i trzymał przygotowane pieniądze.

--- Więc pani przyjmujesz te pieniądze? --- spytał, chcąc jej przypomnieć obecność swoją.

To pytanie oprzytomniło Janinę; spojrzała na komisjonera i rzuciła mu pytanie:

--- Więc pan nie wiesz, gdzie się doktor teraz znajduje?

--- Gdybym wiedział, nie byłbym z tym do pani przychodził.

Spojrzała mu bystro w oczy, jakby go chciała wybadać, czy jej nie oszukuje. Twarz jego świadczyła, że mówił prawdę.

--- I nie powiedziano panu, gdzie wyjechał? Musiał w mieszkaniu swoim zostawić adres.

--- Żadnego. Stróżka mówiła mi, że podobno wyjechał do Galicji na posadę. Więcej nic nie wie. Gdybym mógł był się dowiedzieć o jego pobycie, byłbym przesłał te pieniądze. A że nie wiem, więc uważałem za stosowne złożyć je u pani. Masz pani do nich prawo i nie powinnaś wzbraniać się ich przyjąć.

--- A więc przyjmuję je --- rzekła z determinacją --- jako depozyt; jako depozyt --- powtórzyła w zamyśleniu, jakby układając coś w głowie.

Tego samego wieczora napisała list następujący:

Kochany Wuju!

Robiąc starania dla Ciebie w celu wyszukania owego zatraconego gdzieś przyjaciela Twego, nie sądziłam, że niezadługo i ja będę musiała prosić Ciebie o podobną przysługę. Jest to widać familijnym przeznaczeniem naszym, poszukiwać utraconych przyjaciół. I my mieliśmy takiego. Znasz go z moich listów. Jest to ów doktor Paweł Szczerba, o którym Ci tyle pisałam. Dobroci i życzliwości tego człowieka zawdzięczamy nie tylko zdrowie matki, ale byt nasz i poprawę losu. Nie wiem dlaczego, czy żeby uniknąć naszej wdzięczności, czy z innych powodów usunął się od nas i wyjechał z Wiednia. Dowiedziałam się, że wyjechał do Galicji na posadę.

Tobie, kochany Wuju, znającemu stosunki miejscowe i mającemu tyle znajomości, nietrudno będzie odszukać miejsce pobytu jego i donieść mi o tym. Nie będę spokojną, dopóki nie spłacę długu wdzięczności, jaki zaciągnęliśmy u tego człowieka, dopóki nie przeproszę go za posądzenie niegodziwe, jakim go obarczyłam. Pomóż mi, wuju drogi, spełnić to, bo od tego zależy moje szczęście, mój spokój. --- Skoro się dowiesz cokolwiek o nim, donieś mi natychmiast.

Dalej pisała mu o zdrowiu matki, o swoim powodzeniu, o zerwaniu małżeństwa, z czego usprawiedliwiała się przed nim. W końcu było jeszcze przypomnienie i gorące polecenie odszukania pobytu doktora Szczerby.

List ten wysłała do Galicji, do księdza Klemensa w Zarzeczu.

XVII

W dwa lata po tych wypadkach, pewnego pięknego dnia listopadowego, w Meran, nad brzegiem rzeki, w miejscu, gdzie zwykle gromadzą się i spacerują chorzy w godzinach popołudniowych, siedziała na odosobnionej ławeczce jakaś dama. Mogła mieć lat dwadzieścia kilka. Twarz jej, jakkolwiek chorobliwie blada i jakby zmięta, uderzała szlachetną powagą i klasyczną harmonią rysów, a w spojrzeniu czarnych, wilgotnych oczu było coś, co imponowało. Z kosztownego i eleganckiego ubrania, jak również z ruchów niedbałych, a jednak pełnych gracji i swobody, poznać można było damę wyższego świata. Przechodzący ciekawie się jej przypatrywali, bo dziś pierwszy raz pojawiła się na spacerze, i pytano się wzajem: kto jest ta interesująca dama?

Dama jednak nie zwracała wcale uwagi na to, że jest przedmiotem ogólnego zajęcia, i obojętnie bawiła się łańcuszkiem od zegarka lub patrzyła przed siebie tym spojrzeniem, które błądzi bez celu w przestrzeni, nie zatrzymując się na żadnym przedmiocie wyłącznie. Dama ta znalazła jednak znajomych w Meranie, bo po niejakim czasie zobaczono ją spacerującą z drugą damą, w fiołkowym aksamitnym ubraniu, którą w Meranie znano pod nazwiskiem "polnische Grafin", a niektórzy nazywali ją także "Fru, fru", dla jej żywego usposobienia, oryginalnych fantazji i dziecinnego prawie roztrzepania.

--- I dawno tu jesteś? --- spytała fiołkowa dama swej towarzyszki, idąc z nią pod rękę wzdłuż brzegu rzeki.

--- Od trzech dni.

--- Od trzech dni! I ja nic o tym nie wiedziałam! To coś nadzwyczajnego! Bo, trzeba ci wiedzieć, że ja tu o wszystkich i o wszystkim wiedzieć muszę. Mam swoją tajną i jawną policję, swoich ambasadorów, tłumaczy, adiutantów, kronikarzy bez różnicy stanów, płci, narodowości; porobiłam najrozmaitsze znajomości i dlatego jestem au courant wszystkiego. Wiem kto skąd, gdzie mieszka, w kim się kocha, co robi, co je --- a jednak o tobie nie wiedziałam!... Gdzie mieszkasz?

--- W jakiejś willi za rzeką.

--- Obok zamku starego majora?

--- Nie wiem; nie znam tu wcale nikogo.

--- Tam, za tą figurą wśród winnic? --- spytała Fru, fru, zatrzymując towarzyszkę i wskazując na figurę na wzgórzu, której blaszany daszek błyszczał w słońcu.

--- Tak.

--- A więc obok majora. O, major dostanie złą notę za opieszałość i pozbawionym będzie prawa towarzyszenia mi do kościoła, skoro mi nie doniósł, że w bliskości niego przebywa tak powabna nieznajoma, która do tego jest moją przyjaciółką i koleżanką szkolną.

Słowa te zakończyła serdecznym uściskiem ręki swej towarzyszki.

--- Twój major nie mógł mnie widzieć, bo dziś pierwszy raz wyszłam z domu. Byłam cierpiącą. Choroba sprowadziła mnie do Meranu.

--- Nie pozwolę ci chorować. Wyleczę cię zabawą, śmiechem, rozrywkami. To moja metoda, która stokroć lepiej działa niż wszystkie homeopatie, aleopatie, winogronowe kuracje i różne leki. Robię tym konkurencję tutejszym doktorom. I ciebie biorę w kurację, dobrze?

Dama uśmiechnęła się pobłażliwie i rzekła:

--- Trudno ci pójdzie kuracja ze mną. Nie lubię zabaw, towarzystwa, trochę przez to, że zasiedziałam się na wsi, trochę pochodzi to z usposobienia, a przy tym jestem wybredną, nie każde towarzystwo bawi mnie.

--- Wprowadzę cię w śmietankę tutejszego towarzystwa; jest tu hrabina Arturowa, księżna R., żona ministra włoskiego, jenerałowa Lebrum i dużo, dużo innych. Zbieramy się co czwartek u księżnej R. Wprowadzę cię tam i zapoznam. Czy sama tu jesteś?

--- Nie, z ojcem.

--- Więc stary pułkownik żyje? Ciekawam, czy mnie pozna, gdy mnie zobaczy.

--- To będzie trudno --- rzekła z westchnieniem dama --- ojciec mój stracił wzrok.

--- Cóż mu się stało?

--- Katarakta. Ojciec mój chce się poddać operacji i dlatego stąd jedziemy do Berlina.

--- Na co wam Berlin? Mamy tu okulistę --- znakomitość! Musiałaś słyszeć o operacji katarakty księżnej R.? Nikt nie sądził, że się uda. Księżna jest już wiekową osobą. Odradzano jej powszechnie, ale ona posiadała nieograniczone zaufanie do swego lekarza i poddała się operacji, która udała się wyśmienicie. Nie masz pojęcia, jakie to wrażenie na nas zrobiło, gdyśmy w naszym gronie po raz pierwszy po operacji zobaczyły księżną, którą przyzwyczaiłyśmy się widzieć jako ociemniałą staruszkę, chodzącą bez pomocy obcej i patrzącą na nas. Popłakałyśmy się wszystkie z radości. Uzdrowienie księżnej zrobiło doktorowi ogromny rozgłos; dziś prawie wyłącznie zajmuje się okulistyką i ma wielką praktykę. Rozrywają go sobie.

Dama dość obojętnie słuchała entuzjastycznych pochwał, jakimi jej przyjaciółka obsypywała doktora; widocznie nie dowierzała w zupełności tym pochwałom, a przynajmniej uważała je za przesadzone.

--- Jesteś widocznie protektorką tego doktora --- rzekła z dwuznacznym uśmiechem.

--- Owszem, nie cierpię go.

--- A to znowu z jakiego powodu?

--- Bo się w nim kocham.

--- Ty, w doktorze? --- spytała dama z pewnym zgorszeniem.

--- Nie ja jedna; kochamy się w nim prawie wszystkie znajome księżny. Od jakiegoś czasu weszło w modę kochać się w nim.

--- Dziwna moda! --- rzekła dama, ruszywszy pogardliwie ramionami.

--- Nie będziesz się dziwić, skoro go poznasz. Herkules i Apollo w jednej osobie.

--- Jestem spokojną o siebie. Mam nadzieję, że cało wyjdę spod ognistych strzałów tego waszego Don Juana.

--- Ognistych strzałów?

--- Zapewne będzie chciał i na mnie spróbować siły swych morderczych spojrzeń --- rzekła dama z ironią.

--- Otóż mylisz się. On wcale nie próbuje tej siły i to nas wszystkie, a szczególnie mnie, do desperacji doprowadza. Gdyby był innym, czy sądzisz, że mogłabym się kochać w nim tak długo? A kocham się już całe trzy miesiące. Tak stałą miłością nie mógł się poszczycić mój mąż nawet, choć kochałam go więcej niż innych, dopóki nie był moim narzeczonym, dopóki wątpiłam, czy mnie kocha. Ale odkąd przekonałam się, że tak jest, miłość jego przestała mnie bawić, a małżeństwo do reszty mnie ostudziło. Miłość, gdy przechodzi w fazę obowiązków, staje się nieznośną.

--- Doktor musi znać twoje zasady i dlatego przyjął odpowiednią taktykę.

--- Otóż to mnie gniewa, moja droga, że on nawet nie zadaje sobie trudu poznać moje zasady, poznać mnie samą.

--- Więc to jakiś klasyczny posąg, którego nic poruszyć, nic zająć nie zdoła.

--- Gdyby tak było, dawno bym przestała o nim myśleć i wyperswadowałabym sobie miłość do kamienia. Ale w tym człowieku widzę, przeczuwam serce, które umiałoby kochać, i to mnie do szaleństwa, do desperacji doprowadza, że nie mogę dobrać się do tych zaklętych skarbów. Ty wiesz, że ja w klasztorze marzyłam zawsze o takich niepodobieństwach.

--- Zapewne kocha inną, jaką szwaczkę lub kawiarkę, i oddał jej te skarby zaklęte.

--- Byłabym o tym wiedziała. Od dwóch lat bowiem jest już u księżnej.

--- Ot, egzaltowaną jesteś jak dawniej, moja droga. Upatrzyłaś sobie to, czego nie ma, i zachwycasz się tworem własnej fantazji, który w rzeczywistości jest zwyczajnym człowiekiem. Z tego, co mi mówisz, widzę, że wasz doktor jest tylko zręcznym karierowiczem, który, korzystając z waszej łatwowierności, przybrał pozę jakiegoś Katona i kokietuje was obojętnością, stoicyzmem.

--- Najfałszywiej go sobie wyobrażasz. Owszem, jest bardzo naturalny, przystępny, uprzejmy i miły, ale w tej jego grzeczności jest jakaś pewna chłodna powaga, która mnie upokarza i robi nieśmiałą. On, zdaje się, nie uważa mnie za kobietę, a tym mniej za kobietę, która mogłaby stać się dla niego niebezpieczną. Po prostu traktuje mnie jak kapryśnie?, zepsute dziecko, z pobłażliwością, która mnie do desperacji doprowadza. Jeżeli tak dłużej potrwa, to nie wytrzymam i wstąpię do klasztoru. Towarzyszka mówiącej parsknęła śmiechem.

--- Ty do klasztoru?!

--- No, nie na zawsze. Przynajmniej na jakiś czas. Może to go poruszy, bo już nie wiem, co robić.

--- Ależ to dzieciństwo!

--- Tak i ja nieraz sobie mówię, a jednak, gdy pomyślę, że ten człowiek może nigdy żadnej kobiecie nie powiedział, że ją kocha, i że to słowo mogłabym ja pierwsza z jego ust usłyszeć i posiąść serce jego nietknięte, dziewicze, to ogarnia mnie taka jakaś rozkosz nieznana, tyle sobie wyobrażam szczęścia w takiej miłości, że nie mam siły ani odwagi wyrzec się choćby nadziei podobnego uczucia. To musi być coś cudownego, przez takiego człowieka być kochaną. Ja dotąd takiej miłości nie zakosztowałam. Wszyscy, którzy kochali się we mnie, nawet ci, którzy szaleli za mną, mieli już serca jak katakumby z nagrobkami dawnych miłości; nawet mój mąż, zaprzysięgając mi miłość, mógł mi tylko powiedzieć: "ty będziesz ostatnią", ale nie mógł już powiedzieć: "ty jesteś pierwszą". A twój mąż? Pewnie nie był lepszy, co?

Niespodziewane pytanie to zarumieniło twarz damy, do której było zwrócone, zmieszało ją.

--- Nigdy go o to nie pytałam --- rzekła poważnie.

--- I dobrze zrobiłaś. Możesz przynajmniej łudzić się, że tak było. Podobno niedługo żyliście ze sobą?

--- Zaledwie parę miesięcy --- rzekła dama, a w głosie jej czuć było, że pytania fiołkowej damy męczyły ją i niecierpliwiły. Ta jednak nie uważała tego i mówiła dalej:

--- Mąż mój trochę dłużej namyślał się, nim mnie zrobił wolną.

--- Julio --- upominała ją dama, zgorszona taką mową, i niezadowolona ściągnęła czarne łuki brwi. --- Jak możesz wyrażać się w ten sposób!

--- No, po sześciu latach wolno mi przecież zażartować sobie z mego męża. Po śmierci jego nie byłam taką; płakałam bardzo przykładnie i nosiłam po nim żałobę, rok cały. Bo też rzeczywiście żal mi go było trochę; było mi z nim wcale nieźle. Nie moja wina, że umarł. Nie możesz przecież wymagać, żebym na każde wspomnienie jego zmoczyła chusteczkę łzami. Niepodobna wciąż myśleć o umarłych, nie starczyłoby nam wtedy czasu na używanie życia. A ja chcę używać życia, dopóki można, chcę używać młodości, dopóki pierwszy włos siwy i pierwsza zmarszczka nie upomni mnie, że już dosyć. Wtedy zapiszę się do kilku pobożnych bractw i stowarzyszeń, kupię sobie "Cichą łzę" i "Złoty ołtarzyk" i będę się starała dobrymi uczynkami i modlitwą zasługiwać się na niebo. To program mego życia, który, być może, że się zmieni, gdybym zdecydowała się zrobić głupstwo i poszła powtórnie za mąż. Wtedy, kto wie, może bym, mając własne dzieci, przestała sama być dzieckiem. A ty masz dzieci?

--- Nie mam --- odrzekła krótko dama i znowu cień niezadowolenia i jakiegoś przykrego wspomnienia przeleciał po jej bladej twarzy.

--- I nie miałaś ich nigdy? To tak jak ja.

--- Miałam syna, ale umarł przed trzema laty na krup.

--- A wiec jesteś zupełnie wolną. Młoda wdowa i bezdzietna --- to u mężczyzn znaczy coś więcej niż panna. Konkurenci nie dadzą ci tu spokoju, skoro się o tobie dowiedzą. Muszę cię wyswatać.

--- Częstujesz mnie tym, co sama głupstwem nazwałaś; dziękuję ci.

--- Inna rzecz ja. Mąż byłby dla mnie zawadą, a ja dla niego kłopotem. Ale ty z twoim usposobieniem poważnym jesteś stworzona na żonę, na dobrą żonę, i gdybym była zdolna do poświęceń, tobym cię wydała za doktora. Macie oboje wiele podobieństwa. Ale na to się nie zdobędę i umarłabym z zazdrości, gdyby doktor zakochał się w tobie. Dlatego proszę cię, nie bałamuć mi go. Odstępuję ci wszystkich, tylko tego jednego zostaw dla mnie.

--- I tego, i wszystkich --- rzekła dama z pobłażliwym uśmiechem. Nie bój się, nie myślę wcale iść za mąż, a do bałamucenia nie mam ani ochoty, ani zdolności.

Julia chciała coś na to odpowiedzieć, ale urwała nagle i trąciwszy lekko przyjaciółkę, szepnęła:

--- Patrz, to on.

--- Kto?

--- Doktor.

W tej chwili mężczyzna okazałej postawy i pięknych rysów przeszedł koło nich i ukłonił się pani Julii. Ukłon był bardzo uprzejmy, ale chłodny, etykietalny; oddając go, doktor przelotnie zaledwie spojrzał na nieznajomą damę i poszedł spiesznie dalej, czy z obawy, aby go nie zatrzymano, czy też miał może pilny interes.

--- No i cóż? --- spytała fiołkowa dama swej towarzyszki --- jakże ci się podobał?

--- Nie znalazłam nic nadzwyczajnego. Mężczyzna jak tylu innych.

Mówiła te słowa obojętnie i nawet z pewnym pogardliwym lekceważeniem. Ton ten jednak był sztucznie przybrany, widok bowiem doktora zmieszał mocną ową damę i gdyby Julia była wtedy mniej zajętą patrzeniem na doktora, byłaby zauważyła, że ręka jej towarzyszki silnie drgnęła pod jej ramieniem.

--- Inaczej będziesz mówić po kilku tygodniach, zobaczysz. Bliższe poznanie robi go niebezpiecznym. Ale pamiętaj, że doktor mój.

--- Twój, twój --- powtórzyła potakująco dama, tym razem już bez uśmiechu.

Długo jeszcze chodziły obie damy brzegiem rzeki. Godzina obiadowa rozłączyła je. Julia obiecała przyjaciółce odwiedzić ją i jej ojca we czwartek i zabrać potem na wieczór do księżny. Z tym się rozstały.

Julia poszła w stronę hotelu, a przyjaciółka jej zwróciła się ku mostowi i przeszedłszy go, poszła drogą, która wiodła przez winnice do starego zamczyska, obok którego stała willa, zamieszkana teraz przez nią.

Była zamyśloną i jakby niezadowoloną. Parę razy zatrzymywała się i z pewną obawą oglądała się, czy kto nie idzie za nią.

--- Więc to on! --- rzekła do siebie, zatrzymując się na wzgórzu dla zaczerpnięcia oddechu i odpoczynku. Potarła niecierpliwie ręką czoło i dodała:

--- Czyż nigdzie nie będę miała spokoju, nie będę mogła ukryć się przed tym człowiekiem?

Czytelnicy zapewne domyślili się już dawno, kto była owa dama. Tak jest, była to Jadwiga.

Po śmierci syna, którego stratę dotkliwie uczuła, zachorowała była na zapalenie płuc i tyfus równocześnie. Wątpiono już o jej życiu, jednak dzięki staraniom i troskliwości lekarzy wyzdrowiała, ale niezupełnie. Chroniczna choroba piersiowa rujnowała odtąd powoli jej organizm, a melancholia pogrążyła jej umysł w apatyczną ociężałość. Nic ją nie bawiło, nie zajmowało, straciła ochotę do wszystkiego. Brak jej było celu w życiu, stąd pustka w duszy, przesyt i nuda. Nie żyła, ale wegetowała tylko. Doktorzy wysłali ją dla poratowania zdrowia i rozrywki do Meranu, gdzie przypadek zbliżył ją znowu do człowieka, którego starannie unikała i z którym nie miała już nadziei spotkać się kiedy w życiu. Ta niespodzianka zelektryzowała jej letargiczny spokój i przestraszyła ją. Byłaby najchętniej wyjechała natychmiast z Meranu, gdyby nie to, że zdrowie jej nie pozwalało w tej chwili na zmianę miejsca. Postanowiła jednak jak najmniej pokazywać się w miejscach publicznych i nie bywać wcale u księżny, gdzie mogłaby być narażoną na nieprzyjemne spotkanie z doktorem.

Ale przypadek uniemożebnił to postanowienie. Księżna bowiem, jadąc pewnego dnia w towarzystwie Julii, spotkała Jadwigę przechadzającą się koło domu. Nastąpiło przedstawienie i poznanie, a nawet księżna dla wypoczynku wstąpiła na chwilę do mieszkania Jadwigi. Wypadało więc koniecznie oddać wizytę, zwłaszcza że księżna bardzo uprzejmie ją zapraszała do swego towarzystwa. Odmówienie byłoby niegrzecznością do niedarowania. Jadwiga więc zdecydowała się pójść tam, i poszła, uzbroiwszy się w odwagę spojrzenia oko w oko doktorowi.

Była przygotowaną na to, że jeżeli doktor ośmieli się przyznać do jej znajomości lub zbliżyć się do niej, surową powagą i chłodem trzymać go będzie z daleka od siebie i wyprze się jego znajomości. Była pewną siebie, że się nie zdradzi wobec ludzi i będzie się umiała zachować tak, że nie obudzi w nikim żadnego podejrzenia ni domysłu. A gdyby nawet doktorowi przyszła chęć zdradzenia tej tajemnicy, postanowiła wyprzeć się i zadać kłam temu twierdzeniu postępowaniem swoim. Dziwny jej bowiem stosunek do doktora był tak niezwyczajny, miał tyle "nieprawdopodobieństwa, że mogła być spokojną, iż niedyskrecję doktora poczytano by za przechwałkę i nie uwierzono by temu.

Mimo to szła z pewnym niepokojem na zebranie czwartkowe i gdy podczas herbaty doktor wszedł do

salonu, zadrżała i serce pośpiesznie jej bić zaczęło na myśl o grożącym jej niebezpieczeństwie.

Obawa była niesłuszna. Doktor, przedstawiony jej przez księżnę, zachował się tak obojętnie, tak zimno-grzecznie względem niej, jakby ją pierwszy raz widział. Obecność jej nie krępowała go wcale, zdawał się nawet niewiele uważać na nią, a gdy przypadkiem oczy ich parę razy spotkały się ze sobą, to w spojrzeniu jego nie było nic, co by zdradzało jakieś zainteresowanie szczegółowe, zdziwienie, porozumienie lub niemy wyrzut. Najbystrzejszy postrzegacz nie byłby się domyślił, że tych dwoje ludzi łączy tak bliski węzeł.

Gdy Julia zapytała w rozmowie doktora, jak mu się przyjaciółka jej podoba, odpowiedział bardzo grzecznie, że ma twarz bardzo interesującą, ale powiedział to tak zimno, w formie najzwyklejszego komplementu, że Julia nie mogła uważać Jadwigi za niebezpieczną rywalkę w oczach jego. Chciała go zaznajomić bliżej z nią, ale wymówił się bardzo zręcznie, tłumacząc się tym, że takie zbliżenie wyglądałoby na natrętne narzucanie się na domowego lekarza. Julia znała drażliwość jego pod tym względem i dlatego nie nalegała i nie dziwiło ją to wcale, że doktor przez cały wieczór nie starał się zbliżyć do Jadwigi i nawiązać z nią rozmowy. Wytłumaczyła go nawet z tego przed nią.

Ta znajdowała postępowanie doktora bardzo taktownym i w głębi duszy była mu bardzo wdzięczną za tę dyskrecję. Nie mogła przypuścić, że jej nie poznał, znał ją bowiem lepiej niż ona jego, a że tego nie dał poznać po sobie ani jej, ani innym, to dawało jej bardzo korzystne o nim wyobrażenie.

Obecność jego już jej nie przerażała teraz, parę razy ośmieliła się nawet przypatrzyć mu się lepiej i znalazła go bardzo przystojnym i dobrze ułożonym. Dziwić się nawet musiała, że człowiek niskiego pochodzenia mógł przyswoić sobie maniery, sposób obejścia się wielkiego świata, nabrać tyle elegancji, dystynkcji i pewności. Obserwacje te robiła z daleka, aby nie zwrócić niczyjej uwagi, a tym bardzej jego, nie chciała bowiem, aby się domyślał, że się nim zajmuje. To mogłoby go ośmielić do zbliżenia się, czego sobie nie życzyła. Tylko w tak obojętnej odległości stosunek z doktorem wydawał się jej znośnym i możebnym i rada by była, żeby doktor był tego samego zdania i wyperswadował sobie, że inaczej być nie może. Czy jednak będzie miał tyle rozsądku, tego nie była pewną, mając żywo w pamięci scenę w Wiedniu i ów list, który do niej napisał. Wśród towarzystwa umiał panować nad sobą i nie zdradził tajemnicy, ale kto jej mógł zaręczyć, czy dalej będzie tak dyskretnym, czy nie będzie starał się zbliżyć się do niej?

Ta myśl niepokoiła ją przez kilka następnych dni; obawiała się wizyty doktora lada chwila. Tydzień jednak cały minął szczęśliwie, a on nie pokazał się wcale w jej domu. Toteż z większą już odwagą, a nawet z większą ochotą wybrała się następnego czwartku do księżnej. Doktora nie zastała między zgromadzonymi. Sama nie wiedziała, czemu nieobecność jego zwróciła jej uwagę; gniewała się o to na siebie i starała się myśleć o czym innym. Przeszła nawet umyślnie do bocznego saloniku, wmieszała się do rozmowy kilku pań i pozostała tam aż do herbaty.

Wracając do salonu, nie zwróciła całkiem uwagi na grono mężczyzn, stojące koło kominka, pewną będąc, że między nimi znajduje się już doktor i że mogłaby się spotkać z jego wzrokiem i ukłonem. Dopiero kiedy towarzystwo całe ugrupowało się koło stolików, ośmieliła się przejść oczami po sali.

Ze zdziwieniem spostrzegła, że Pawła nie było wcale. To ją zaintrygowało. Nieobecność jego wyglądała na unikanie jej. Ciekawą była wiedzieć, czy doktor usprawiedliwił swoją nieobecność i w jaki sposób, ale nie śmiała się o to nikogo zapytać, tym mniej Julii, aby ta nie posądziła jej o zainteresowanie się doktorem. Ale Julia sama zaczęła o nim rozmowę. Gdy towarzystwo porozchodziło się po pokojach i rozmowa rozbiła się na pojedyncze kółka, Julia wzięła Jadwigę pod rękę i chodząc z nią po sali odezwała się znudzonym głosem:

--- Uważasz, jak tu dzisiaj nudno?

--- Nie widzę tego --- odrzekła Jadwiga, maskując się, gdyż sama nie bawiła się dobrze tego wieczora.

--- Ale ja widzę. Bez mego doktora towarzystwo wydaje mi się niekompletnym. Brak mi zajęcia dla oczu, dla myśli, tracę humor. Obecność jego działa na mnie jak szampańskie wino, krew żywiej mi krąży, wszystko wydaje mi się tak cudownie piękne i wesołe, zabawne, nawet stary major wydaje mi się wtedy dowcipnym. Ach, ten doktor, ten doktor --- mówiła dalej rozgrymaszona trzpiotka --- on mnie doprawdy oczarował, musiał zadać jakiś elixir d'amour. W średnich wiekach można by go kazać spalić za to i byłby koniec. Co on mnie zdrowia kosztuje! Gdy go dzień jeden nie widzę, umieram z niecierpliwości. Co to będzie, gdy księżna odjedzie i zabierze go z sobą? Gotowam sobie co złego zrobić z rozpaczy, jeżeli Pan Bóg nie zlituje się nade mną i nie pomoże mi zakochać się tymczasem w innym. Ach, ta nieznośna szambelanowa!

--- Cóż znowu szambelanowa ci winna?

--- Ukradła mi dzisiaj doktora na cały wieczór. Przysłała po niego, że jest niebezpiecznie chorą. Wyobraź sobie, musiał odejść

stąd, gdy ledwie miałam czas przywitać go. Obiecał, że będzie chciał wrócić, ale widocznie musiała go zatrzymać. O, ona umie zrobić się chorą, gdy zechce; twarzą udaje już śmierć za życia. Szambelan, zaniepokojony jej spazmami, mdłościami, zatrzyma z pewnością doktora do nocy, a ta sentymentalna komediantka będzie się delektować jego widokiem. Ach, to nieznośna rzecz kochać się w doktorze.

Doktorzy to rzecz publiczna, służąca do użytku wszystkich.

W ten sposób lamentowała Julia dalej, jak rozkapryszone dziecko. Jadwiga nie przerywała jej żadną uwagą. Nie miała jakoś żadnej ochoty ani do pocieszeń, ani do śmiechu, choć można było nieraz uśmiać się z naiwnej spowiedzi Fru, fru. Z całej brylantowej sieczki słów przyjaciółki pozostało jej w pamięci, że doktor nie przyszedł na wieczór do księżny z powodu szambelanowej, a ona przypuszczała, że dla niej, i to popsuło jej humor, gdy się przekonała, że pomyliła się w przypuszczeniach swoich.

Następnego czwartku znowu nie zastała doktora. Tym razem już mogła robić wniosek, że unikał jej, a dla zamaskowania przed nią i przed innymi tego manewru, wyszukuje sobie różne pozory. Dlatego spotkawszy się z Julią, która rozgrymaszona i znudzona chodziła po salonie, spytała ją ironicznie:

--- Cóż to? Czy i dziś szambelanowa zabrała ci doktora?

--- Tym razem kto inny.

--- Widocznie twój doktor w czwartek miewa zwykle najważniejsze sprawy do załatwiania. Znałam lekarzy, którzy w ten sposób robili sobie renomę, udając zręcznie zajętych, rozrywanych.

--- Więc przypuszczasz...

--- Że doktor w tej chwili siedzi w domu i najspokojniej czyta gazety.

--- Jak to, nie wiesz, gdzie dzisiaj doktor jest?

--- Skądże mam wiedzieć? Cóż mnie doktor obchodzi?

--- Nie obchodzi, a jednak go obmawiasz i do tego najniesłuszniej. Doktor jest dzisiaj na wielkim obiedzie u ministra. Agitowałam ogromnie za tym, żeby i damy zaproszono, ale stary dyplomata nie chciał przystać na to i prosił tylko samo męskie towarzystwo. Spojrzała na zegarek i mówiła dalej:

--- Wpół do jedenastej, obiad powinien się już. był skończyć.

--- Więc nie tracisz nadziei zobaczenia dziś twego doktora?

--- Księżna mówiła mi, że będzie.

--- A ja sądzę, że nie będzie.

--- Na czym opierasz twój domysł?

--- To mój sekret.

Julia chciała coś jeszcze zapytać, gdy otwarły się drzwi i w nich ukazał się doktor.

Julia spostrzegła go pierwsza i zawołała ucieszona, ściskając konwulsyjnie rękę Jadwigi:

--- A! Otóż on.

Jadwiga przygryzła wargi niezadowolona. Domysły i tym razem ją zawiodły. Wstyd jej było, że się zdradziła z nimi przed Julią.

Tymczasem doktor, przywitawszy niektóre osoby, zbliżył się i do nich. Julia podała mu rękę na powitanie i rzekła:

--- Dziękuję ci doktorze, żeś przyszedł; wyświadczyłeś mi tym wielką przysługę, nie mówiąc już o przyjemności.

--- Gdybym nie był przyzwyczajony do tych łaskawych żarcików pani, mógłbym stać się zarozumiałym.

--- Więc nie wierzysz pan, że mogę coś mówić lub myśleć na serio?

Doktor uśmiechnął się i rzekł:

--- Może za lat kilkadziesiąt.

--- To znaczy, gdy przestanę być dzieckiem, prawda?

--- Ja tego nie powiedziałem.

--- Ale ja zrozumiałam. Tym razem jednak musisz mi uwierzyć, doktorze, że zrobiłeś mi przysługę, bo z twojej przyczyny wygrałam zakład.

--- Z kim i o co?

--- Założyłyśmy się z moją przyjaciółką o ciebie. Jadwiga stanęła cała w płomieniach; szarpnęła lekko towarzyszkę swoją i siląc się na spokojny ton, odrzekła ostro:

--- Ja nie wiem o żadnym zakładzie.

--- Jak to? Nie mówiłaś, że doktor nie przyjdzie, a ja utrzymywałam, że przyjdzie? Czy to nie był zakład?

--- Który pani nietrudno było wygrać, bo znasz mnie pani już dawniej i wiesz, że lubię dotrzymywać słowa; a ja powiedziałem księżnej, że będę.

Tym zwrotem wyprowadził z kłopotu Jadwigę, która nie wiedziała, co ma powiedzieć, i była zmieszana naiwną gadatliwością przyjaciółki.

Doktor odniósł nad nią przewagę w tej chwili, że nie stracił przytomności i zręcznie wycofał się. To ją rozdrażniło, czuła się upokorzoną jego spokojem i przytomnością; wolałaby była może, żeby się był powikłał, zmieszał, a nawet zdradził wobec Julii, że ją zna, niż widzieć go takim trzeźwym, tak panującym nad sobą. Z tego znalezienia się w obecnym wypadku, jak również z całego postępowania doktora musiała wnosić, że stała się dla niego zupełnie obojętną, a nawet, że ją lekceważy. Miłość własna jej uczuła się tym dotkniętą i obrażoną.

Sama sobie dziwiła się, że ją to obejść mogło, że jej tak szło o tego człowieka, którym dawniej pomiatała i gardziła. Niegdyś wstrząsała się z odrazą na myśl, że jest jej niby mężem; później przestraszało ją przypuszczenie, że ten człowiek mógł upomnieć się kiedy o swoje prawa; niedawno jeszcze bała się, aby wobec ludzi nie przyznał się do jej znajomości; a teraz obrażało ją i bolało, że jej znać nie chce.

Dziwna to była przemiana, którą by wytłumaczyć można po trochu podrażnioną miłością własną, po trochu próżnością, a może i tą jałową nudą życia, jakie wiodła. Pojawienie się doktora rozruszało trochę jej krew i nerwy, zastygła dusza dawała znowu znaki życia. Emocja taka bawiła ją, oryginalność położenia, w jakim się znajdowała, łaskotała jej fantazję. Nieraz przychodziło jej na myśl, jakie oczy zrobiłaby Julia, gdyby się jej przyznała, że ten, którym ona się tak zajmuje, jest nie tylko jej dawnym znajomym, ale nawet mężem. Nie miała zamiaru zrobić rzeczywiście tak nierozsądnego kroku i przyznać się do tego, ale lubiła myśleć o tym. Nie miałaby także nic przeciw temu, żeby doktor zbliżył się do niej i na tej stopie, na jakiej stał dotąd, utrzymywał

z nią znajomość; ale doktor unikał dłuższej z nią rozmowy, nie starał się korzystać z jej znajomości i nie znać było po nim, żeby to zrzeczenie się kosztować go coś miało.

Ale jednego dnia Jadwiga na chwilę mogła sądzić, że tak nie jest. Siedząc bowiem tego dnia na balkonie w swej samotnej willi, spostrzegła z daleka idącą ku niej Julię z doktorem. Namyślił się więc wreszcie zrobić jej wizytę --- pomyślała sobie i wstawszy pierwej, zanim idący mogli ją spostrzec, weszła do salonu. Tu przejrzała się w zwierciadle, poprawiła włosy i ubranie, włożyła świeże mankiety i przypięła różową kokardkę. Potem usiadła przy stoliku, udając zajęcie jakąś robótką, i z bijącym sercem oczekiwała wejścia gości. Ale spotkał ją zawód: Julia weszła sama. Jadwiga, witając się z nią, spoglądała ukradkiem na drzwi, mając nadzieję, że doktor za chwilę wejdzie. Doktor jednak nie pojawił się wcale. Nie mogła się powstrzymać, aby nie zapytać o niego Julii.

--- Zdaje mi się --- rzekła, przybierając obojętny ton mowy --- że nie sama szłaś tutaj.

--- Spotkałam po drodze doktora i zabrałam go gwałtem, żeby mnie odprowadził.

--- Nie bardzo grzeczny ten twój doktor; uciekać sprzed samych drzwi.

--- A, moja droga, samaś temu winna.

--- Ja?

--- A tak. Trzeba go było wezwać, poradzić się. Zupełnie go tłumaczę, że nie chce się sam narzucać. Jest on zbyt delikatny i drażliwy.

Jadwiga nic nie odpowiedziała. Przez chwilę zdawała się namyślać nad czymś, potem zatrzymała się przed przyjaciółką i spytała:

--- Czy ty dawno go znasz?

--- Dlaczego to pytanie?

--- Bo widzisz, w takich miejscach jak Meran, spotyka się różnych ludzi. Czasem zdają się być najlepszymi, najporządniejszymi, a tymczasem później pokazuje się całkiem co innego. Czy on rzeczywiście nazywa się Paweł Szczerba?

--- Ależ moja kochana, chcesz go koniecznie brać za jakiegoś oszusta, szarlatana i egzaminujesz mnie jak dyrektor policji.

--- Bo się boję, byś z twoją egzaltowaną wyobraźnią nie zapędziła się za daleko i nie skompromitowała siebie i nas tą znajomością. Cóż byś zrobiła, gdyby się pokazało, że to jest człowiek niskiego pochodzenia?

--- Jest synem chłopa.

--- Wiesz o tym?

--- Sam to mówił i nie taił się z tym bynajmniej. Czyż to nie jest piękne? Wzniosłe? W tej jego szczerości widzę szlachetną dumę, która mnie olśniewa bardziej niż nasze herby. Kto ma odwagę być tym, czym jest, choćby był najmniejszym, staje się przez to wielkim.

--- A gdyby był najbrzydszym? --- spytała z ironicznym uśmiechem Jadwiga.

Pytanie to ostudziło prędko zapał Julii i spadając z tonu odrzekła:

--- Brzydkiemu nie na wiele by się to zdało, ale przy piękności doktora jest to jeden przedmiot więcej, który mnie zachwyca i pociąga do niego.

--- Tak chwalisz tego doktora, że doprawdy bierze mnie ochota poradzić się go względem mego zdrowia.

--- Nie będziesz żałować tego. Jego obecność sama już uzdrawia.

--- Ciebie --- rzekła śmiejąc się Jadwiga.

--- Księżna to samo ci powie.

--- I gdzież mieszka to dziwo?

--- W hotelu "Pod hrabią Meranu", nr 4.

--- Muszę zapisać adres. Może go kiedy użyję. Mówiła nieszczerze, bo zaraz następnego dnia wysłała do hotelu "Pod hrabią Meranu" służącego z biletem, zapraszającym doktora do siebie na godzinę piątą po południu.

XVIII

Następnego dnia po obiedzie Jadwiga przechadzała się żywo po salonie, oczekując doktora. Była ubrana czarno, jak zwykle, lecz w ubiorze tym widać było staranność i elegancję większą może, niż przystało na domową toaletę. Nie trudno było znawcy poznać z tego ubioru, że właścicielce wyraźnie szło o to, aby nie być niepiękną. Piękność ta jednak nie miała wcale cechy zalotności, ale odznaczała się powagą, z którą harmonizowały ciemne meble pokoju i zmierzch wieczorny.

W domu panowała cisza uroczysta. Pułkownika odprowadzono do jego gabinetu na poobiednią drzemkę. Jadwiga była sama i spotkanie się jej z doktorem miało się odbyć bez świadków. Tak sobie ułożyła. Ciekawą bowiem była, jak doktor zachowa się wobec niej sam na sam? Czy zrzuci maskę obojętności, którą z takim talentem nosił w towarzystwie? Przypuszczać mogła, że tak będzie, że odebrawszy od niej zaproszenie, mógł się już domyśleć, co ono znaczy, że było jakby zapowiedzią pokoju i zgody. Po długich bowiem namysłach i wahaniach pogodziła się już z tą myślą, że dla własnego pokoju powinna porozumieć się z doktorem i ułożyć się względem wzajemnego ich stosunku do siebie. Chciała wytłumaczyć mu, że względy towarzyskie nie pozwalają przyznawać się jawnie do małżeństwa z nim, że jednak będzie chciała nagrodzić błąd młodości swoją szczerą życzliwością i przyjaźnią dla niego. Liczyła tu wiele na jego takt i dyskrecję; była pewną, że jej nie skompromituje swoją znajomością, a stosunek poufały, tajemny z człowiekiem, o którego ubiegały się inne kobiety, schlebiał jej miłości własnej.

Z takim pojednawczym, sympatycznym usposobieniem oczekiwała doktora i chodząc po sali z założonymi rękoma, układała sobie cały program rozmowy i postępowania. Czasami zatrzymywała się przy oknie i patrzała na ulicę, wiodącą do miasta, na której lada chwila spodziewała się ujrzeć doktora, śpieszącego do niej. Chwile czekania wydawały się jej nieznośnie długimi i męczyły ją. Nareszcie wybiła piąta na stołowym zegarze pod lustrem. Uderzenia zegara podwajało bicie jej serca.

Chwila stanowcza się zbliżyła. Każdy człowiek zjawiający się w głębi ulicy wydawał się jej doktorem, ale po chwili za zbliżeniem przekonywała się, że to nie on. Wstydziła się sama przed sobą za tę niecierpliwość, uważała, że ubliża sobie, przykładając taką wagę do wizyty doktora. Chciała przezwyciężyć to gorączkowe oczekiwanie, usiłowała być obojętną, odeszła od okna i próbowała zająć się robotą. Po chwili jednak wstała znowu i spojrzała na ulicę. Spostrzegła z przestrachem Julię, idącą do niej. Prawdopodobnie wizyta ta nigdy bardziej nie w porę być nie mogła. Toteż Jadwiga prędko zadzwoniła i zapowiedziała służącej, aby nie przyjmowała nikogo.

--- Nie ma mnie w domu, rozumiesz? Dla nikogo; chyba gdyby doktor przyszedł.

Cofnęła się w głąb pokoju, aby Julia nie zobaczyła jej w oknie, i z niepokojem czekała odejścia przyjaciółki. Rada by była teraz, żeby doktor spóźnił się trochę, aby nie spotkał się przypadkiem z wracającą od niej Julią, mogła bowiem powiedzieć mu, że jej nie ma w domu, i zabrać go z sobą na powrót.

Gdy Julia się oddalała, śledziła ją bacznie zza firanki, czy się z kim nie spotka. Na szczęście odeszła, nie spotkawszy nikogo. Jadwiga odetchnęła, widząc ją znikającą na zakręcie ulicy. Teraz już doktor mógł śmiało się pojawić. Był wielki czas na to. Wskazówka dochodziła już do szóstej, na dworze już pociemniało, a doktora widać nie było.

Jadwiga kazała podać lampę i usiadłszy przy stole, czekała znowu. Chmura niezadowolenia zasępiła jej twarz, postępowanie doktora zakrawało na lekceważenie i było niegrzecznością, której się nie spodziewała wcale. Teraz dopiero przyszło jej na myśl, że może całkiem nie przyjdzie i tym będzie chciał ją upokorzyć i odpłacić się za to, co od niej doznał.

--- To byłoby okropnym! --- mówiła do siebie, gryząc wargi i zmarszczywszy czoło.

Ale wnet przyszła jej inna myśl, mniej przykra, że może obawia się spotkania z nią. To drugie byłoby daleko znośniejszym.

I tym razem jednak zawiodła się w domysłach. Ani jeden, ani drugi powód nie wstrzymywał doktora od przyjścia do niej. Nie bardzo wprawdzie chętnie przyjął zaproszenie Jadwigi; byłby dał wiele za to, żeby mógł wymówić się od pójścia tam, ale nie widział żadnego słusznego powodu. Wzywano go jako lekarza, odmówić nie wypadało, wybrał się więc o oznaczonej godzinie do mieszkania Jadwigi.

Był już na moście, gdy usłyszał, że ktoś go woła po imieniu, i to po polsku. Głos był piskliwy, dziecinny. Obejrzał się i ujrzał małego chłopca, biegnącego za nim pędem. Nim miał czas przypatrzyć mu się, chłopczyna rzucił mu się na szyję, objął go silnie rączkami i począł całować mocno.

--- Ach, panie Pawle, niedobry Pawle, kochany Pawle! --- wołało chłopiątko, trzymając się ciągle doktora za szyję i wisząc prawie w powietrzu.

Doktor po chwili dopiero poznał, że był to Józio, brat Janiny. Widok tego dziecka zbudził w nim naraz wszystkie najmilsze wspomnienia z przeszłości, doświadczał w tej chwili tego ciepłego uczucia, jakie mamy, wracając w rodzinne strony, a żywa radość chłopca i serdeczne jego uściski nieopisaną radością i rozrzewnieniem napełniły jego duszę. Przytulił chłopca jak własne dziecko do piersi i całując go po włosach, mówił ucieszony:

--- To ty Józiu? A skąd się ty tutaj wziąłeś?

--- Jesteśmy tu wszyscy w Meranie, i ja, i mama, i Janina. Przyjechaliśmy dla kuracji mamy.

Paweł obejrzał się, sądząc, że zobaczy gdzie niedaleko Janinę. Ale na drodze nie było nikogo.

--- Jakże mnie poznałeś?

--- O, poznałem od razu. Byłem właśnie na poczcie, dowiedzieć się, czy nie ma do nas jakiego listu, gdy naraz przez okno zobaczyłem pana idącego ulicą. Krzyknąłem z radości tak głośno nazwisko pańskie, że się aż Niemczyska poprzelękali.

Chciałem biec za panem, ale w pokoju było tylu ludzi, czekających na pocztę, że musiałem się czas jakiś dobrze naszamotać i łokciami narozpychać, zanim się wydostałem i pobiegłem za panem. Ach, jak to dobrze, że pan tu jesteś; będzie nam teraz dopiero wesoło! I Janina się ucieszy. Bo ona pana bardzo kocha. Kiedyś pan od nas odjechał, to ona była bardzo smutna. Przed mamą nie pokazywała tego, ale ja widziałem, jak nieraz w nocy, myśląc, że ja już śpię, dobywała z komody pańską fotografię, patrzała w nią długo i płakała bardzo. Wtedy ja sobie nieraz myślałem, że pan musisz być niedobrym człowiekiem, skoro Janinka aż płacze na pana, i powiedziałem jej to raz nawet, ale ona zabroniła mi tak mówić o panu i powiedziała: To nasz anioł stróż; powinniśmy go kochać za to i modlić się za niego. Toteż często bardzo modliliśmy się za pana i mówiliśmy o panu bardzo często, i myśleliśmy o panu. A pan pamiętałeś też o nas?

--- Bardzo często, mój kochany.

--- A jednak pan nie pisałeś do nas, a widzi pan. Pan nie pamiętałeś tak, jak my o panu. Bo my bylibyśmy z pewnością pisali, gdybyśmy wiedzieli, gdzie się pan znajduje, ale nikt nam nie umiał tego powiedzieć. Janina dowiadywała się na wszystkie strony, pisała nawet do wuja, czy nie wie, gdzie pan jest. Bo mówiono, że pan do Galicji wyjechał. Czy to prawda była?

--- Prawda; byłem w Galicji czas jakiś.

--- A czemuś pan wyjechał? Czy panu tak źle było z nami?

--- Tak być musiało, mój Józiu --- rzekł doktor, gładząc chłopca po głowie i patrząc się w niego z zajęciem, bo rysami bardzo przypominał siostrę. A po chwili zapytał go:

--- I gdzież mieszkacie?

--- Tam nad rzeką, koło młyna.

--- U Steinbauera?

--- Tak, tak; pan wie, gdzie to jest?

--- Wiem, wiem, i wieczorem będę u was.

--- O, nic z tego --- zawołał chłopiec, chwytając go za rękę --- pan byś nie przyszedł, pan byś może wyjechał, jak wtedy z Wiednia. Nie puszczę pana, pan musisz iść zaraz ze mną; Janina by się gniewała na mnie, gdybym pana zaraz z sobą nie przyprowadził.

Tak gorąco nalegał malec, tak uparcie trzymał się ręki doktora, że ten, widząc, iż daremnym byłoby wszelkie perswadowanie lub wymawianie się, zdecydował pójść natychmiast z nim, odłożywszy wizytę u Jadwigi na później.

Chłopiec, nie puszczając jego ręki, prowadził go drogą, potem koło figury zeszli na ścieżkę, która ciągnąc się wśród winnic opadała coraz niżej ku rzece. Opodal młyna na małym podniesieniu stał schludny domeczek, którego jedną połowę zajmował właściciel, a drugą odnajęła Janina. Wszystko to Józio przez drogę opowiedział Pawłowi i z hałaśliwą wesołością wprowadził go po schodach, wołając:

--- Janino, Janino, mamy gościa, wielkiego gościa!

Janina właśnie była zajętą robieniem porządków w domu, gdy głos brata usłyszała. Wzięła pośpiesznie lampę ze stołu i wyszła do sieni zobaczyć, co się stało. Ujrzała niespodziewanie przed sobą Pawła, zbladła i lampa zadrżała w jej ręce, o mało jej nie upuściła. Potem zarumieniła się, w oczach zabłysnęły światełka wesołe i z serdecznym, pogodnym uśmiechem wyciągnęła rękę na powitanie doktora, mogąc zaledwie ze ściśnionej radością piersi wydobyć lekki wykrzyk:

--- Pan Paweł!

W tym krótkim wykrzyku było jednak tyle radości, uczucia, wzruszenia, że Paweł mógł wyczytać w nim wszystkie tajemnice dziewczęcego serca i ogarnęła go niewypowiedziana błogość, jakby mu w duszę kto rzucił pełną garść słonecznych promieni i szczęścia. Był jakby odurzony, nie wiedział, co powiedzieć, i jak lunatyk poszedł za Janiną do pokoju, gdzie się znajdowała jej matka. Staruszka po swojemu objawiła radość z przybycia doktora.

--- Ach, jak to dobrze --- mówiła --- że pana konsyliarza Bóg w te strony sprowadził. To tak jakby mi kto połowę zdrowia wrócił, bo ja do pana konsyliarza miałam zawsze zaufanie i wiem, że nikt mi nie poradził tak dobrze. Janina sprowadziła mi jakiegoś opasłego Niemca, ale to gbur, zarozumialec. Przy nim mogłabym się jeszcze bardziej rozchorować.

Podczas gdy matka tak się rozgadała, Janina z rozpromienioną twarzą wpatrywała się w twarz Pawła. Zdawała się pić, połykać go spragnionym wzrokiem. Przypadkiem wtedy Paweł od matki zwrócił się ku niej z jakimś zapytaniem i pochwycił spojrzeniem ten wyraz jej twarzy. Zarumieniła się po uszy ze wstydu i spuściła oczy, a twarz jej, szczególniej usta, drgały jak kwieciste pola, gdy wulkan wre pod nimi. Paweł z lubością wpatrywał się czas jakiś w te rysy drobniutkie, przez które przeświecała dusza rozumna, energiczna, a przy tym pełna słodyczy, uczucia i dziewiczości.

Przez te dwa lata, w których jej nie widział, rysy te mało się zmieniły, a jednak była w nich wielka różnica; wydelikatniały, wyszlachetniały, jakby pod dotknięciem dłuta znakomitego rzeźbiarza. Spojrzenie stało się poważniejsze, głębsze, a wyraz jakiegoś tajemniczego, tęsknego smutku dodawał powabu i uroku całej postaci, bo okrywał ją całą niby mglistą, przejrzystą zasłoną. Paweł, patrząc na nią, doznawał uczucia rzewnej rozkoszy. Co go szczególnie mile ujęło, to delikatność, z jaką Janina umiała poprowadzić rozmowę, nie

trącając w niej o dawne wspomnienia. Nie robiła mu żadnych wyrzutów, nie pokazywała urazy. Rozmawiała z nim z taką swobodą i życzliwością, jakby wczoraj dopiero rozstał się z nimi. A przecież mógł się domyślić, a nawet dowiedział się na pewno wskutek naiwnej gadatliwości Józia, ile cierpiała, jak dotkliwie uczuła jego nagły wyjazd z Wiednia. To jej panowanie nad wzruszeniami, tajenie się z nimi, jeszcze cenniejszą robiło ją w jego oczach; podziwiać musiał serce Janiny, które skarby swoje trzymało zamknięte w skromnym milczeniu i nie chwaliło się z nimi przed ludźmi; umiało cierpieć bez skargi i bez tragicznego koturnu.

Gdy przypadkiem wśród rozmowy Paweł, sam potrąciwszy o przeszłość, uważał za stosowne usprawiedliwić, o ile to mógł uczynić, swój wyjazd z Wiednia, przerwała mu i rzekła, biorąc go życzliwie za rękę:

— Nie tłumacz się pan, to niepotrzebne. Wiem, żeś pan nie zrobił tego, aby nam przykrość sprawić, że miałeś ważne powody. Wystarcza mi, że pan jesteś znowu z nami, że pana widzimy.

W tych słowach jej było tyle ciepła, tyle serdecznej radości, że Paweł, idąc za popędem uczucia, rad by był uklęknąć przed nią i całować jej ręce, i wyspowiadać się ze swego szczęścia, jakiego doznawał. Ale musiał wstrzymać się od tego, nie wolno mu było powiedzieć tego, co czuł; fatalność krępowała jego wolę i usta i wspomnienie to jak chmura zaciemniło jego radość. Równocześnie przypomniał sobie, że ma iść do Jadwigi. Dałby wiele za to, żeby mógł uwolnić się od tego przykrego obowiązku i pozostać cały wieczór tu, gdzie mu tak dobrze było; ale zbyt był sumienny i słowny, aby mógł to zrobić; toteż zadając gwałt sercu, wstał, aby się pożegnać z Janiną.

— Jak to? Pan już odchodzisz? — spytała przestraszona tą niespodzianką. — A my cieszyłyśmy się, że pan zostaniesz z nami cały wieczór.

— Muszę iść. Mam jeszcze kilku pacjentów odwiedzić.

— Czy to tak długo potrwa?

— Z godzinę, a może i dłużej.

— Więc będziemy czekać na pana z herbatą, dobrze? Teraz dopiero siódma; przyjdziesz pan? Zrób nam pan tę łaskę.

— Pani — rzekł Paweł — jeżeli komu, to sobie wyświadczę tym łaskę.

— Więc pan przyjdziesz? — spytała, a światełka radości zamigotały znowu w jej oczach.

— Z pewnością.

— Więc do widzenia.

Podała mu rękę, którą on, porwany silniejszym uczuciem niż jego postanowienie, podniósł do ust i pocałował. Ręka Janiny konwulsyjnie drgnęła i silnie uścisnęła jego rękę. Paweł wybiegł z pokoju nieprzytomny, odurzony.

Duży kawał drogi ubiegł, zanim przyszedł do siebie i mógł nieco trzeźwiej myśleć. Do ochłodzenia wrażenia, pod którym zostawał, przyczyniło się wiele przypomnienie, gdzie idzie. To przerzuciło myśli jego w ciemną stronę życia. Ponure cienie zamczyska, koło którego przechodził do willi, i noc przepaścista, czarna, bez gwiazd i księżyca, licowały dobrze z jego usposobieniem w tej chwili. Dusza jego zrobiła nagły skok z jasności i ciepła, jakie go otaczało w mieszkaniu Janiny, do tych mroków, w jakie pogrążył jego życie dziwny stosunek z Jadwigą. To go uspokoiło gorzko przeciw niej; szedł z odrazą do jej mieszkania i czuł nienawiść, jaką ma niewolnik do swego właściciela.

Z takim nastrojem wszedł do pokoju Jadwigi. Siedziała przy stoliku, na którym paliła się lampa, i nie poruszywszy się z miejsca, przywitała doktora obojętnym skinieniem głowy i spojrzeniem, w którym widać było urażoną dumę.

Paweł spostrzegł to, ale nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia; nie chodziło mu wcale o względy tej kobiety, owszem, uprzejmość jej w tej chwili byłaby mu może bardziej nieznośną. Nie próbował nawet usprawiedliwić swego opóźnienia. To ją jeszcze więcej rozdrażniło.

— Miałam trochę lepsze wyobrażenie o twojej słowności, doktorze — rzekła z przekąsem.

Paweł z udanym zdziwieniem spojrzał na nią, jakby nie zrozumiał znaczenia słów.

— Wszak miałeś pan być o piątej; teraz siódma.

— Nie myślałem, że pani co zależy na takiej punktualności. Wiedziałem, że u pani nie było nagłego wypadku.

— Ale nie umiem czekać.

Doktor nic na to nie odpowiedział. Milczenie jego było bardzo wymowną odpowiedzią, bo mówiło, że mało mu na tym zależy.

Jadwiga uczuła dotkliwie to lekceważenie i zesztywniała jeszcze więcej. W tak naprężonym usposobieniu, w jakim oboje zostawali, poufna rozmowa była niemożebną i prowadzili dalej rozmowę jak ludzie, którzy się nigdy nie znali.

On trzymał się ściśle w granicach lekarza, ona była tylko pacjentką. Opowiadając jednak przebieg choroby, powód jej, potrąciła mimo woli o śmierć dziecka i okoliczności, które się z nią wiązały.

— Śmierć tej dzieciny — mówiła — obarczyła bardzo sumienie moje. Wyrzucałam sobie, że może ja jestem temu winną, że gdybyś pan miał je był dalej w kuracji, byłoby żyło. Postąpiłam sobie bardzo, bardzo źle.

To wspomnienie roztopiło jej sztywną dumę; spojrzała na doktora wzrokiem, w którym malowała się skrucha i prośba o przebaczenie. Doktor jednak nie wyszedł z roli obojętnego słuchacza i widocznie z obawy,

aby dłużej nie zatrzymywała się przy tym drażliwym punkcie, zmusił ją niejako do posunięcia się dalej w opowiadaniu, stawiając suchym głosem pytanie:

--- Czy choroba pani trwała długo? Jadwiga zrozumiała intencję jego i wróciła do dawnej roli. Ze spokojem i chłodno skreśliła mu dalszy przebieg choroby.

Nastąpiło potem rozpoznawanie. Doktor dokonał tego z wielką delikatnością i względami, należnymi młodej kobiecie, ale zarazem z prawdziwie lekarską obojętnością i zimną krwią. Ręka, którą położył na jej piersiach, zasłoniętych lekkim batystem, była spokojna i zimna, i to w chwili, gdy mógł pod nią czuć przyśpieszone bicie jej serca i widzieć rumieniec, występujący na jej twarz. Ani jeden muskuł jego nie drgnął żywiej, szarpnięty nerwowym wzruszeniem, a w oczach jego i na zamyślonym czole było wyraźnie znać, że więcej myśli o chorobie niż o chorej.

Po skończonym badaniu zadał jeszcze kilka pytań, tyczących się poprzedniej kuracji, potem usiadł przy biurku i pisał receptę.

Jadwiga obserwowała go z podziwem. Nie mogła uwierzyć, że to ten sam człowiek, który dawniej z takim zachwytem wpatrywał się w nią i drżał ze wzruszenia w jej obecności. Jakże innym był teraz, pewny siebie, spokojny i zimny. Byłaż to obojętność czy siła panowania nad sobą? Miłość własna skłaniała ją do tego drugiego przypuszczenia, a to tym bardziej, że Julia rozmawiając z nią raz o doktorze, wpadła także na domysł, że obecnego zachowania się doktora względem kobiet nie można sobie niczym wytłumaczyć, jak tylko jakąś nieszczęśliwą miłością, wskutek której zrobił się takim obojętnym i nieczułym. Jadwiga miała wszelkie powody wierzyć, że to ona była powodem tego, a wierząc w to, mogła także uwierzyć, że od niej zależało wrócić zamrożonemu jej obojętnością sercu na powrót życie. Im więcej wpatrywała się w jego posągowe rysy, tym więcej nabierała powabu w jej oczach myśl ożywienia tego posągu słowem miłości. W oczach jej paliły się płomienie namiętności, a na ustach drżało już słowo serdeczne; chwila jeszcze, a byłaby je wymówiła, gdy wtem doktor powstał i oddając receptę spytał:

--- Czy pani nie ma mi już nic więcej do rozkazania?

Pytanie to oprzytomniło ją trochę i cofnęło znowu do zwykłego poziomu.

--- Chciałam się pana poradzić względem mojego ojca.

--- Ojciec pani cierpi na kataraktę.

--- Tak. Pan wiedziałeś już o tym?

--- Mówiła mi o tym pani Julia.

--- Czy pan mógłbyś podjąć się operacji?

--- Zależeć to będzie od stanu, w jakim znajdę chorego.

--- Pójdę uprzedzić go o pańskiej bytności.

--- Nie dzisiaj --- rzekł doktor, wstrzymując ją, i równocześnie spojrzał na zegarek --- potrzeba na to więcej czasu, niż go mam dzisiaj.

--- Więc kiedy?

--- Mogę przyjść jutro w południe.

Wziął kapelusz, skłonił się grzecznie, ale zimno, i wyszedł spiesznie, bo mu pilno było stanąć na czas w domu Janiny.

Tak zakończyło się pierwsze sam na sam spotkanie małżonków. Za następnym widzeniem się nie przekroczyli również granicy zwykłej znajomości i przyjętych form towarzyskich.

Doktor, po zbadaniu pułkownika, oświadczył, że na operację jeszcze za wcześnie, że trzeba najmniej z miesiąc poczekać, zanim katarakta dojrzeje --- i tym pożegnał Jadwigę.

Zdawało się, że zostaną już na zawsze na tej stopie. Jadwiga uznała niepodobieństwo zbliżenia się wzajemnego; zachowanie się doktora względem niej krępowało ją i zrażało; duma nie pozwalała upokorzyć się i choć ją to wiele kosztowało, postanowiła nie robić już żadnego więcej kroku do zgody.

Ale jedna okoliczność osłabiła to postanowienie. Pewnego razu Julia zwierzyła się jej, że doktor od niejakiego czasu unika jej, że zmienił się bardzo, sposępniał, stroni od towarzystwa, z czego wynika, że w tych dwóch tygodniach coś ważnego musiało się stać, a prawdopodobnie, jak wywnioskowała pani Julia, zakochał się.

Jadwiga, słuchając tych poufnych zwierzeń przyjaciółki, doznawała dziwnie rozkosznego wzruszenia; dwa tygodnie bowiem właśnie minęły od czasu pierwszej wizyty doktora, a od tego czasu, jak mówiła Julia, zaszła w doktorze ta widoczna zmiana. Zestawiając to wraz ze wspomnieniami przeszłości, mogła z wszelką słusznością przypuszczać, że zbliżenie się do niej obudziło w doktorze dawne uczucia i tylko duma nie pozwalała mu przyznać się do tego.

To odkrycie obudziło w niej nadzieję i stawiało jeszcze wyżej w jej oczach doktora, nadawało jeszcze większą wartość uczuciom jego. Bądź co bądź postanowiła sięgnąć odważnie po te zaklęte skarby, chociażby się nawet przyszło upokorzyć. Miłość takiego człowieka warta była takiej ofiary.

Czekała tylko sposobności. Do domu nie chciała wzywać doktora, bo sam na sam stawiało oboje, jak to z doświadczenia wiedziała, w naprężony stosunek, krępowało ją i odejmowało śmiałość. Wolała rozmówić się z nim na spacerze lub w towarzystwie i upatrywała stosownej do tego chwili.

Niedługo na to czekała. Pewnego pięknego dnia księżna zaproponowała przejażdżkę do zamku Tyrol. Wszyscy znajomi księżny wzięli w tym udział. Między innymi był także doktor.

Po obejrzeniu zamku towarzystwo rozstrzeliło się na pojedyncze gromadki i spacerowało po tarasie, skąd

szeroki rozciągał się widok na okolicę.

Jadwiga zbliżyła się do doktora, który opodal od towarzystwa z wierzchołka starego muru patrzył przez szkła powiększające w stronę Meranu, i poprosiła go, aby jej także użyczył lornetki. Pierwszy to raz tak sama zbliżyła się do niego. Ta odwaga zmieszała ją, a jeszcze bardziej spojrzenie, jakie na nią rzucił doktor, gdy jej podawał szkła. W spojrzeniu tym było poważne zadziwienie, które zdawało się pytać: co to ma znaczyć? Szczęściem, że szkłami zasłoniła twarz i miała czas przyjść do siebie. Nie mogła jednak pokonać wzruszenia, jakie ją ogarnęło, i ręka, w której trzymała lornetkę, drżała febrycznie.

--- Czy pani co widzi przez te szkła? --- spytał doktor, aby coś powiedzieć.

--- Widzę bardzo daleko --- odrzekła, nie odejmując szkieł od oczu --- widzę przeszłość moją w tej chwili.

--- Nie myślałem, że moje szkła mają taką cudowną własność --- rzekł doktor z ironicznym uśmiechem.

--- A pan jej nie widzisz? --- spytała, tak samo jak przedtem.

--- Nie rozumiem tej alegorii.

--- Więc mówmy bez alegorii --- rzekła gorączkowo, odejmując szkła od oczu i zbliżając się ku niemu --- bez alegorii i bez maski; na co dłużej grać komedię, która tylko męczy nas oboje. Nie pierwszy raz się widzimy, nie zwykła znajomość nas łączy, po co więc mamy udawać przed sobą?

Ironiczny uśmiech, który dotąd igrał na ustach doktora, ustąpił teraz surowej powadze, wzrok pociemniał, jakby czarna chmura rzuciła cień na jego oczy, i rzekł:

--- Mieliśmy czas przyzwyczaić się do tej roli.

--- Pokazuje się, że nie, skoro mi ona ciąży, skoro pod przybranym nazwiskiem Pawła Szczerby chcę odszukać istotne nazwisko człowieka, który był dla mnie czymś więcej jak znajomym.

--- Powinien był być czymś więcej, chciał być czymś więcej, ale nie pozwoliłaś pani na to, nie pozwoliłaś mu nawet być jednym ze znajomych twoich. Odpędziliście jak psa człowieka, który wam nic złego nie zrobił, odebraliście mu wolność. Było to moralne zabójstwo. Toteż ten człowiek umarł; Antoni Sikorski nie żyje, zostawił pani w spuściźnie nazwisko. Więcej nie możesz pani żądać od niego.

--- A gdybym prosiła, żeby ożył, choćby dlatego, żebym mogła wynagrodzić mu to, co ucierpiał przeze mnie i naprawić błąd młodości? Co byś pan na to powiedział?

--- Powiedziałbym, że za późno namyśliłaś się pani na to. Zresztą nie pojmuję, co mogło skłonić panią do tej skruchy?

--- Co? Czy pan nie domyślasz się?

--- Całkiem nie.

--- Wierzyłam --- rzekła, zasłaniając znowu oczy lornetką --- że ten człowiek mnie kocha.

--- Był czas, że kochał, że na jedno skinienie pani gotów był zrobić wszystko... ale czas ten minął dawno.

--- Cóż mogło tak wyziębić tę miłość? --- spytała cierpko.

--- Spytaj pani o to siebie samej.

--- Nie mam sobie nic więcej do wyrzucenia, prócz tego, że unikałam pana. Pozycja moja, względy światowe, tłumaczą mnie.

--- Dość lekko wytłumaczyłaś sobie pani twój postępek. Zapomniałaś tylko, że człowiek, którego ty i ojciec pozbawiliście wolności, miał serce, że to serce mogło kiedyś odezwać się ze swymi prawami i zapragnąć miłości uczciwej, gorącej, że ten człowiek mógł mieć także pragnienie szczęścia rodzinnego. A tego wszystkiego wyście go pozbawili, nie dając w zamian nic, nic, nawet litości. I pani chciałaś, żeby ten człowiek za to kochał panią? Powiedz pani sama, czy to byłoby możebne?

Jadwiga milczała ze spuszczonymi na dół oczyma. Słowa doktora odsłaniały jej przepaście, których nie widziała dotąd. Nigdy postępek jej nie przedstawiał się jej w tak potwornej formie. To, co uważała dotąd za błąd, usprawiedliwiony okolicznościami, stawało się teraz zbrodnią.

Doktor mówił dalej:

--- Toteż nie dziw się pani, że przywiązanie, jakie miałem do ciebie, przywiązanie bałwochwalcze prawie, mogło przemienić się w nienawiść, że były chwile, w których przeklinałem pamięć twoją, gdyż przez ciebie musiałem wycierpieć tyle. I cierpiałem... i inni cierpieli przy mnie.

--- Kto mógł cierpieć?

--- Jest jedna mogiła w Eger, która ciążyć powinna na twoim sumieniu, pani. W niej spoczywa od lat kilku młoda dziewczyna --- umarła z miłości. Musiałem patrzeć na mękę dziewczęcia i nie mogłem zrobić nic dla ocalenia jej, bo byłem niewolnikiem twoim. Nie kochałem jej, jak tylko miłością brata, ale dla szczęścia tego anielskiego dziewczęcia byłbym chętnie poświęcił moje życie, aby odpłacić za przywiązanie, jakie miała dla mnie. I nie mogłem zrobić tej ofiary --- przez panią.

Chciał dalej mówić, gdy naraz spostrzegł, że Jadwiga blednieje i chwieje się.

--- Co pani jest? --- spytał doktor, zbliżając się do niej.

--- Nic, nic --- szeptała znękanym głosem --- podaj mi pan rękę i odprowadź za ten mur; patrzą na nas.

Rzeczywiście, doktor spostrzegł, że kilka osób z towarzystwa zwracało uwagę na ich długą zanadto rozmowę. Podał ramię Jadwidze, na którym zawiesiła się bezsilna, i poprowadził ją do ławeczki z drugiej strony muru, gdzie mogli schronić się przed okiem ciekawych. Jadwiga zebrała całą przytomność i siłę do przejścia tych kilku kroków. Gdy doszli do ławeczki, nie siadła, ale padła na nią. Doktor chciał pobiec po wodę.

--- Zostań pan --- rzekła z wysileniem --- mogliby się domyślić, że coś zaszło między nami. To przejdzie

wnet.

Pociągnęła ręką zimną po czole i oczach, odetchnęła ciężko i po chwili przyszła nieco do siebie.

--- A teraz mów pan dalej --- rzekła. --- Więc umarła z mojej przyczyny?

--- Odłóżmy tę rozmowę.

--- Nie, chcę wiedzieć wszystko, wszystko. Niech wiem wszystkie następstwa mego grzechu. Dotąd sądziłam, że jedyną moją winą było krzywoprzysięstwo w obliczu Boga; odpokutowałam ten grzech i zdawało mi się, że zrobiłam wszystko. Sumienie moje było spokojne. Nie przypuszczałam, że ktoś więcej cierpi z mego powodu. Nie dziw się pan, była to wina wychowania. Nie nauczono mnie, że ludzie ze sfery tej, z której pan wyszedłeś, mogą czuć i cierpieć jak my. Mówiono mi, że panu zapłacono za to, że najęto pana po prostu, i nie troszczyłam się o więcej. Co więcej, wspomnienie pana obrzydzenie mi sprawiało, bo przypominało moją hańbę i pańskie poniżenie. Pojmujesz pan teraz, że myśląc tak, mogłam żyć spokojnie. Dziś zmąciłeś pan okropnie ten smutny spokój mej duszy, pokazałeś szereg strasznych następstw, które czyn mój pociągnął za sobą. Chcę wiedzieć wszystko. Będzie to rachunek sumienia. Nie oszczędzaj mnie pan. Chcę cierpieć choć cząstkę tego, co inni wycierpieli dla mnie i przeze mnie. Wiele lat miała ta dziewczyna, gdy umarła?

--- Ośmnaście.

--- Tak, w tym wieku można umrzeć z miłości --- rzekła jakby do siebie, a potem, zwracając się do doktora, spytała:

--- Czy wiedziała, kto był powodem jej śmierci?

--- Nie; miałem usta związane przysięgą i nie mogłem dla uspokojenia jej i usprawiedliwienia siebie powiedzieć, dlaczego wyrzekłem się jej miłości.

--- Teraz rozumiem, dlaczego mnie pan nienawidzisz --- rzekła powstając.

--- Przebaczyłem pani już dawno. Czułem więcej żalu do pani niż nienawiści. A dziś, gdy się przekonałem, że zbyt surowo sądziłem panią, że wina, którą popełniłaś, pochodzi więcej z uprzedzeń i przesądów, w których wzrosłaś, niż ze złego serca, dziś czuję litość dla pani.

Jadwiga pochwyciła żywo jego rękę i ściskając konwulsyjnie, spytała, patrząc mu błagalnie w oczy:

--- I nic więcej?

Doktor spuścił oczy przed jej spojrzeniem i rzekł chłodno:

--- Nic więcej.

--- A gdybym dla odkupienia grzechów mojej młodości potargała wszelkie względy światowe i otwarcie przyznała się do naszego małżeństwa, co byś pan powiedział na to?

--- Powiedziałbym: za późno. Kiedyś taka ofiara prześcignęłaby najśmielsze marzenia moje i byłaby dla mnie najwyższym szczęściem; obecnie zaś przyjąć jej nie mogę, bo nie mógłbym kłamać miłości, której już mieć nie mogę dla pani.

--- Więc ów grób rozłącza nas na zawsze?

--- Tamtej nie kochałem także.

--- Pan kochasz inną? --- spytała żywo Jadwiga, a oczy jej zapłonęły, zaiskrzyły się namiętnie.

Doktor milczeniem potwierdził.

--- Julię? --- zapytała znowu Jadwiga. Doktor uśmiechnął się lekceważąco i odrzekł zirytowany:

--- Złe pani masz o mnie wyobrażenie. Nie mógłbym kochać kobiety, która nigdy nie wiedziała i nie będzie wiedzieć, co to miłość.

--- Więc inną?

--- Nie pytaj pani, na próżno. Nie mieszajmy do naszej rozmowy nazwiska tej osoby; zbyt ona święta dla mnie.

--- A cóż dla mnie pan zostawiasz? --- spytała z udręczeniem.

Doktor ruszył ramionami i odrzekł:

--- Zostać musimy, jak dotychczas.

--- Więc nawet przyjaźni pan ofiarować mi nie możesz?

--- Niemożebną jest przyjaźń z kobietą, którą się kochało. Bliższa znajomość z panią ubliżyłaby tej, którą kocham.

--- I ona kocha pana, wiedząc, że jesteś mężem innej?

--- Nie wie o tym, nie wie również o tym, że ją kocham, bo nigdy jej tego nie wyznałem. A jednak kocha mnie całą miłością poczciwą, bezinteresowną. Czymże mogę odwdzięczyć się jej za to? Niczym, bom ja niewolnik danego słowa, rozporządzać mi sobą nie wolno. Oddałem jej tylko to, co miałem wolne, serce moje, i chcę dochować dla niej nieskalane, niepodzielne.

Teraz pani zrozumiesz, dlaczego nie powinniśmy się widywać więcej. To ostatnia nasza rozmowa.

--- Ostatnia --- powtórzyła jak echo Jadwiga. --- Powróćmy do towarzystwa.

Doktor podał jej rękę i poprowadził ku zamkowi, gdzie całe towarzystwo się zgromadziło. Przez drogę zawiązał z nią obojętną rozmowę.

--- Cóż tak ciekawego mieliście państwo ze sobą do gadania? --- spytała Julia, wychodząc naprzeciw nich.

--- Opowiadałem pani Jadwidze historię tego zamku --- odrzekł doktor, wyręczając Jadwigę, która pod wrażeniem poprzedniej rozmowy z nim była jakby przybita.

--- Czy to tak bardzo ciekawe?

--- Dla ludzi poważniejszych, bardzo.

--- Dziękuję za komplement.

--- Nie adresowałem tego do nikogo.

--- Ale złożyłeś pan na moje ręce. To wszystko jedno. Doktorze, jesteś nieznośny. Za karę zabieram ci Jadwigę.

To powiedziawszy, podała rękę przyjaciółce i odprowadziła ją w inną stronę.

--- A teraz --- rzekła, zatrzymując ją koło kapliczki --- powiedz mi szczerze, o czym mówiliście z doktorem? Bo przecież nie uwierzę, że ci gadał, jak stary lirnik, bajeczki o zamku. Nie słuchałabyś go z takim zajęciem, jak to zauważyłam.

--- Rzeczywiście, doktor opowiadał mi coś z przeszłości.

--- Nie jesteś szczerą --- rzekła zadąsana Julia, puszczając jej rękę --- mówiliście o czymś innym. Rozmowa, o ile uważałam, była bardzo interesująca; miałaś minę heroiny ze starego romansu.

Tu pogroziła jej palcem i dodała:

--- Chciałaś urobić sobie doktora, a co, nieprawda? Zarumieniłaś się; więc zgadłam. Ale ci powiem, że to na próżno; doktor jest już stracony dla nas --- i dla mnie, i dla ciebie. Kocha inną.

--- A ty skąd wiesz o tym?

--- Więc i ty wiedziałaś? Widzisz, jak nieszczerze postępujesz sobie ze mną.

--- I znasz tę kobietę?

--- Jeszcze nie, ale dziś wieczór będę wiedzieć wszystko. Dotąd wiem tylko tyle, że mieszka w stronie młyna i że doktor bywa tam co wieczór. Muszę jak najprędzej widzieć tę zaklętą królewnę, która zabrała nam naszego adonisa.

--- I cóż myślisz zrobić?

--- Co? Postąpię z nią jak z rywalką. Nienawiść jest także silnym uczuciem, silniejszym często niż sama miłość. To mnie trochę rozrusza, ożywi, bo miłość zmęczyła mnie już okropnie. Nie mam sił kochać się długo nieszczęśliwie.

XIX

Od czasu owej wycieczki do zamku, w usposobieniu Jadwigi zaszła dziwna, niewytłumaczona zmiana. O ile dawniej była poważną i unikała weselszych towarzystw, o tyle teraz bardziej szukała zabaw, rozrywek, brała chętny udział we wszystkich rautach, wycieczkach, sama nawet urządzała takowe, w czym gorliwie pomagała jej Julia. Obie te panie stały się duszą tej części towarzystwa, która nie tyle dla kuracji, ile dla przyjemnego przepędzenia zimy zjeżdżała do Meranu. Szczególniej konne przejażdżki stały się ulubioną zabawą tego kółka. Utworzono rodzaj klubu dżokejskiego, w którym Jadwiga odznaczała się niesłychaną brawurą i zręcznością. Dawna jej pasja odezwała się z całą gwałtowną namiętnością. Dzień po dniu prawie robiono forsowne wycieczki do Obermais, Schónau, Passajer i dalej jeszcze. Był to jakby rodzaj wyścigów, a Jadwiga szła w zawody z najlepszymi jeźdźcami. Powodzenie, jakiego doznawała, zachęcało ją do coraz bardziej szaleńczych wybryków. Wpływało to bardzo szkodliwie na jej wątłe zdrowie i doktor Tebeiner, który ją teraz miął w kuracji, upominał nieraz bardzo surowo, że taki rodzaj życia prędko wyczerpie jej siły, i groził smutnymi następstwami. Jadwiga jednak lekceważyła te rady i odpowiadała na nie lekkomyślnie, z pustym śmiechem:

--- Życie krótkim jest, mój doktorze, trzeba go używać, póki można. Wolę, że się spali jak świetny fajerwerk, niż żeby miało powoli tleć. Zresztą nie bój się o mnie, czuję się teraz lepiej niż kiedykolwiek.

Te ostatnie słowa mówiła dla uspokojenia obaw doktora i uwolnienia się od jego badań. Czuła to bowiem dobrze, że z każdym dniem ubywa jej sił i choroba z przerażającą szybkością niszczyła jej organizm. Wprawdzie pozornie wyglądała dobrze, blada jej twarz zafarbowała się teraz mocnym rumieńcem, a czarne oczy, przedtem matowe, nabrały teraz świetnego blasku, ale ten blask i ten rumieniec były tylko wynikiem silnej gorączki, która ją trawiła. Bywały chwile, w których ten nienaturalny rumieniec gasnął nagle i zostawiał po sobie sine plamy na twarzy, zimny pot występował na czoło i omdlewała z bezsilności. Ale taiła się z tym przed ludźmi, nie przyznawała się nawet przed doktorem, a nawet unikała spotkania się z nim i wizyt jego, a dla oszukania oczu ludzkich używała wszelkich tajemnic toaletowych, dla nadania twarzy swojej pozorów świeżości i zdrowia. Robiła forsowne wysilenia dla pokazania, że jej nie brak sił i humoru. I rzeczywiście miała humor szalenie wesoły.

Było coś przerażającego, okropnego w tej dzikiej wesołości kobiety, stojącej nad grobem, w szalonym jej śmiechu, przerywanym suchotniczym kaszlem. Ci jednak, którzy z nią razem szaleli, nie mieli czasu robienia głębszych obserwacji nad tym nienaturalnym stanem swej "amazonki", jak ją powszechnie nazywano; im wystarczyło to, że się śmiała, bawiła, trzpiotowała, korzystali z jej wesołego towarzystwa, nie domyślając się wcale, że rozweselała ich i bawiła resztkami życia.

Wśród tego gwarnego i hulaszczego życia ani razu nie wspomniała o doktorze, a że i on rzadko bardzo pokazywał się w salonie księżny, więc prawie zapomniano o nim; wyszedł z mody. Gminny gust jego zaszkodził mu w opinii dam, dla których był pierwej bożyszczem, i jeżeli mówiono kiedy o nim, to z przekąsem i drwinkami. Jadwiga jednak zachowała się całkiem obojętnie, nie mówiła ani źle o nim, ani dobrze, a gdy raz Julia, która przez różne znajomości swoje dowiedziała się wielu szczegółów, tyczących się Janiny, rzekła do niej:

--- Miałaś słuszność, mówiąc o doktorze, że te skarby zaklęte, o któreśmy się tak ubiegały, odda jakiejś szwaczce lub kawiarce. Pokazuje się, żeś go znała lepiej niż my. Obecna bowiem heroina jest po prostu kwiaciarką z Wiednia.

Jadwiga odpowiedziała jej cierpko:

--- Świadczy to bardzo źle o nas, żeśmy nie umiały wytrzymać rywalizacji z kwiaciarką. Lepiej nie przyznawajmy się do tej przegranej i nie mówmy o tym więcej.

Powiedziała to tonem tak obojętnym, z takim lekceważeniem, że nie zostawiła najmniejszej wątpliwości w duszy Julii względem oziębłości swojej dla doktora. Nikt nie mógłby przypuszczać nawet, że ten człowiek cokolwiek ją obchodzi.

A jednak, kto by był uważnie śledził ją w tym czasie, byłby zobaczył, jak nieraz późnym wieczorem, odziana w szarą chustę swojej pokojowej, wychodziła nie postrzeżona z willi w stronę młyna pod dom, w którym mieszkała Janina, i tam, skryta za drzewem, stała nieraz długo wśród chłodnej nocy, wpatrując się w jedno okno, w którym widać było doktora siedzącego obok Janiny i rozmawiającego z nią z zajęciem. Twarz jej w tej chwili nie miała ani śladu owej wesołości, jaką udawała wobec ludzi; usta blade i zaciśnięte, drżące muskuły twarzy i płonące dzikim blaskiem oczy zdradzały silne, wewnętrzne wzruszenie i boleść. Wszystkie cierpienia, jakie daje nieszczęśliwa miłość, obrażona duma i szalona zazdrość, szarpały w tej chwili jej serce.

Doktor i Janina nie domyślali się nawet, że to ciche szczęście, jakiego doznawali we wzajemnej rozmowie, miało tak zazdrosnego świadka, że łagodne spojrzenia, jakimi jedno w drugie się wpatrywało, lały truciznę i rozpacz w inne serce. Życie płynęło im pogodnie, spokojnie, szczęśliwie. Ona była szczęśliwa, że go widzi, że jest przy niej, i niczego więcej nie pragnęła, a on wpatrując się w jej twarz, pełną słodyczy, poczciwości i uczucia, doznawał błogiego zadowolenia i spokoju. A zawsze mieli sobie tyle do opowiadania, że za mało mieli zawsze czasu do wypowiedzenia wszystkiego. Tylko o miłości nie było mowy między nimi nigdy; nie robili sobie żadnych wyznań; a jednak oboje byli pewni siebie, czuli to dobrze, że serca ich łączy uczucie silniejsze niż prosta znajomość lub przyjaźń. Przez najobojętniejsze na pozór rozmowy przeglądało to uczucie i zdradzało obecność swoją.

Czasem tylko narzekania matki zachmurzyły to pogodne niebo ich szczęścia. Staruszka skarżyła się nieraz na córkę przed doktorem, że odrzuciła kilka świetnych partii, które się jej trafiały w Wiedniu.

--- Na co ona czeka, proszę pana --- utyskiwała stara. --- Lata lecą, młodość prędko minie, a potem będzie żałować tego. Czyby to nie było pociechą dla mnie widzieć już jej los ustalony? Ale cóż, nie słucha mnie, robi, co się jej podoba. Niech sobie robi, zobaczy, jak na tym wyjdzie.

Na doktorze przykre wrażenie robiły te narzekania; mógł podejrzewać, że stara z pewną utajoną myślą mówi mu to, że może chce, domyślając się jego skłonności do córki, skłonić go do stanowczego kroku. Musiał udawać, że nie rozumie tych intencji, starał się wytłumaczyć postępowanie Janiny tym, że jeszcze serce jej nie odezwało się może ze swymi prawami, że zapewne nikt jej się nie podobał dotąd, ale to prędzej czy później nastąpi. Uspokajał tym starą, ale nie mógł uspokoić siebie, swego sumienia.

Widział się wplątanym w stosunki takie, z których nie było żadnego wyjścia.

Opuścić Janiny nie mógł, przez wzgląd na nią i na siebie, a żyć tak dalej w niezdecydowanym, nie wyjaśnionym stosunku, uważał za niepodobne.

Chciał nieraz mówić o tym z Janiną, wytłumaczyć jej, na ile można było, położenie swoje względem niej, ale nie miał dość odwagi do tego i odwlekał z dnia na dzień, a to tym więcej, że będąc przy niej, innymi oczami widział to położenie, nie wydawało mu się ono tak groźne i straszne, owszem, zdawało mu się nawet możebnym.

Widok jej pogodnej i zadowolonej twarzyczki rozpędził te groźne widma, które przedtem niepokoiły duszę jego.

Tak więc żyli oboje z dnia na dzień, nie myśląc o tym, gdzie dopłyną, rzuceni na fale życia bez steru i wiosła, zapatrzeni w błękitne niebo spokojnej miłości.

Ale niezadługo przypadkowe potrącenie wstrząsnęło i przebudziło ich z tego błogiego rozmarzenia.

Jednego dnia doktor, przyszedłszy wcześniej niż zwykle, zastał Janinę płaczącą. Ujrzawszy go wchodzącego, otarła prędko łzy i starała się ukryć przed nim, że płakała, ale zaczerwienione oczy zdradziły ją. Paweł troskliwie zaczął się dopytywać, co jej jest?

--- Nic mi, nic --- odrzekła, przymuszając się do uśmiechu. Pan wiesz, że nam, kobietom, mało potrzeba, abyśmy płakały; naparstek czasem zginie i już powód do płaczu.

I chcąc uniknąć dalszych zapytań i badawczego spojrzenia doktora, wyszła pod pozorem zajęć gospodarskich do drugiego pokoju.

Józio był obecny przy tej scenie; ze spojrzenia, pełnego współczucia, jakim odprowadził siostrę ku drzwiom, doktor domyślił się, że malec wie także o przyczynie zmartwienia, i dlatego po odejściu Janiny wziął chłopca na kolana i spytał go, o co Janina płakała.

--- A to przez tę nieznośną pańską znajomą tak płacze.

--- Przez którą znajomą?

--- Tę, co to ma szkiełka na nosie i takie duże pióro na kapeluszu. Ja ją widziałem parę razy, jak szła z panem.

--- I cóż ona zrobić mogła twojej siostrze? --- spytał doktor zaniepokojony.

--- Coś jej powiedziała, ja nie wiem co, bo nie dosłyszałem, ale musiało być coś bardzo złego, boby Janinka na próżno nie płakała; ja ją znam.

--- I gdzież to było?

--- Na moście. Szliśmy właśnie z poczty, gdy spotkaliśmy tę panią, idącą z jakąś drugą. Skoro nas zobaczyły, ta pani trąciła tę drugą, i pokazując na Janinę rzekła jakieś słowo z takim brzydkim uśmiechem, że miałem ochotę pokazać jej język za to. Ale Janina pociągnęła mnie za rękę i poszła prędko naprzód. A była tak czerwona, jakby ją kto krwią oblał, i łzy puściły się z jej oczu.

Malec nie miał czasu dokończyć, bo weszła Janina. Musiała domyślać się, o czym była rozmowa, bo spojrzawszy surowo na brata, rzekła:

--- Józio już coś wypaplał; nie kocham go za to.

--- Pan Paweł mnie pytał, ja nie mogłem kłamać. Przecież ty sama nieraz mówisz, że przed panem Pawłem nie powinniśmy mieć żadnych sekretów, bo on już jakby należał do naszej rodziny.

--- Musiała twoja siostrzyczka, mój Józiu, zmienić zdanie, skoro teraz dostałeś burę, i ja przy tobie.

--- Za zbytnią ciekawość --- rzekła weselej już Janina.

--- Mogło mnie to trochę obchodzić, żeś pani płakała, i to, jak się dowiaduję od Józia, z powodu jednej z moich znajomych. Co ona śmiała pani powiedzieć?

--- E, nic, dzieciństwo, drobnostka, nie warto o tym mówić.

I dla zagadania tej sprawy zaczęła mówić o czym innym, a mianowicie, że dziś odebrała wiadomość z Wiednia od swojej

zastępczyni, iż interes jej bardzo się rozwija, że nawiązał stosunki z Warszawą względem dostawy kwiatów.

Mówiła to wszystko wesoło i żywo, jednak doktor, który już mógł poznać najdelikatniejsze odcienie jej usposobień, zauważył, że wesołość jej była więcej sztuczną, wymuszoną, że była roztargnioną. Widocznie zmartwienie, które starała się ukryć przed nim, drażniło ją i niepokoiło wewnątrz

Nie próbował już dopytywać się jej o to, bo wiedział, że by mu nie powiedziała; postanowił zaczerpnąć wiadomości u źródła samego i w tym celu udał się następnego dnia do Julii.

Przyjęła go z ironicznym zdziwieniem i nieco sztywno.

Doktor nie zważał na to, nie szło mu wcale o względy tej kobiety i bez wszelkich wstępów przystąpił do interesu, który go tu sprowadził.

--- Pani wiesz zapewne --- rzekł --- że między osobami znajdującymi się w Meranie jest jedna moja dobra znajoma, której los wiele mnie obchodzi.

--- Nie wypada z tego, żeby mnie to coś mogło obchodzić --- rzekła Julia, ruszając wzgardliwie ramionami --- kogo pan zaszczycasz więcej lub mniej swoimi względami.

--- I ja bym sobie tego nie życzył i nie przyszedłem tutaj narzucać pani moją sympatię dla kogokolwiek. Ale osoba ta została obrażona przez panią i dlatego przyszedłem spytać o powód tego.

--- Nie mam przyjemności znać wszystkich pańskich znajomości i nie wiem, o kim pan mówisz.

--- Będę się starał pomóc pamięci pani. Przed kilkoma dniami spotkałaś pani na moście

Ulten młodą panienkę, idącą z małym chłopczykiem, i powiedziałaś o niej do swej towarzyszki jakąś złośliwą uwagę. Otóż chcę wiedzieć, co to była za uwaga? Sądzę, że pani będziesz miała odwagę powtórzyć ją.

--- Dlaczego nie? Nie mam z czego robić sekretu. Powiedziałam, że jest pańską kochanką.

--- Pani! --- zawołał doktor z oburzeniem i podskoczył do Julii z gestem tak groźnym, oczami zaiskrzonymi, że z przestrachem cofnęła się przed nim w głąb okna. Ten widoczny objaw niemocy i trwogi upamiętał go, przypomniał sobie, że ma do czynienia z kobietą, i miarkując swój gniew, rzekł:

--- Masz pani szczęście, że jesteś kobietą. Mężczyzna musiałby mi zapłacić krwią za te słowa, od pani nie mogę żądać żadnego zadośćuczynienia. Ale to powiedzieć ci mogę, że postąpiłaś podle.

--- Panie! --- zawołała teraz znowu Julia, odzyskawszy przytomność i odwagę --- ja nie pozwolę obrażać siebie w moim własnym domu. Mam sposób pozbycia się natrętnych gości.

Doktor nie uważał wcale na tę pogróżkę i mówił dalej z rozpłomienioną twarzą:

--- Tak, podłością było obrażać kobietę, która pani nic nie zawiniła. Nie będę jej bronił wobec pani, bo obrona byłaby już ubliżeniem dla niej, ale to ci powiem, pani, że ty i ta cała szajka twoich wyperfumowanych przyjaciółek nie warta rzemyka rozwiązać u nóg tej kobiety. Możesz to powtórzyć wszystkim głośno, nie cofam mego słowa.

To powiedziawszy wyszedł, zostawiając Julię odurzoną, osłupiałą pod wrażeniem słów, które usłyszała.

Doktor tymczasem zmierzał prosto do mieszkania Janiny. Przez drogę miał czas ochłonąć trochę ze wzburzenia i przyjść nieco do równowagi i spokoju, a potrzebował dużo spokoju i siły do wykonania tego postanowienia, z którym szedł.

Postępek bowiem Julii otworzył mu oczy na niebezpieczeństwo, na jakie narażał Janinę swoją znajomością. To, co powiedziała Julia, mogła jutro powtórzyć inna, mogli wszyscy mówić, a on nie miał sposobu zamknięcia ust złośliwym ludziom. Nawet publiczne wystąpienie nic by na to nie poradziło. Narazić by mógł tylko ją i siebie na śmieszność. Nie pozostawało nic innego, jak rozłączyć się, i z tym postanowieniem szedł do Janiny. Musiało ono wiele go kosztować i silnie odbić się na jego czole, bo skoro tylko wszedł do jej mieszkania, poznała zaraz, że jest w niezwykłym usposobieniu, i spytała go o przyczynę.

--- Wracam od tej --- rzekł ponuro --- która panią tak obraziła.

--- Dlaczegoś pan to zrobił? --- spytała z bolesnym wyrzutem.

--- Chciałem wiedzieć koniecznie, czym panią obraziła.

--- I dowiedziałeś się pan?

--- Tak.

Janina zakryła twarz rękami, a spod palców jej dobył się cichy jęk i łzy.

--- Widzisz pani --- rzekł Paweł z boleścią --- na co naraża panią znajomość moja. Potrzeba koniecznie, abyśmy się rozstali.

--- Pan chcesz odjechać? --- spytała, biorąc go żywo za rękę.

--- Powinienem.

--- Ja nie chcę, nie chcę tego. Niech źli ludzie mówią, co im się podoba; pogadają i przestaną. A nam bez pana byłoby bardzo źle.

Mówiła głosem drżącym i bezwiednie pochyliła się ku niemu, zapłoniona cała.

W tej chwili nie mógł być panem siebie, zapomniał o wszystkim, co go oddzielało od niej, objął jej wiotką kibić ramieniem, przytulił do siebie i gorący pocałunek złożył na białym czole Janiny.

Nie broniła się wcale, z gołębią prostotą i niewinnością skłoniła głowę na jego piersi i ściskając jego rękę serdecznym uściskiem, spytała cichym szeptem:

--- Zostaniesz pan?

--- Zostanę --- odrzekł ze stanowczością.

Ta chwila zacieśniła jeszcze bardziej węzeł, który łączył ich oboje; stosunek ich o tyle się już wyjaśnił, że oboje nie wątpili więcej o wzajemnej miłości.

Ale doktor z trwogą zapytywał sam siebie, co dalej będzie? Janina, nie wiedząc o tajemnych węzłach, łączących go z inną, może spodziewała się, że Paweł będzie chciał teraz przyśpieszyć małżeństwo. Jak wyprowadzić ją z tego złudzenia, nie naruszając przysięgi, która wiązała mu usta? Nieraz przychodziła mu szalona myśl zerwania związku z Jadwigą, podania się o rozwód, ale nie miał odwagi na ten krok, który mógłby skompromitować Jadwigę wobec świata i byłby złamaniem danego słowa. Przez zbytnią sumienność i przez wzgląd na Jadwigę nie mógł tego zrobić.

Po ostatniej rozmowie z nią w zamku Tyrol, uczuł dla niej głębokie współczucie, przekonawszy się, że nie

była tak złą, jak sądził. Widział jej życzliwość dla siebie i miałby za to odpłacić się jej zniesławieniem? A z drugiej strony żal mu było Janiny. Nie mógł zostawiać jej w wątpliwości i oczekiwaniu tego, co się stać nie mogło. Takie położenie męczyło go i trapiło okropnie.

Tak stały rzeczy, kiedy jednego wieczora doktor, siedząc w pokoju Janiny, odebrał bilecik, przyniesiony przez jakąś służącą. Zdziwiło go, że tutaj odszukano go z tym listem, a bardziej jeszcze, że służąca, oddając go, nie powiedziała od kogo, i natychmiast się oddaliła.

Ta tajemniczość zaniepokoiła go, rozpieczętował list i przebiegł go szybko oczami. List zawierał następujące słowa:

Robię wszystko, co mogę, aby wrócić ci wolność. Kiedy będę widziała, że jestem bliską mego celu, że nie ma już dla mnie żadnego ratunku, prześlę ci ten list, który jest zarazem moim testamentem. Nie mogąc już mieć prawa do twej miłości, chciałam przynajmniej zasłużyć sobie na twoją wdzięczność i wyjednać przebaczenie. Umieram, abyś ty mógł żyć; śmierć moja wróci ci wolność. Pamiętaj o moim biednym ojcu, dopóki ks. Klemens, do którego przed kilkoma dniami pisałam, nie przyjedzie z Zarzecza i nie zajmie się nim. Jeżeli możesz, wróć mu wzrok i pocieszaj go po mojej śmierci. To jest wszystko, czego wymagam od ciebie. Miałam jeszcze jedno pragnienie: chciałam, żebyś ty zamknął mi powieki, ale może ten list dojdzie cię, gdy już będzie po wszystkim, albo może nie będziesz chciał wysłuchać tej mojej prośby; więc list ten niech cię pożegna ode mnie --- na zawsze. Twoja Jadwiga.

Doktor jednym tchem prawie przeczytał list cały --- potem zerwał się i chwycił za kapelusz.

--- Co to jest? Co się stało? --- spytała Janina, przestraszona jego bladością i pomieszaniem.

--- Nic... nic... wzywają mnie... wrócę tu jeszcze... do widzenia.

To powiedziawszy, wybiegł jak szalony. W przedpokoju spotkać się musiał z kimś znajomym, bo Janina słyszała żywą, urywaną rozmowę i krótkie powitania. Za chwilę otworzyły się drzwi i pojawił się ksiądz Klemens w podróżnym ubraniu.

--- Wuj! --- zawołała Janina radośnie i rzuciła się na powitanie przybyłego. --- Ach, skądże tak miła niespodzianka?

--- Przybyłem tu na wezwanie córki mego kolatora, którego majątkiem teraz zawiaduję. Prawdopodobnie musi być umierającym, skoro mnie tu wezwano.

--- A my przy tym skorzystamy, bo możemy uściskać kochanego wuja --- rzekła Janina, całując serdecznie ręce księdza.

--- Tak, moja Janinko. I jeszcze jedna miła niespodzianka mnie spotyka, bo znalazłem tu tego, którego tyle lat na próżno szukałem.

--- Antoniego Sikorskiego?

--- Tak. A wy kiedyście go poznali?

--- My? --- spytała Janina, patrząc na wuja ze zdziwieniem --- my go wcale nie znamy.

--- Wszakże w tej chwili spotkałem go w przedpokoju. Zaledwie mieliśmy czas przywitać się, bo śpieszył do chorego. Mówił, że za chwilę powróci.

--- To był doktor Paweł Szczerba, o którym ci wuju nieraz pisałam.

--- On?... Ten, który w tej chwili wyszedł?

--- Tak.

--- I to jest ten sam, którego ty tak kochasz?

--- Tak, wuju --- rzekła rumieniąc się i spuszczając oczy.

--- Biedna dziewczyno! Nie wiesz, że on ma żonę, że ta żona żyje?

Janina zadrżała na te słowa, cała jej postać zesztywniała i wyprostowała się, a osłupiałe oczy z przerażeniem wpatrzyły się w księdza. Nastała chwila przerażającej ciszy.

--- Teraz rozumiem wszystko --- rzekła po chwili i zasłoniwszy twarz rękami, rzuciła się z płaczem na stołek.

--- Janino, kto tam przyszedł? Z kim ty rozmawiasz? --- odezwał się chrypliwy głos z drugiego pokoju.

Janinę oprzytomniło to pytanie. Wstała i ocierając starannie ślady łez, rzekła złamanym głosem:

--- Chodźmy do matki; przed nią ani słowa o tym wszystkim.

Wzięła księdza za rękę i poprowadziła go do drugiego pokoju.

Zostawmy ich tam na chwilę, a pośpieszmy za doktorem, idącym prędkim krokiem, co tchu starczyło, do willi Jadwigi.

Zastał ją jeszcze przy życiu, ale była już tak bezsilna, że mówić nie mogła, a oczy zachodziły mgłą. Co chwila zapadała w omdlenie, z którego cucono ją, skrapiając wodą. Wtedy febryczny dreszcz wstrząsał nią i otwierała na chwilę oczy.

Gdy zobaczyła doktora, zbliżającego się do jej łoża, ożywiła się, oczy jej zajaśniały radością i łzami. Wyciągnęła do niego chudą, wilgotną i zimną już rękę i ściskając dłoń jego, szepnęła ledwie dosłyszalnym głosem:

--- Dobry!... niech... ci... Bóg... nagrodzi.

Na stołku koło lampy leżał list w kopercie, wskazała mu go wzrokiem i dodała:

--- Księdzu... --- Klemen... sowi.

Potem przyciągając go lekko ku sobie i patrząc mu w oczy rzewnie, błagalnie, rzekła cicho:

--- Pocałuj mnie.

Doktor nachylił się ku niej i dotknął ustami jej czoła. Ona objęła go za szyję, przycisnęła do siebie, a potem zawisła bezwładnie w jego objęciach. Gdy ją położył na powrót na poduszki, już nie żyła.

W parę godzin potem doktor wrócił do mieszkania Janiny smutny i poważny. Wszedłszy, oddał list księdzu Klemensowi i rzekł:

--- To do ciebie, ojcze, od Jadwigi. Przed paru godzinami umarła. A teraz --- mówił dalej, zwracając się do Janiny i biorąc ją za rękę --- teraz mogę już spytać się: czy chcesz być moją?

--- Twoją na wieki! --- rzekła Janina i rzuciła się w jego objęcia.

Spis treści

I	4
II	8
III	13
IV	17
V	20
VI	24
VII	28
VIII	32
IX	37
X	43
XI	48
XII	54
XIII	60
XIV	65
XV	69
XVI	73
XVII	79
XVIII	85
XIX	92